

SPRAWA
LORIDA
ROSEWORTH

MAŁGORZATA
STAROSTA

Małgorzata Starosta

Sprawa lorda Rosewortha

Copyright © Małgorzata Starosta, 2024

Wydawca: Katarzyna Domańska

Kierownik redakcji: Dominika Gołowin

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Kornelia Dąbrowska

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i konwersja do wersji elektronicznej: Paweł Noszkiewicz

ISBN: 978-83-68113-14-3

LABRETO

Wydawnictwo Labreto

Szelałowska 49

61-626 Poznań

www.labreto.pl

Poznań 2024

Patronat:

Serwis Granice.pl

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

Uncelek

Wszelkie prawa zastrzeżone.

W celu ochrony publikacji przed prawnie niedozwolonym utrwaleniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem książka została cyfrowo zabezpieczona znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie publikacji bez zgody uprawnionego jest zabronione.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Epilog

Od autorki

Przypisy.

Rozdział 1

LONDYN

Obudził mnie dźwięk. Nie było to jednak radio ani standardowy o tej porze odgłos krzątania panny Hardcastle, ani też kłótnia dochodząca z mieszkania któregoś z sąsiadów. Dobiegający zza przeszklonych drzwi hałas brzmiał jak łomotanie – i tym też się okazał.

– Kogóż tam niesie o tej porze? – usłyszałem skrzekliwy głos mojej asystentki, a za chwilę rozległ się stukot obcasów jej zapewne idealnie wypastowanych trzewików.

Zamek yale kliknął, klamka szcęknęła, drzwi skrzypnęły i przez kilka sekund panowała cisza.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytała panna Hardcastle lodowatym i nieprzyjaznym tonem, z którego domyśliłem się, że nie spodobała jej się przybyła. – Godziny pracy agencji są rozpisane na tabliczce obok drzwi, jest pani za wcześnie. Obawiam się, że musi pani...

– Czy mogę rozmawiać z panem Harperem?

Głos z całą pewnością należał do młodej osoby, a mnie wydało się, że brzmi znajomo. Nie byłem jednak w stanie dopasować go do twarzy.

– To absolutnie niemożliwe, pan Harper jest chwilowo... niedysponowany – odparła wyuczoną formułką panna Hardcastle.

Teraz byłem już całkiem pewien, że młoda kobieta, kimkolwiek była, nie wzbudziła jej zaufania.

– Nic nie szkodzi, zaczekam.

Drzwi znów skrzypnęły i stukanie obcasów – w rytmie zdecydowanie innym niż mojej asystentki – pozwoliło mi się domyślić,

że interesantka weszła do środka. Moja ciekawość zdawała się rosnąć, choć jeszcze nie na tyle, żebym poczuł potrzebę pojawienia się na scenie.

- Nasz drugi detektyw, pan Samuel Archer, powinien zjawić się o ósmej, może pani zaczekać w kawiarni naprzeciwko. - Niezawodna sekretarka nie dawała za wygraną.

- Będę rozmawiać tylko z Jonathanem Harperem - upierała się przybyła. - To sprawa bardzo delikatnej wagi i przeznaczona wyłącznie dla uszu Jonny'ego.

Zdrobnienie, którym posługiwały się zaledwie dwie osoby w moim dwudziestodziecioletnim życiu, natychmiast poderwało mnie z łóżka. Nie bacząc na swój stan oraz wygląd - miałem na sobie znoszoną piżamę - otworzyłem drzwi garsoniery, czym wprawiłem w zdumienie pannę Hardcastle. Druga kobieta uniosła jedynie kącik ust i odezwała się głosem, w którym usłyszałem radość i, jak mi się zdawało, ulgę:

- Jonathanie Harperze, wielkie nieba, nic się nie zmieniłeś!

Nie zdążyłem zareagować, kiedy moja asystentka wydała z siebie pełny dezaprobaty okrzyk:

- Panie Harper, dobrze się pan czuje?!

- Tak, panno Hardcastle. Wszystko w porządku - odparłem, nie spuszczając wzroku z wpatrującej się we mnie młodej kobiety. - Ruth? To... to naprawdę ty?

Piękny, wręcz olśniewający uśmiech starczył mi za odpowiedź. Ruth Roseworth, zdejmując rękawiczki z delikatnej skórki w kolorze dojrzałego buraczka, ruszyła w moją stronę.

- Cześć, Jonathanie - powiedziała, gdy ścisnąłem jej drobną dłoń zakończoną krwistoczerwonymi paznokciami.

Usta, rozciągnięte teraz w szerokim uśmiechu, pomalowane były na identyczny kolor jak paznokcie. Kasztanowe pukle, sięgające nieco za brodę, zdołał elegancki toczek. Cóż, Ruth Roseworth była wcieleniem

piękna i elegancji, w tej kwestii zupełnie nic się nie zmieniło, odkąd widziałem ją po raz ostatni.

- Miło cię widzieć - odrzekłem całkiem szczerze. - Napijesz się kawy?

Przyjęła propozycję z wdzięcznością, czego nie można było powiedzieć o pannie Hardcastle - ta spięła się i przyjęła postawę, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałem. Cała sylwetka kobiety zdawała się mówić: „Nie ufam tym młodym, wyemancypowanym kobietom, które uważają, że urodą i pieniędzmi rodziców mogą załatwić każdą sprawę”. Niemal słyszałem jej myśli i Ruth chyba także, bo uśmiechnęła się zawadiacko i mrugnęła do mnie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Nie czekasz chyba na jakiegoś ważnego klienta, który mnie stąd wyrzuci? - zażartowała.

- Bynajmniej.

- Pan Harper aktualnie nie przyjmuje klientów - dodała z naciskiem asystentka, patrząc na mnie z mieszaniną troski i dezaprobaty.

- Dla niektórych robię wyjątek.

- I to by było na tyle w kwestii równości społecznych - mruknęła panna Hardcastle i odwróciła się na pięcie. Jej sięgająca kostek spódnica zafurkotała, jakby i ona chciała okazać mi niezadowolenie. - Pan Dickins od trzech tygodni prosi o spotkanie z panem! - dodała karcącym tonem asystentka.

- Niech Sam się nim zajmie - odpowiedziałem.

Nie miałem pojęcia, kim jest pan Dickins, i zupełnie mnie to nie interesowało. Za to powód zjawienia się w mojej agencji Ruth Roseworth - i owszem. Powstrzymałem się jednak przed zadaniem tego pytania wprost, a może nie chciałem tego robić w obecności asystentki. Musiałem więc odczekać, aż panna Hardcastle zaparzy kawę i uda się do swojego biurka, które znajdowało się za załomem ściany.

- Ruth? - odezwałem się po chwili dość krępującej ciszy. - Chyba nie chciałaś spotkać się ze mną... - Zniżyłem głos, żeby wścibska asystentka

nie usłyszała, choć byłem pewien, że wyostrzyła słuch do granic możliwości. – No wiesz, prywatnie...

Ruth odruchowo spojrzała na uchylone drzwi do mojej garsoniery i roześmiała się szczerze.

– Absolutnie nie, Jonathanie – zapewniła.

Dałbym głowę, że panna Hardcastle głośno odetchnęła.

– Chcę skorzystać z usług twojej agencji, bez względu na koszty.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową.

– Jesteś mi potrzebny na wyłączność i to natychmiast – dodała z naciskiem.

– Tyle zdążyłem już wywnioskować.

– A kiedy mówię „natychmiast”, mam na myśli niezwłocznie.

– Oczywiście.

– Mam rozumieć, że mogę na pana liczyć, panie Harper? – zapytała z wyraźną nadzieją.

– Nie kupuję kotów w worku, panno Roseworth.

Po tych słowach panna Hardcastle wypuściła głośno powietrze, równocześnie wypuszczając z dłoni filiżankę, na szczęście pustą, która roztrzaskała się o podłogę.

– O rety, przepraszam, panie Harper! – Głos jej drżał, co w połączeniu z niezdarkością wydawało mi się zupełnie niepodobne do Joyce Hardcastle. – Czy ja dobrze usłyszałam, że pani nazywa się Roseworth?

– Tak właśnie się nazywam – potwierdziła Ruth z lekkim uśmiechem.

– Ale nie jest pani spokrewniona z...?

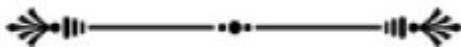
– Obawiam się, że jestem. – Tym razem głos Ruth zabrzmiał nieco ostrzej, co wzmogło moje zainteresowanie. – Jestem córką lorda Thadeusa Rosewortha.

Panna Hardcastle odwróciła się do nas tak energicznie, że jej długa spódnica znów zafurkotała. Na poważnej, szczupłej twarzy rysowało się

niemal przerażenie.

– Niech pan się zgodzi, panie Harper – wyszeptwała. – Musi pan wziąć tę sprawę, dla dobra agencji!

Chciałem zapytać, czy przez ostatnie dwa tygodnie stało się coś, co zagroziło dobru agencji, o czym nie zostałem (na własne życzenie) poinformowany, jednak wyraz twarzy zarówno jednej, jak i drugiej kobiety sprawił, że zamknąłem otwarte już usta. Panna Hardcastle ewidentnie nawiązywała do nazwiska Ruth, a zatem jej uwaga musiała dotyczyć czegoś, co miało związek z rodziną Roseworthów. Niewiele jednak dała mi ta konkluzja – zupełnie brakowało mi danych, żeby pojąć, w czym rzecz. Jak na detektywa wystawiałem sobie właśnie najgorsze możliwe świadectwo, skonstatowałem w myślach. Wkrótce jednak reakcja panny Hardcastle miała stać się dla mnie doskonale zrozumiała.



Rozdział 2

- Ty naprawdę o niczym nie miałaś pojęcia - stwierdziła z zadumą Ruth, kiedy skończyła nakreślać mi okoliczności sprawy, z jaką się do mnie zwracała.

Wnosząc po dobiegających zza załomu ściany odgłosach cmokania i komentarzach w stylu: „też mi nowość”, „to oczywiste” albo „czyli dziennikarze jeszcze o tym nie wiedzą”, byłem chyba jedyną osobą w całym Londynie, a może nawet w Zjednoczonym Królestwie, która nie słyszała o tragicznej śmierci lorda Thadeusa Rosewortha. Od kilku dni - jak się okazało - wszystkie media i opinia publiczna żyły jedynie tym wydarzeniem. *Morderstwo znanego arystokraty, Zbrodnia w Roseworth Manor* - krzyczały nagłówki nie tylko „Daily Mail” czy „The Times”, lecz także „The London Gazette”, a to już oznaczało, że sprawa jest poważna. Zapewne Scotland Yard nie narzekał na nudę w ostatnim czasie. Mogło się wydawać, że poważny prywatny detektyw, którego reputacja dotarła nawet na dwór królewski, będzie najlepiej zorientowany w sytuacji, lecz sprawy miały się zgoła inaczej.

- Najmniejszego - przytaknąłem ze skrucą, którą naprawdę czułem.

Co prawda, miałem swoje powody, by odciąć się od świata, jednak teraz bardzo tego żałowałem.

Panna Hardcastle, nawet już nieudająca, że podsłuchiwała, przyniosła plastikową tacę, na której stały trzy filiżanki z kawą i spodeczek biszkoptów. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła ciastka, ale na wszelki wypadek nie pytałem.

- Pan Harper, jak już pani mówiłam, jest niedysponowany i od kilku dni nie interesuje się światem zewnętrznym i przyjemnymi aspektami

życia – oznajmiła z wyraźną pretensją. – Z całą pewnością zorientowałby się w sytuacji po powrocie do normalnego funkcjonowania, czego spodziewałam się w najbliższym czasie. Ale skoro twierdzi, że już jest gotowy, to prawdopodobnie tak właśnie jest.

Ruth przeniosła na mnie spojrzenie, z którego wyczytałem niepokój i troskę.

– Rozumiem – powiedziała. I rzeczywiście rozumiała. Spośród wszystkich ludzi ona właśnie miała prawo rozumieć. – Widziałam cię tamtego dnia na cmentarzu – przyznała niemal szeptem. – Przyniosłeś białe dalie, jej ukochane kwiaty.

– I nie podeszłaś? – zapytałem, choć mój ton brzmiał bardziej jak stwierdzenie.

Zamiast odpowiedzieć, sięgnęła do torebki, z której wyjęła srebrną papierośnicę. Wpadający przez okno pojedynczy promień słońca oświetlił wygrawerowane na niej inicjały „R.R.”, piękny gotycki krój, z zawijasami i fikuśnymi ozdobnikami przypominającymi pnącze róży. Bardzo adekwatne.

– Mój ojciec nie znosił palenia, wiedziałeś o tym? – rzuciła ni stąd, ni zowąd. – Palenia w ogóle, a palaczy uznawał za ludzi gorszego sortu. Tymczasem moja matka pali, odkąd pamiętam. To zabawne, czyż nie? – Uśmiechnęła się, ale nie było słyhać wesołości w jej głosie, i ignorując trzymaną przeze mnie zapalniczkę, zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli ja też zapalę? – zapytałem grzecznie, choć właściwie to ona powinna zapytać pierwsza, w końcu była moim gościem. Jeszcze nie klientką. – Ruth... – zacząłem, odpaliwszy swojego benson & hadgesa. – Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem. Chcesz, żebym zbadał sprawę śmierci twojego ojca, czy tak?

Skinęła głową i znów zaciągnęła się papierosem z filtrem. Nowa moda, która niedawno przybyła do nas zza oceanu. Przez chwilę przyglądałem się jej dłoni, która z gracją trzymała du mauriera.

Pomyślałem wtedy, że nawet palenie w wykonaniu arystokracji wygląda lepiej. Jakby urodzili się z tym niezwykłym wyczuciem elegancji.

- Chciałabym, żebyś udowodnił, że lord Roseworth nie został zamordowany - oznajmiła z zadziwiającą twardością. - I że żaden z członków naszej rodziny nie miał z tym nic wspólnego.

- To raczej zadanie dla Scotland Yardu - stwierdziłem zgodnie z prawdą.

- Nie, Jonny! - Ruth zasłoniła usta lewą dłonią, jakby sama zdziwiła się tą zbyt daleko idącą poufałością. - Przepraszam, nie gniewaj się, Jonathanie.

- Nic się nie stało - zapewniłem, może odrobinę opryskliwie. - Dlaczego uważasz, że policja metropolitalna... - Urwałem nagle, uświadomiwszy sobie całą złożoność tej sytuacji. - Mój ojciec prowadzi tę sprawę, czy tak?

Ruth skinęła głową. Nie musiała niczego więcej tłumaczyć.

Odchyliłem się na krzesło, zaciągnąłem dymem i zapatrzyłem w sufit. Poza oczywistą ciekawością, którą obudziła we mnie wizyta dawno niewidzianej znajomej, możliwością zarobku, jaką niosło ze sobą przyjęcie zlecenia, doszła jeszcze jedna okoliczność - i to ona miała ostatecznie przechylić szalę. W wyobraźni ujrzałem swojego ojca gotującego się z wściekłości, kiedy zaczną płatać mu się pod nogami.

- Skłaniam się ku przyjęciu tej sprawy - rzuciłem po chwili - ale pod kilkoma warunkami. - Powróciłem wzrokiem do twarzy Ruth, która wpatrywała się we mnie w napięciu. - Niczego nie będziecie przede mną ukrywać. Dasz mi dostęp do wszystkiego, nawet do najbardziej prywatnych miejsc i przedmiotów. Chcę mieć, jak to się mówi w twoim fachu, całkowitą wyłączość.

Karminowe usta lady Roseworth rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając zadbane zęby. Dziewczęca niemal twarz rozjaśniła się, jakby ktoś obsypał ją złocistym pyłem.

- Wspanaile! - wykrzyknęła. - Pokryję wszystkie koszty, Jonathanie, nie musisz na niczym oszczędzać! A poza tym jesteś zawsze mile

widzianym gościem w Roseworth Manor. Ciotka Agatha na pewno ucieszy się na twój widok, zawsze wyjątkowo cię lubiła!

Na wspomnienie Agathy Radcliffe poczułem ukłucie w sercu, a Ruth szybko zrozumiała, że nie przemyślała do końca swojej wypowiedzi.

- Agatha jest w Roseworth Manor? - zapytałem niemal szeptem.

- Och, Jonathanie, tak mi przykro... - jęknęła. - Błagam, nie zmieniaj zdania! Obiecuję, że zamknę Agathę na strychu, żeby nie wchodziła ci w paradę!

- Wciąż nie podjąłem decyzji, lady Roseworth - odparłem poważnym tonem, jednak na wyobrażenie Agathy zamkniętej na strychu kąciki ust same zaczęły mi się unosić. - Daj mi kilka godzin na przemyślenie.

- Ostatni pociąg do Norwich odchodzi o dziewiętnastej - poinformowała mnie natychmiast, jak gdyby nigdy nie wątpiła, że przyjmę prowadzenie tej sprawy.

Obiecałem, że dam jej znać przed porą południowej herbaty, po czym pożegnaliśmy się jak bliscy przyjaciele, jakby ostatnie dwa lata, podczas których nie kontaktowaliśmy się ze sobą, w ogóle nie istniały. Dopiero gdy odprowadziłem Ruth do drzwi i zerknąłem w wiszące obok nich lustro, uświadomiłem sobie, że wbrew jej słowom bardzo się zmieniłem. Ciemne włosy, zazwyczaj doskonale ostrzyżone i ułożone, teraz zdawały się żyć własnym życiem, które w głównej mierze składało się ze stawania na baczność. Pociągła twarz z wydatną szczęką pokrywał kilkudniowy zarost. Mimo stosunkowo młodego wieku miałem już srebrne kępki w brodzie, co teraz było wyraźnie widać, choć zwykle goliłem się na gładko. Pod oczami pojawiły się ciemne kręgi, a na czole dostrzegłem więcej zmarszczek niż zazwyczaj.

- Jeśli nie chce pan, żeby arystokracja wzięła go za służbę albo kloszarda, musi pan popracować nad wizerunkiem - wbiła mi szpilę panna Hardcastle, kiedy nasz wzrok spotkał się w lustrze. - Cafe szczęście, że ta panna Roseworth się zjawiała, bo jeszcze kilka dni i zmarniałby pan zupełnie.

- Dziękuję, że dbała pani o mnie - powiedziałem z bladym uśmiechem.

- Drobiazg, panie Harper. - Machnęła ręką, ale na jej surowej twarzy pojawiły się rumieńce. - Żadna ze mnie samarytanka. Gdyby pan umarł z głodu, ja straciłabym pracę.

Uśmiechnąłem się z rozbawieniem, jednak ona już tego nie zobaczyła. Powiedziawszy, co miała do powiedzenia, odwróciła się i poszła zająć się swoimi zadaniami. Cała panna Hardcastle. Cóż ja bym bez niej począł?

Joyce Hardcastle, zażywna pięćdziesięciolatka o figurze wysuszonego kabanosa (i równie długa na wysokość), stanowiła - gdyby nie liczyć dwóch rachitycznych fikusów - jedyną żywą istotę w moim najbliższym otoczeniu. Tak przynajmniej miały się sprawy od dwóch tygodni, które upłynęły mi w głównej mierze na liczeniu plam na suficie, marnowaniu tlenu z powietrza i szukaniu sensu ludzkiego istnienia. Agencja detektywistyczna co prawda cieszyła się jako takim zainteresowaniem, nie narzekaliśmy na brak klientów, jednak wszystkie sprawy, z którymi zwracali się do mnie zdradzani mężowie, podejrzliwi pracodawcy czy też poszukujący zaginionych krewnych, panna Hardcastle przydzieliła Samowi Archerowi, mojemu podwładnemu, który z niezrozumiałych dla mnie powodów lubił ganiać po ulicach Londynu i nakrywać niewiernych małżonków in flagranti. Ja tymczasem od czternastu dni nie opuściłem swojego mieszkania, o ile można tak nazwać dwudziestometrowe studio, którego lwia część zajmowało łóżko. Wynurzałem się dopiero, gdy panna Hardcastle zamykała za sobą drzwi, wypowiedziawszy sakramentalne: „Do jutra, panie Harper, podlałam pańskie kwiatki”. Później przez chwilę nasłuchiwałem odgłosu jej kroków na schodach i dopiero gdy ucichły, wychodziłem z mojej garsoniery.

- Jest pani aniołem, a nie tylko samarytanką - przyznałem. - Postaram się zasłużyć na panią.

Mój nagły powrót do świata żywych musiał zdziwić pannę Hardcastle w nie mniejszym stopniu niż mnie. Rok temu trwało to dużo dłużej i zapewne tego samego spodziewała się teraz. Jednak jak na doskonale wychowaną i jeszcze lepiej przygotowaną do zawodu asystentki damę przystało, niczego nie skomentowała. Rzuciła na mnie okiem spod poprzetykanej srebrnymi pasmami grzywki, która niegdyś zapewne zachwycała kruczoczarnym odcieniem, po czym odwróciła się i niemal służbowym tonem, maskując bez wątpienia wzruszenie, zapytała:

- Napije się pan jeszcze kawy czy zaparzyć herbatę?

Poprosiłem o kawę, choć nie potrzebowałem dodatkowych stymulantów; buzująca w mojej krwi adrenalina postawiła mnie na nogi w okamgnieniu. Wiedziałem jednak, że panna Hardcastle pija jedynie kawę, chciałem zrobić jej przyjemność, na którą zasłużyła.

Kiedy moja asystentka krzątała się w niewielkim kąciku kuchennym, usiadłem przy biurku, na którym leżały równo ułożone teczki. Uśmiechnąłem się, zauważywszy, że panna Hardcastle posegregowała je alfabetycznie, co było uroczym natręctwem, a jednocześnie niemal boskim darem, którego ja stałem się beneficjentem. Moja chaotyczność i chorobliwa niechęć do pedantyzmu kilka razy doprowadziły mnie do szału, kiedy nie potrafiłem odnaleźć zagubionej notatki, jednak z chwilą zatrudnienia panny Hardcastle wszystko się odmieniło. Teraz mógłbym niemal z zamkniętymi oczami znaleźć każdy zapisek i dokument, który byłby mi akurat potrzebny.

Zanim druga filiżanka kawy znalazła się przede mną, do biura zawitał Sam. W przeciwieństwie do sekretarki on nie omieszkał okazać zdziwienia na widok mojej pożałowania godnej fizys.

- Harper, wyglądasz jak śmierć na chorągwi - stwierdził, po czym podszedł do mnie i zamknął w niedźwiedzim uścisku. Ten niemal dwumetrowy wielkolud górował nade mną o dobre pół głowy.

- Dzięki - bąknąłem, z trudem łapiąc oddech.

- Panna H. martwiła się, że jeszcze chwila i odwalisz kitę. Próbowałem jej tłumaczyć, że gdybyś miał to zrobić, to strzeliłbyś sobie w łeb dwa lata temu, ale skoro przeżyłeś wtedy i rok później, to tym razem też wyjdiesz z tego cało.

- Panie Archer!!! - Oburzenie nadało głosowi panny Hardcastle brzmienie nienastrojonych cymbałów. - Co też pan wygaduje, jak pan w ogóle może mówić takie rzeczy do człowieka w żałobie! I to nieszczęsne porównanie!

Mówiąc szczerze, dopiero jej uwaga sprawiła, że o tym pomyślałem. Byłem przekonany, że Samowi także nie przyszło to do głowy. Taki już był: prostolinijny, szczerzy i bezpardonowy.

- Bez obaw, Sam. Jeszcze trochę się ze mną pomęczysz. Panno Hardcastle, co z tą kawą? Muszę jeszcze przejrzeć wiadomości.

Sam wydawał się autentycznie zdziwiony.

- Wracasz do roboty?

- Na razie rozpatruję za i przeciw.

Panna Hardcastle zastukała obcasami, tym razem zdecydowanie mocniej, co świadczyło o jej nienaturalnym zdenerwowaniu, i postawiła filiżankę z kawą na stole. Zauważyłem tęskne spojrzenie Archera, którym powiódł za porcelanowym naczyniem. Byłem pewien, że sekretarka odmówi zaparzenia napoju dla niego - za karę, na którą zasłużył brakiem ogłady - więc postanowiłem oddać mu swoją. I tak musiałem zastanowić się nad propozycją Ruth, nie mówiąc nawet o konieczności doprowadzenia się do ładu.

- Słuchaj, jeśli potrzebujesz... no wiesz... - Sam zerknął na wciąż rozsierdzoną sekretarkę - więcej czasu czy coś, to ja mogę się tym zająć, stary. Dickinsa już kończę, bułka z masłem, więc będę miał wolne siły...

- Ta sprawa wymaga manier i dyplomacji, panie Archer - pouczyła go panna Hardcastle. - Pan zupełnie się do tego nie nadaje, tym bardziej że lady Roseworth zażyczyła sobie osobistego udziału pana Harpera.

- Lady Roseworth? - Sam otworzył szeroko oczy i gwizdnął przeciągle. - Fiu, fiu, Francja-elegancja. Nic tu po mnie, szefie, za wysokie progi. Skąd ona w ogóle się o nas dowiedziała?

- To znajoma pana Harpera - uprzedziła mnie asystentka, co właściwie przyjąłem z wdzięcznością.

Liczba wypowiedzianych przeze mnie słów tego ranka znacznie już przekroczyła normę.

- Znajoma, co? - rzucił Archer i uśmiechnął się wymownie.

- Znajoma. Z dawnych czasów - odparłem, kończąc rozmowę. - Będę u siebie, panno Hardcastle. Dzięki za propozycję, Sam.

*

Kilka minut później Sam przyjmował klienta, zapewne niejakiego pana Dickinsa, a ja spędziłem ten czas w swojej samotni, paląc papierosa za papierosem. Włączyłem radio, żeby wysłuchać wiadomości, i zgodnie z moimi przewidywaniami większość z nich dotyczyła zabójstwa Thadeusa Rosewortha. Od śmierci lorda minęły trzy doby, a policja wciąż goniła w piętę i nie miała podejrzanego. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja, ale instynkt mi podpowiadał, że podejrzanych w tej sprawie jest aż nazbyt wielu, co z kolei stanowi poważny problem dla prowadzących śledztwo. Nazwisko mojego ojca padło dwa czy trzy razy, co także wydawało się zrozumiałe - nadinspektor Jack Harper był ważną osobą w Scotland Yardzie, odznaczoną za zasługi w służbie Jej Królewskiej Mości.

Nieco ponad kwadrans po dziesiątej ubrany, ogolony i niemalże uczesany wróciłem do biura. Sam wyszedł trzy kwadransy temu, a panna Hardcastle siedziała przy biurku - moim biurku, gwoli ścisłości - i segregowała notatki. Prawdopodobnie wymyśliła jakiś nowy system, ponieważ już wcześniej poukładała teczki alfabetycznie.

- Co pani myśli na ten temat? - zapytałem, strzepując drobinki kurzu z marynarki.

- Na jaki temat, panie Harper? - Spojrzała na mnie znad okularów w sztykretowych oprawkach, które mnie kojarzyły się z motylem, a fachowo ich kształt określano jako „kocie oko”.

- Na temat uroczej lady Ruth Roseworth - rzuciłem z ironią, jednak ona zupełnie nie zrozumiała dowcipu.

- Pyskata, rozpuszczona, zmanierowana, urody jej nie brakuje, to muszę przyznać - wyliczyła jak na zawołanie. - Ale udało jej się wyrwać pana z tej... gnuśności.

- To był sarkazm. Co pani myśli o tym zleceniu? Powinienem je przyjąć?

- Z całą pewnością pański udział w tej sprawie doskonale zrobi agencji - stwierdziła poważnie. - Oczywiście pod warunkiem, że czuje się pan gotów na powrót do pracy.

- Nie jest najgorzej.

- To nie zabrzmiało przekonująco.

- Praca pozwoli mi nie myśleć.

- Z tym się zgodzę - pochwaliła. - Poza tym być może uda się panu odbudować relacje z ojcem - dodała niby od niechcienia, choć doskonale wiedziałem, że chciała to powiedzieć już na samym początku.

- Na to bym nie liczył. - Wzruszyłem ramionami. - I wcale mi na tym nie zależy. Ale ma pani całkowitą rację, że to będzie świetna reklama dla agencji.

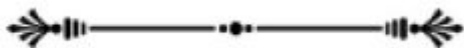
Ruszyłem ku drzwiom, zdjąłem z wieszaka fedorę w modnym od niedawna odcieniu brązu i zatrzymałem się na chwilę.

- Gazety? - rzuciłem, nie odwracając się do sekretarki.

- Wszystkie niezbędne informacje przygotuję dla pana do lanczu.

Tym właśnie panna Hardcastle różniła się od innych asystentek: była bystra, obrotna, przedsiębiorcza i zawsze wyprzedzała moje potrzeby.

Podziękowałem jej skinieniem głowy, po czym opuściłem agencję.



Rozdział 3

Nieświadomie zawędrowałem na Derby Gate, jakby zakończenie dwutygodniowej ascezy wymagało uhonorowania. Bar, w którym spędziłem wiele godzin, ślęcząc nad zagmatwanymi sprawami, był już otwarty, a jego właścicielka przywitała mnie niemal jak dawno niewidzianego członka rodziny.

- Jonathan! Od rana czułam, że w tym dniu zdarzy się coś wyjątkowego! - Mary-Anne, pulchna rudowłosa czterdziestolatka, uściskała mnie serdecznie i zaprowadziła do ulubionego stolika znajdującego się w rogu i niewidocznego dla wchodzących. - Jadłeś śniadanie? - zapytała, z góry raczej znając odpowiedź. - Usiądź, zaraz przyniosę herbatę i coś do jedzenia.

Wróciła po kilku minutach, które mnie upłynęły na lekturze porannego wydania „Daily Telegraph”. W sprawie Rosewortha pisano niewiele, najwyraźniej nie pojawiły się żadne nowe okoliczności, więc prasa nie miała na czym żerować. Mary-Anne postawiła przede mną talerz z parującą jajecznicą, której zapach natychmiast wywołał u mnie ślinotok. Nie potrafiłem przypomnieć sobie, kiedy ostatnio jadłem ciepły posiłek. Mimo starań panny Hardcastle nie byłem w stanie zmusić się do przełknięcia czegokolwiek w ciągu dnia i dopiero późnymi wieczorami udawało się coś w siebie wcisnąć.

- Jak się masz, złociutki? - zapytała z troską właścicielka, przysiadłszy się do mojego stolika.

- Bywało lepiej.

- Pierwsze lata zawsze są najgorsze - powiedziała ze współczuciem i pogładziła mnie po lewej dłoni z matczyną czułością. - Zobaczysz, z każdym dniem będzie poprawa.

- Dziękuję.

Cóż więcej mogłem odpowiedzieć, kiedy jajecznicza i wielka gula rosły mi w gardle, powodując łzawienie oczu? Nie mogłem pozwolić im teraz popłynąć, nie w tym miejscu.

- Nie ma za co, złociutki. Rozmawiałam z Charlotte, skarżyła się, że nie odbierasz telefonu.

- Wyłączyłem go.

- Tak właśnie myślałam. Zadzwoń do niej, ona też się o ciebie martwi.

Mruknąłem coś na odczepnego i zacząłem szybciej przebierać widelcem. Mary-Ann obrzuciła mnie ostatnim pełnym troski spojrzeniem i zostawiła samego. Skończyłem śniadanie, wypłem herbatę i pozostała mi już tylko jedna rzecz.

- Mogę skorzystać z telefonu? - zapytałem, rozliczywszy się za posilek.

Kobieta skinęła głową, a ja udałem się na zaplecze, gdzie - jak wiedziałem - znajdował się aparat. Przez kilka sekund się wahałem, ale w końcu wybrałem numer.

- Tu Jonathan Harper - powiedziałem beznamiętnie, gdy po drugiej stronie słuchawki odezwał się głos majordomusa. - Proszę przekazać lady Roseworth, że przyjadę wieczornym pociągiem do Norwich. - I zanim się rozłączyłem, dodałem przezornie: - To wiadomość dla Ruth, lady Ruth Roseworth.

*

Pociąg ze stacji London Liverpool Street wyruszył punktualnie, co właściwie, biorąc pod uwagę pogłębiający się kryzys na kolei, graniczyło z cudem. Od zakończenia drugiej wojny światowej sytuacja brytyjskiego kolejnictwa stawała się coraz bardziej niepokojąca; z map masowo znikaly stacje, likwidowano składy, zmieniano trasy. Doskonale pamiętałem, jak w lutym tego roku, czyli zaledwie sześć miesięcy temu, zamknięto Norwich City - kluczowy dworzec obsługujący kilka linii we

wschodniej Anglii. Co prawda, wciąż stanowił istotny punkt w obsłudze pociągów towarowych, jednak tu i ówdzie mówiło się, że i to niebawem się zmieni.

Ze względu na konieczność przygotowania się do wyjazdu nie miałem czasu, żeby zapoznać się ze wszystkimi znanymi szczegółami „sprawy lorda”, którym to określeniem nader chętnie posługiwały się media. Nie żeby to było kłamstwo, w końcu sprawa dotyczyła śmierci tytularnego arystokraty, członka Izby Lordów, uznawanego za jedną z najważniejszych i najbardziej wpływowych osób w państwie. Oczywiście nie dawałem wiary spekulacjom, które mnożyły się jak grzyby po deszczu z kolejnymi mijającymi godzinami, acz niemal w każdej wzmiance można było znaleźć coś wartego uwagi. Praca detektywa polega na zbieraniu informacji, ich porównywaniu i analizowaniu podobieństw, różnic, a im większy materiał porównawczy, tym lepiej. Ku mojemu zadowoleniu podróż pociągiem okazała się w tej kwestii nad wyraz satysfakcjonująca.

W przedziale pierwszej klasy poza mną siedziało dwóch dżentelmenów – bez wątplenia pracujących w City – oraz kobieta z kilkuletnim chłopcem, którą w pierwszej chwili wziąłem za matkę dzieciaka, jednak okazała się jego nianią.

– Jeffrey, usiądź grzecznie, bo zniszczysz spodenki, a twoja mama urwie mi za to głowę – strofowała go beznamytnym głosem mniej więcej co trzy minuty.

Chłopak się uspokajał, ale po chwili znów zaczynał się wiercić, machać nogami albo kręcić po przedziale.

Siedzący naprzeciwko mnie wąsaty jegomość w tweedowej marynarce, którą pewnie kupił, zanim przybrał na wadze, rozłożył wieczorne wydanie „The Evening News” i zagłębił się w lekturze. Nie interesowała go jednak pierwsza strona ani nawet dwie kolejne. Nie trzeba było być detektywem, żeby się domyślić, iż pochłaniał kolejne opowiadanie kryminalne Willa Scotta, który od kilku lat publikował je

na łamach londyńskiego dziennika. Mary też je uwielbiała, a ja bezskutecznie usiłowałem wykazać jej luki w logice fabuły.

Na myśl o Mary ścisnęło mi się serce, musiałem więc szybko zająć czymś głowę. Przyjrzałem się nagłówkom w gazecie, za którą skrywał się amator kryminałów, i postanowiłem zacząć zbieranie informacji właśnie od tej publikacji. Dzięki pannie Hardcastle w mojej wysłużonej aktówce znalazły się bodaj wszystkie wydania dzienników, jakie ukazały się od śmierci Rosewortha, miałem więc możliwość dokładnego przestudiowania aktualnych hipotez wysuwanych przez dziennikarzy. W teorii – ledwo bowiem rozłożyłem gazetę i przygotowałem notatnik, drugi współpasażer, wyglądający na Walińczyka i dokładnie tak mówiący postawny mężczyzna, odezwał się tymi słowy:

– Jeśli miałbym typować, to stawiałbym, że zrobiła to żona.

Wszyscy podnieśliśmy wzrok na mężczyznę, nie ukrywając zdziwienia.

– Przepraszam, ale... czyja żona? – zapytała opiekunka niesfornego Jeffreya, który właśnie oblizywał szybę w drzwiach, korzystając z nieuwagi niani.

– Ach, no tak... – Walińczyk poruszył czarnym wąsem i wskazał palcem na okładkę książki leżącej obok kobiety. – Żona Edgeware’a, ta cała Wilkinson. Miała motyw, bez dwóch zdań.

Kobieta wyglądała na ucieszoną, czemu zresztą trudno się dziwić: mężczyźni raczej nie czytali tego rodzaju literatury.

– Lubi pan powieści Agathy Christie?

– Czytam z żoną na głos – odparł jegomość, czerwieniąc się po czubki rzedniejących włosów. – Ja uważam, że to ta Wilkinson, a żona się ze mną nie zgadza.

Dwoje obcych ludzi, niespodziewanie połączonych rozwiązywaniem zagadki, zajęło się dyskusją na temat nieistniejących postaci i wymyślonych zdarzeń, a ja – musiałem przyznać to dość szybko – z przyjemnością przysłuchiwałem się ich rozumowaniu. Przychylałem się do opinii panny Whitler, jak przedstawiła się kobieta,

sprzeciwiającej się uznawaniu wszystkich kobiet za pozbawione serca łowczyńie posagów, kiedy siedzący naprzeciwko mnie amator twórczości Willa Scotta niespodziewanie przyłączył się do dyskusji, przenosząc ją w o wiele bardziej interesujące mnie rejony.

- Nie ma co wrzucać wszystkich do jednego wora, ale na mój nos w sprawie Rosewortha musiała maczać palce kobieta - oznajmił, a jego wysoki głos zaskoczył mnie barwą. Mógłby należeć do młodzieńca, a nawet do kobiety, ale nie mężczyzny o aparycji upasionego wikinga!

- To jest z czego wybierać - odparł Walijczyk o nazwisku Murphy, po czym zarechotał. - Dwie żony, kilka córek, teściowa, kuzynka i kto wie, ile ich tam jeszcze!

- Ależ to absolutnie niemożliwe - zaprotestowała panna Whitler. - Moja kuzynka, Jenny Beaver, pracowała w czasie wojny dla państwa Roseworthów i twierdzi, że lady Barbara to najmiłsza osoba pod słońcem, tak samo jej córka Ruth.

Na dźwięk znajomego imienia drgnąłem nieco, jednak postanowiłem nie wychodzić z roli biernego słuchacza. Byłem ciekaw, dokąd doprowadzą te dywagacje, zwłaszcza że pojawienie się plotek i informacji od znajomych królika mogło przynieść ciekawe efekty.

- Panno Whitler, jak na osobę lubiącą kryminały ma pani zbyt idealistyczne spojrzenie na ludzi - stwierdził Murphy. - Czytałem kiedyś wywiad z panią Christie, w którym zdradziła, że wszystkie zbrodnie opisywane w jej książkach, a w szczególności motywy kierujące mordercami, wcale nie były dalekie od rzeczywistości. W ludziach drzemie ogromne zło, a gdy w grę wchodzi pieniądze...

- Otóż to, otóż to! - zawtórował mu wiking. - Teraz każdy z tych próżniaków będzie się wybielał i pokazywał swoją najjaśniejszą stronę. A czy wiadomo, co naprawdę tkwi w człowieku? Jakie ciemne strony chowa pod powierzchnią?

Rozgorzała dyskusja, w której przykłady „ciemnych stron” ludzi sypały się jak z rękawa. Z niekłamanyim zdumieniem przekonywałem się, jak wiele do powiedzenia na temat motywów i sposobów

popęnienia zbrodni mają ludzie bez jakichkolwiek powiązań z policyjnym środowiskiem. Gdyby tylko mój ojciec mógł to usłyszeć...

Po kilku minutach zdumiało mnie zaś własne zdumienie zainteresowaniem, jakie „sprawa lorda” wzbudziła pośród obywateli. Dzięki rzuconej mimochodem przez pana Murphy'ego wzmiance dotyczącej innej bardzo głośnej sprawy, którą żyła opinia publiczna pół wieku wcześniej, zorientowałem się, jak bardzo nie doceniałem atrakcyjności zbrodni. Atrakcyjności dla laików, rzecz jasna; ja sam nie widziałem w niej niczego, co choć przez chwilę mógłbym uznać za pociągające.

- Moim zdaniem - perorował Murphy - tym razem gliniarze nie będą już tak szybcy w rzucaniu oskarżeń. Nikt nie pozwoli im popełnić takich błędów jak przy szkockiej sprawie Dreyfusa¹. Tym bardziej że nie mają już wsparcia w postaci Sherlocka Holmesa.

Te - gorzkie i pełne jadu - spostrzeżenia natychmiast przypomniały mi dzień, w którym osiem lat wcześniej mój ojciec niemal dostał ataku apopleksji, kiedy książka niejakiego Petera Hunta rozjątrzyła ranę w brytyjskim wymiarze sprawiedliwości. Z całą pewnością żaden z aktualnych dowodzących Scotland Yardem nie pozwoli sobie na podobny blamaż. Prędzej aresztują wszystkich i tak długo będą ich maglować, aż wycisną przyznanie się do winy, najlepiej publiczne i na oczach spragnionego sprawiedliwości ludu. Co zaś do braku wsparcia Sherlocka Holmesa, a dokładniej rzecz ujmując: Arthura Conana Doyle'a, sam nie wiedziałem, czy bardziej mnie to smuci, czy jednak cieszy; gdyby głębiej się nad tym zastanowić, to ja w sprawie śmierci Rosewortha miałem odegrać rolę, jaką słynny autor odegrał w sprawie obrony Oscara Slatera. I żywiłem wielką nadzieję, że podołam temu zadaniu.

- A co według pana tam właściwie się wydarzyło? - zapytałem, zaskakując tym nagłym przypomnieniem o swojej obecności wszystkich.

Murphy przeniósł na mnie zdziwione spojrzenie, jednak szybko przybrał minę pewnego siebie cwaniaka. Już wiedziałem, że to typ, którego nie znoszę: beczelny, zadufany i roszczący sobie prawo do nieomyślności.

- To chyba oczywiste, panie...? - wycedził z nutą wyższości.

- Harper - odparłem, wytrzymując jego świdrujący wzrok.

- Moim zdaniem, panie Harper, doszło tam do klasycznej zbrodni podszytej zbyt długo ukrywaną nienawiścią. W takich rodzinach wszystko wciąż się kotłuje, kipi jak w wielkim rondlu, aż w końcu się wylewa, kiedy pod wpływem temperatury płyn ulega rozszerzeniu. Zwykła fizyka - wyjaśnił, jakby prowadził wykład na uniwersytecie.

- Fizyka, mówi pan... - Udałem, że zastanawiam się nad jego słowami. - Rozumiem, że ów... gulasz składa się według pana z członków rodziny, majątku i wzajemnych animozji?

- Nie inaczej, młody człowieku, nie inaczej. Sam pan powiedz, czy dwie żony, teściowa, gromadka dzieci, kuzynki, absztyfikanci i kto wie co jeszcze, to mało? Zwykle potrzeba o wiele mniej, żeby doszło do tragedii.

Z niechęcią przyznałem mu rację. Jeśli wierzyć temu, co przekazała mi Ruth, w Roseworth Manor rzeczywiście wrzało jak w ulu, i to jeszcze zanim ktoś postanowił pozbawić życia królową, a właściwie króla. Tyle tylko - ponownie podążając za tokiem rozumowania córki Thadeusa - że żaden z poddanych lorda Rosewortha niczego na tej śmierci nie zyskiwał.

- Jeśli miałbym kogoś obstawiać, to chyba syna - odezwał się nagle wiking, który jeszcze kilka chwil temu był gotów skazać na szafot każdą osobę płci żeńskiej. - Tacy jak on zawsze są najmniej podejrzani i skrzętnie to wykorzystują.

- Bzdura! - Murphy wydawał się zniesmaczony supozycją. - Po pierwsze, Thomas Roseworth, tak czy inaczej, dziedziczy fabrykę, a po drugie, jemu zupełnie brakuje charyzmy, żeby pozbawić kogokolwiek życia. To już prędzej jego siostra, jak jej na imię? Rita?

- Ruth - poprawiła go panna Whitler, kręcąc głową z wyraźną dezaprobatą. - To wykluczone, panie Murphy, niemożliwe. Panna Ruth Roseworth nie była wówczas obecna i to ona powiadomiła policję o śmierci ojca, gdy tylko wróciła do domu.

Ta informacja wyraźnie mnie zainteresowała. Nie wypytywałem Ruth o szczegóły wieczoru, kiedy zginął jej ojciec, chciałem zrobić to na miejscu, zgodnie z zasadami prowadzenia śledztwa. Nie przyszło mi jednak do głowy, że moja zleceniodawczyni nie uczestniczyła w tych wydarzeniach. Czy to mogło mieć znaczenie dla moich wniosków? A i owszem, niebagatelne. Nie powinienem uwzględniać jej wyjaśnień jako naocznego świadka.

- To wcale nie musi być prawda, panno Whitler - pouczył ją siedzący naprzeciwko mnie jegomość. - Równie dobrze mogła zamordować ojca, wyjść przez okno, a następnie wrócić, jakby nigdy nic, zadzwonić po policję i udawać niewiniątko.

- Właśnie - zawtórował mu Murphy. - Pan kolega ma rację, choć ja uważam, że rozwiązanie może być jeszcze prostsze. W ogóle nie wychodziła przez żadne okno i nie wracała, tak tylko powiedziała gliniarzom. Pewnie każdy siedział tam w swoim pokoju i nie miał pojęcia, co robią pozostali.

- Jest jeszcze służba, ona zawsze wszystko widzi i słyszy - oponowała coraz bardziej obrażona guwernantka.

Widziałem te subtelne oznaki: zmarszczone czoło, napięte szczęki, rozdymające się nozdrza. Brakowało tylko przyspieszonego oddechu, żeby wybuchła.

- Moja kuzynka mogłaby wiele powiedzieć na temat rzeczy, które lord i lady Roseworthowie ukrywali przed światem - dodała.

Ta uwaga, rzucona zapewne nieopatrnie, zyskała moje zainteresowanie i zanotowałem ją w pamięci. Rozmowa ze służbą, zwłaszcza chętną do dzielenia się nie swoimi sekretami, mogła wiele wnieść do sprawy. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że choć nie jestem policjantem i nie prowadzę oficjalnego postępowania, na szczerłość

rodziny jego lordowskiej mości nie mam co liczyć. Musiałem więc zyskać przychylnych świadków i zdobyć jak najwięcej informacji niedostępnych w oficjalnym obiegu.

Dyskusja skończyła się równie nagle, jak się zaczęła, Jeffrey bowiem zdążył wylizać całą szybę, po czym zajął się wydłubywaniem gąbki z kanapy przez dziurkę, którą z dużą dozą prawdopodobieństwa wcześniej sam wykonał, teraz zaś z zaciekłością ciągnął swoją opiekunkę za rąbek spódnicy.

- Przestań, Jeff - strofowała go wzburzona panna Whitler. - Przepraszam, panowie, to jego zwyczajowa pora spania, zawsze robi się nieznośny, kiedy jest zmęczony.

Był to jasny sygnał dla nas, że wszelkie rozmowy należy zakończyć, jeśli nie chcemy, żeby kolejne dwie godziny upłynęły nam pod znakiem marudzenia kilkulatka, a na to z całą pewnością nie byłem gotów.



Rozdział 4

Zanim pociąg dotarł do Ipswich, zdążyłem zapoznać się z większością artykułów dotyczących śmierci lorda Rosewortha. Panna Hardcastle, jak na najdoskonalszą asystentkę przystało, zaznaczyła wszystkie tytuły miękkim ołówkiem, żebym nie tracił czasu na ich szukanie, co znacznie przyspieszyło proces poznawczy. Dodatkowo – co zauważyłem po lekturze zaledwie kilku doniesień, jakie ukazały się w ciągu pierwszej doby – dziennikarze wykonali zaskakująco (jak na ten fach) dokładną pracę i starali się trzymać faktów. Dzięki temu miałem już całkiem klarowne wyobrażenie na temat okoliczności odkrycia zbrodni i osób przebywających w Roseworth Manor tego feralnego wieczora.

Przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin Thadeusa Rosewortha zaplanowano z dość dużym wyprzedzeniem i z pompą. Miało to być wydarzenie, o którym prasa winna rozpisywać się tygodniami. Ten cel został osiągnięty, jednak raczej nie tak wyobrazili to sobie pomysłodawcy. Muszę przyznać, że poczułem nutę współczucia dla rodziny, która nagle stała się obiektem zainteresowania w całym kraju. Lord Roseworth upierał się przy gronie najbliższej rodziny oraz „przyjaciół domu”, co w kręgach arystokratycznych oznacza i tak całkiem spory tygiel. Jeśli wierzyć gazetom, w Roseworth Manor tamtego dnia znajdowało się dwadzieścia osób, choć podejrzewałem, że liczba ta może być jedynie szacunkowa.

Zasadniczo faktów w tej sprawie było niewiele: Rosewortha znaleziono tuż po godzinie dwudziestej, kiedy zaproszeni goście zaczęli się schodzić i nieobecność solenizanta zaniepokoiła Ruth. Podobno to ona znalazła ojca w jego gabinecie i omal nie zemdląła na widok głowy Thadeusa, w której brakowało sporego fragmentu czaszki z lewej

strony. W prawej skroni Rosewortha widniała dziura świadcząca o tym, że z tej właśnie strony został wystrzelony nabój. Pistolet leżał na podłodze tuż przy biurku, jednak działający na miejscu śledczy natychmiast wykluczyli możliwość śmierci samobójczej z powodu braku odcisków palców na broni, a po dokładniejszych oględzinach posiadłości odkryli kolejne dowody na udział osoby lub osób trzecich: pod oknem gabinetu męskie obuwie pozostawiło głębokie ślady, mające wskazywać na to, że ktoś wyskoczył z okna, co – jak wiadomo – zwiększa nacisk na podłogę, a kilka gałązek żywopłotu wyglądało, jakby zostały połamane. Czas śmierci patolog określił w przedziale między południem a siódmą wieczorem, co było niezbyt pomocne, gdyby ktokolwiek pytał mnie o zdanie. Policja znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, dlatego też do prowadzenia śledztwa oddelegowano „największe umysły Scotland Yardu”. „The London Gazette” tymi słowami określiła mojego ojca i jego wieloletniego partnera z wydziału kryminalnego, Petera Southenby’ego, którego ja osobiście uważałem za skończonego imbecyla. Gdyby nie fakt, że mój ojciec nie musiał karmić swojego ego każdym kolejnym sukcesem i łaskawie pozwalał Peterowi na przypisywanie sobie współudziału w rozwiązywaniu głośnych spraw, Southenby pewnie już dawno zajmowałby się utrzymywaniem porządku nad Tamizą, zamiast rozwiązywać trudne sprawy kryminalne.

Tuż po zakończeniu wojny i moim powrocie do domu, kiedy byłem kilkunastoletnim podlotkiem, ojciec zabrał mnie na lancz, który zwykł spożywać z kolegami z pracy, a mnie ogromnie to imponowało – do czasu. W momencie, gdy Southenby zaczął opowiadać rubaszne historyjki o tym, jak zabawiał się z żoną swojego brata, mszcząc się za niezaprośzenie go do klubu golfowego, uznałem tego człowieka za niegodnego wykonywania zawodu policjanta. Mojemu ojcu jednak zdawało się to nie przeszkadzać i wciąż uważał partnera za przyjaciela, ratował go z oparów, krył przed szefami, a nawet wpłacił kaucję, gdy Peter wywołał drakę w pubie i trzeba było dać mu nauczkę. Nie potrafiłem zrozumieć tej podwójnej moralności – i wciąż nie potrafię.

Przeczytałem kilka razy spis osób przebywających w Roseworth Manor, z niemałym zaskoczeniem konstatując, że część z nich jest mi znajoma. Pomijając Ruth i ofiarę, byli tam także lady Barbara – matka Ruth, Thomas – starszy brat dziewczyny z małżonką Amelią, Margaret Radcliffe – matka lady Roseworth, Claire i George Roseworthowie, czyli czternastoletnie bliźnięta, późne dzieci lordostwa. Znałem ich wszystkich, przed kilkoma laty utrzymywałem bliskie kontakty z Roseworthami i byłem częstym gościem w Roseworth Manor. Tym, co mnie zaskoczyło, była obecność w Anglii przyrodniej siostry Ruth, pierworodnej córki Thadeusa, która od czterdziestu ośmiu lat (o ile właściwie pamiętałem) mieszkała w Stanach Zjednoczonych. Ruth nigdy nie wspominała o tym, by utrzymywała kontakty z Moną, ale przez ostatnie dwa lata wiele rzeczy mogło się zmienić. W moim życiu zmieniło się niemal wszystko.

Poza członkami rodziny gazety wymieniały nazwiska zupełnie nic mi niemówiące takie jak: Christopher Talbott, Rupert Grey czy Adalind Almond. To ostatnie natychmiast uznałem za pseudonim, domyślając się, że nosząca go osoba musi pochodzić ze świata show-biznesu. Biorąc pod uwagę zawód wykonywany przez Ruth – a była ona jedną z najlepszych dziennikarek, jakie miałem okazję poznać – dziewczyna z pewnością miała znajomości pośród celebrytów. Co ciekawe, żadna z gazet nie wspomniała o lady Agacie Radcliffe, mieszkającej w Roseworth Manor od śmierci męża (Archibald zginął w czasie drugiej wojny światowej) bliskiej krewnej matki lady Roseworth, a przecież to właśnie ona powinna znaleźć się na pierwszym miejscu: skandalistka, pozbawiona zahamowań, szokująca łamaniem norm społecznych. Jej nieobecność pośród osób dramatu wydała mi się bardzo intrygująca.

Poza tymi dającymi się łatwo zweryfikować informacjami wiele miejsca poświęcano sylwetce lorda Rosewortha, skupiając się głównie na jego osiągnięciach, posiadłościach i działalności charytatywnej. Niektóre pismaki zadały sobie trud sprawdzenia historii rozwoju jego imperium i wkładu w wyposażenie brytyjskiej armii w czasie drugiej

wojny światowej. Większość artykułów jednak ograniczała się do wychwalania mecenatu Rosewortha dla młodych zdolnych i omawiania sytuacji rodzinnej lorda. I tu zaczynało się robić naprawdę ciekawie.

Thadeus Roseworth był dwukrotnie żonaty, po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, w wieku zaledwie dziewiętnastu lat. Co ciekawe, jeśli wierzyć autorom artykułów, ślub zawarto w Los Angeles. O tym, co Roseworth robił w USA przez kolejne dziesięć lat, niewiele wiadomo poza tym, że jego żona, Miranda Thompson, była znaną aktorką rewiową. Małżeństwo rozpadło się tuż po zakończeniu Wielkiej Wojny, a Roseworth wrócił do kraju, pozostawiając za oceanem siedmioletnią córkę Monę.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym poślubił Barbarę Fitzalan-Radcliffe, najmłodszą córkę księcia Norfolk, z którą ma czworo dzieci. Lady Roseworth w dniu ślubu była zaledwie o rok młodsza od pierworodnej córki Thadeusa.

Samo zrozumienie tych rodzinnych koligacji przyprawiło mnie niemal o zawroty głowy. Wiedziałem, że Roseworthowie są spokrewnieni z Windsorami, jednak nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak blisko. Wiedzieć musiałem, w końcu Ruth i Mary także były krewnymi, w przeciwnym wypadku pewnie nigdy nie poznałbym swojej żony.

Myśli znów poderwały się do lotu, tym razem jednak pozwoliłem im swobodnie poszybować. Wróciłem pamięcią do dnia, w którym piękna dziewczyna o kasztanowych włosach pojawiła się na progu mojego ojca, domagając się udzielenia jej wywiadu na temat szkieletu znalezionego w piwnicy któregoś domu zniszczonego w czasie wojny. Była tak namolna, że inspektor Jack Harper w końcu się ugiął. Tymczasem pode mną ugięły się nogi, kiedy ujrzałem towarzyszkę upartej reporterki, wyglądającą, jakby bardzo chciała być gdzieś indziej. Spuściła głowę i wpatrywała się w czubki brązowych bucików, zacisnąwszy drobne dłonie w pięści. Tamtego dnia nie odezwała się do mnie słowem, ale ja nie mogłem o niej zapomnieć. Poczekaliśmy, aż artykuł ukaże się

w prasie, i ruszyłem do redakcji w poszukiwaniu reporterki. Gdy ją znalazłem, z trudem wydukałem powód mojego najścia, który Ruth skomentowała słowami: „No, no, panie Harper, musi pan popracować nad retoryką, w przeciwnym razie kiepsko widzę pańskie szanse u Mary”. Być może gdyby nie wypowiedziała tych słów, które w moich osiemnastoletnich uszach zabrzmiały jak wyzwanie, wszystko potoczyłoby się inaczej, jednak ówczesny Jonathan Harper był przekonany o swojej omnipotencji i postanowił popracować nad retoryką.

Głos panny Whitler przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Dobranoc panom, życzę przyjemnej podróży.

Spojrzałem za okno, z zaskoczeniem odkrywając, że dojechaliśmy do Flordon, a następną stacją będzie Norwich.

Zebrałem i schowałem do aktówki gazety, choć panna Hardcastle z pewnością nie zaaprobowałaby mojej metody ich układania, zjadłem kanapkę, którą asystentka zapakowała mi na drogę, i zacząłem odrobinę się denerwować. Przez chwilę zastanowiłem się nawet nad tym, czy nie powinienem zawrócić, kiedy dotarło do mnie, że ucieczka byłaby największym tchórzostwem i blamażem, na który nie mogłem sobie pozwolić. Ruth nieświadomie dała mi od dawna wyczekiwaną szansę udowodnienia ojcu, że detektyw nie musi nosić policyjnego munduru, żeby rozwiązywać zagmatwane sprawy kryminalne. I mogła to być jedyna szansa, jaką kiedykolwiek otrzymam, a jej zmarnowanie stanowiłoby błąd nie do naprawienia.

Kiedy pociąg zbliżał się do stacji Norwich Thorpe, wymieniłem uprzejmości z pozostałymi dżentelmenami i opuściłem przedział. Nienaturalne podekscytowanie – a może było to zaniepokojenie wywołane myślą o trudności powierzonego mi zadania – sprawiło, że nie byłem w stanie usiedzieć. Współczesna medycyna z pewnością zna już klasyfikację dla mojej przypadłości, jednak ja nigdy nie odważyłem się usłyszeć diagnozy, tak samo jak wołałbym nie znać daty swojej śmierci. Nerwowa potrzeba poruszania nogami nie jest czymś, z czym

nie da się normalnie funkcjonować. Na pewno można się do tego przyzwyczaić, czego byłem najlepszym przykładem.

Ruth czekała na mnie, paląc papierosa, a gdy zbliżyłem się do niej, rzuciła niedopałek i zdusiła go pantoflem. W odróżnieniu od reszty jej stroju, składającego się z czarnej koszuli związanej pod szyją w dużą kokardę i czarnej spódnicy do połowy łydki, buty były jasne, jakby manifestowała nimi niezgodę na konwencjonalne obnoszenie się z żalobą. Zresztą wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Witaj, Jonathanie – odezwała się, a jej piękną twarz rozjaśnił ciepły uśmiech. – Dziękuję, że przyjechałeś, to wiele dla mnie znaczy.

Zamierzałem doprecyzować kilka kolejnych warunków, które pojawiły się w mojej głowie w trakcie podróży, jednak uznałem, że przyjdzie na to bardziej odpowiednia pora, i powiedziałem tylko:

– To ja dziękuję.

Podstawiłem jej ramię, które przyjęła z naturalnością, po czym zaprowadziła mnie do zaparkowanego nieopodal ciemnozielonego morrisa oxforda. Ku mojej rozpaczy prowadziła go sama. Miałem pewne doświadczenie z Ruth Roseworth za kierownicą i z całą pewnością nie zaliczyłbym go do udanych.

– Wskakuj, Jonathanie – ponagliła mnie, kiedy z oporem zbliżałem się do samochodu.

Nie miałem wielkiego wyboru, zwłaszcza że zrobiło się już całkiem ciemno. Z duszą na ramieniu zająłem miejsce pasażera i odruchowo zacisnąłem rękę na uchwycie nad drzwiami. Nie było to bynajmniej działanie na wyrost, ledwo bowiem opuściliśmy Norwich, a ciężka noga Ruth natychmiast przetestowała prędkość maksymalną samochodu. Przy siedemdziesięciu milach na godzinę silnik wył już tak przeraźliwie, że jakakolwiek próba rozmowy stawała się niemożliwa, a ja nie słyszałem nawet myśli, które w większości składały się z modlitw do bóstw opiekujących się szaleńcami. Wysiadając z samochodu na podjeździe Roseworth Manor, czułem, jak lodowaty pot przykleił mi koszulę do pleców, a serce nie mogło się uspokoić.

- Gotów na szaloną przygodę? - zapytała Ruth, zupełnie niewzruszona wyczynem godnym Ady Pace², od którego ja wciąż miałem nogi jak z waty.

- Myślałem, że właśnie ją przeżyłem - bąknąłem.

- Och, słodziutki, to nawet nie była rozgrzewka.



Rozdział 5

MUNDESLEY-ON-SEA, HRABSTWO NORFOLK, ROSEWORTH MANOR

Roseworth Manor, choć bywałem tu przed laty wielokrotnie, wydał mi się dziwnie obcy. Co prawda, nigdy nie odwiedzałem go późnym wieczorem, kiedy wszystko wokół wydawało się wymarłe, nie wspominając o ciszy, która robiła dość upiorne wrażenie. Rezydencja znajdowała się niemal na odludziu, tuż przy plaży, której niemal kilometrowy odcinek stanowił własność Roseworthów, a dom najbliższego sąsiada oddalony był o pół mili w linii prostej.

Gdybym miał do czegoś porównać ten typowo edwardiański budynek, powiedziałbym, że jego architekt przerysował dwie nieco pomniejszone wieże Tower Bridge, a pomiędzy nimi zamiast przęsła mostu zaprojektował przeszkloną altanę. Każda wieża miała wielkie wykuszowe okna na każdej z dwóch kondygnacji, a dodatkowo na wysokości pierwszego piętra znajdowały się tam balkony. Gdy bywałem w tym miejscu w czasach studenckich, nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu kiczowatości budowli. Teraz wydawała mi się wręcz groteskowo niezgrabna. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego lord Thadeus przedkładał to miejsce nad wspaniałą, znajdujący się w Londynie dom, którego z całą pewnością zazdrościł mu niejeden arystokrata, a może nawet sam premier Macmillan.

Wrażenie obcości i niedającego się zdefiniować niepokoju pogłębiła cisza, która przywitała nas, gdy wraz z Ruth weszliśmy do domu. Drzwi otworzył wieloletni majordomus, którego doskonale pamiętałem,

jednak nie odezwał się ani słowem, a zamknawszy za nami, natychmiast oddalił się do pomieszczeń dla służby.

- Wybacz, że nie czekaliśmy na ciebie z kolacją – odezwała się przepraszającym tonem Ruth. – Mama kładzie się teraz wcześniej, zaraz po wizycie doktora, który podaje jej jakieś środki na nerwy.

- Nic nie szkodzi, nie jestem głodny – zapewniłem całkiem szczerze.

Nie odczuwałem głodu, a kanapka przygotowana przez pannę Hardcastle ciążyła mi nawet teraz.

- Może więc napijesz się ze mną herbaty? – zaproponowała.

- Z chęcią. Jeśli to nie kłopot.

Herbata okazała się znakomitym pomysłem. Już po pierwszym łyku poczułem, jak kojąco wpływa na moje napięte nerwy. Mimo to wciąż czułem się nieswojo, zupełnie jakbym znalazł się w miejscu, w którym nie powinienem być. Nie było widać żadnego z domowników, a służba też nam nie przeszkadzała. Młodziutka pokojówka nie pojawiła się w salonie aż do chwili, kiedy postanowiliśmy udać się na spoczynek. Zanim to nastąpiło, ucieliśmy sobie z lady Roseworth całkiem przyjemną pogawędkę.

- Opowiedz mi o osobach mieszkających w domu – poprosiłem i wyjąłem notatnik z wysłużonej teczki.

Mimo że mam znakomitą pamięć do nazwisk i dat, zawsze notuję interesujące mnie dane, dzięki czemu łatwiej mi tworzyć hipotezy i wysnuwać wnioski.

Ruth uśmiechnęła się na widok mojego notesu – identycznego jak ten, z którym widywała mnie w Oksfordzie. To właśnie tam się poznaliśmy i tam nauczyłem się retoryki, dzięki której zdobyłem serce i rękę Mary.

- Nie traci pan czasu, detektywie Harper – zażartowała, po czym zapaliła papierosa.

Nie było sensu proponować jej ognia – Ruth Roseworth uważała, że mężczyźni winni wyręczać kobiety w tym, z czym one same nie są w stanie sobie poradzić. Jak na przykład w piłowaniu drewna albo

noszeniu ciężkich betonowych bloków, tak modnych ostatnio we współczesnym budownictwie.

- Poza moją matką, babką, bratem, bratową i bliźniakami aktualnie w Roseworth Manor przebywają także ciotka Agatha, Mona, Evelyn i Adalind Almond.

- Evelyn? - zapytałem, na razie zostawiając kwestię owej Almond, którą uznałem za osobę ukrywającą się pod pseudonimem.

- Evelyn Miller, siostrzenica mojej mamy. Mieszka z nami niemal od roku, odkąd poprzednia guwernantka bliźniaków uciekła z wikariuszem parafii w Cromer.

- I to wszyscy? - upewniłem się.

- Wszyscy stali bywalcy. Są jeszcze osoby dochodzące, ale o nich nie pytałeś. Christopher Talbott, odrażający typ, przyjaźni się z Thomasem i chyba wydaje mu się, że mój brat przekona mnie do zamążpójścia.

- A przekona?

- Po moim trupie! - wykrzyknęła i szybko zakryła usta dłonią. - Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale to święta prawda. Wołałabym chyba skoczyć do Tamizy, niż zawrzeć jakąkolwiek bliższą znajomość z Christopherem Talbottem.

Przemilczałem jej komentarz, bo chciałem najpierw sam wyrobić sobie opinię o tym człowieku. Choć przyznaję, że zaciekłość Ruth wyraźnie pobudziła moją ciekawość.

- Ktoś jeszcze? - dopytałem.

- Rupert Grey, przyjemny młodzieniec, adorator Evelyn, codziennie zjawia się po obiedzie i zabiera pannę Miller na spacer brzegiem morza. Jest absolutnie uroczy.

- Ale? - Uznałem, że musiało jakieś być.

- Cóż, biedny jak mysz kościelna i moja ciotka nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo.

- Jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty, chyba pora schować te wiktoriańskie poglądy do lamusa - skwitowałem cierpko.

- Nie każdy jest tak dzielny i postępowy jak Mary, Jonathanie. Dla Evelyn utrata rodzinnych koneksji byłaby ciosem w serce.

- Przecież miałyby ciebie - zauważyłem nieco zbyt ostro, gdyż niespodziewanie weszliśmy na grunt, który dla mnie był bardzo grząski.

- Owszem - przyznała krótko. - Obawiam się jednak, że mojej kuzynce brakuje tego, co nazywamy charyzmą. I duchem. Jest wyjątkowo mocno przywiązana do matki, a pracuje u nas jedynie dlatego, że ciotka niedawno wyszła ponownie za mąż, za mężczyznę dużo młodszego, i od roku włóczy się po świecie. Wysłanie Evelyn tutaj, do siostry lady Callaghan, było zarówno sprytnym, jak i podłym posunięciem, ale kimże ja jestem, żeby oceniać? Albo którąkolwiek inną damę.

Ta ostatnia uwaga, która osobie postronnej mogłaby wydawać się nic nieznacząca, dla mnie była wyraźnym sygnałem, że Ruth wciąż trzymała moją stronę. I z zaskoczeniem odkryłem, iż przyniosło mi to ulgę.

- Mamy więc na stałe dwanaście osób, nie licząc służby, i dwóch dochodzących dżentelmenów - podsumowałem, wracając do tematu. - Chciałbym poznać wszystkich jak najszybciej, choć mam sporo obaw, czy zechcą ze mną rozmawiać.

- Ależ oczywiście, że nie zechcą! - Ruth roześmiała się niemal radośnie. - To arystokraci, darmozjady, nieroby i kombinatorzy. W dodatku zadufane w sobie snyby. Dlatego też nie powiedziałam nikomu, że przybywasz tu jako detektyw, niczego by ci nie powiedzieli.

- A jako kto? - wyrwało mi się z zaskoczenia.

- Jako mój narzeczony. Utrę nosa Talbottowi i rozwiążę sprawę śmierci ojca. Czyż to nie jest genialne?

Z pewnością zaprzeczyłbym natychmiast, gdyby nie to, że ze zdumienia zupełnie odebrało mi mowę. Ruth Roseworth nie przesadzała: przejażdżka z nią była marną rozgrzewką przed tym, w co mnie wrzuciła. Nigdy bym się nie zgodził na przyjazd, gdyby zdradziła

mi swój plan. A ona doskonale o tym wiedziała, dlatego też przemilczała tak niebagatelną kwestię.

– Ruth... – zdołałem w końcu jęknąć ze zboląłą miną.

– Niczym się nie przejmuj, Jonathanie, moja matka ma zupełnie inne poglądy na temat tych spraw niż lady Dalrymple. – Wydmuchnęła dym z papierosa.

Poczułem ogromną ochotę, by również zapalić. Niestety, papierosnicę zostawiłem w kieszeni marynarki, a ta została już zaniesiona do przygotowanego dla mnie pokoju.

– Teraz najważniejsze jest, żebyś oczyścił rodzinę Roseworthów z tych okropnych pomówień. Może i jesteście dziwni, ale nie mordujemy ludzi.

– Ruth... – powtórzyłem nieco ostrzejszym tonem. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Nie widzieliśmy się od dwóch lat, nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu. To nie może się udać.

– Demonizujesz, Jonathanie – zbyła mnie i podsunęła mi papierosnicę.

Poczęstowałem się, bo powoli znów odczuwałem potrzebę wstania i dreptania, dopóki napięcie nie ustąpi.

– Moja rodzina kompletnie mnie nie zna, każdy jest zainteresowany wyłącznie sobą, więc prawdopodobnie wiesz o mnie więcej niż oni. Nie martw się na wyrost. Jediną osobą, która mogłaby zorientować się w tym szalbierstwie, był mój ojciec, ale on już niczego nie powie.

Cynizm, z jakim wypowiedziała ostatnie zdanie, zmroził mnie do szpiku kości. Ruth Roseworth być może nie była uległą i podporządkowaną konwenansom przedstawicielką arystokracji, jednak nigdy nie spodziewałbym się po niej takiej postawy. Żaloba, którą reprezentował jej czarny strój, zdała mi się nagle sztuczna i pretensjonalna.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – skapitulowałem.

Dym z papierosa zakręcił mi w głowie i przez chwilę miałem wrażenie, że pokryte kwiecistą tapetą ściany pokoju falowały. Kiedy ów

dyskomfort minął, otworzyłem oczy i spojrzałem na Ruth.

- Chciałbym dowiedzieć się więcej na temat lorda Rosewortha. Jakim był człowiekiem, jak wyglądały jego relacje z najbliższymi, kto mógł życzyć mu śmierci – wylizyłem. – Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek mówiła dużo na temat swoich stosunków z ojcem.

Była to całkowita prawda. Jak sięgałem pamięcią, a to jej niezwyklej pojemności zawdzięczałem większość życiowych sukcesów, nie potrafiłem przywołać żadnej konkretnej wzmianki, ani jednej opowieści czy choćby anegdoty na temat Thadeusa Rosewortha. Pierwszy raz Ruth powiedziała coś osobistego na jego temat kilka godzin wcześniej, gdy rano zjawiała się w agencji. Kiedy wziąłem pod uwagę osobowość i pełne pasji podejście do życia tej dziewczyny, zaczęło mnie to zastanawiać.

- To... trudne pytanie – odparła niemal szeptem. – Mój ojciec był bardzo skomplikowanym człowiekiem. Myślę, że miał tak wiele twarzy, iż spotkasz się z kilkoma różnymi jego obrazami i każdy będzie prawdziwy. Był tyranem, apodyktycznym pracodawcą, mizoginem i nieznoszącym słowa krytyki bufonem. Ale potrafił być czuły, był wrażliwy na sztukę, współczuł ludziom pokrzywdzonym przez życie i starał się pomagać potrzebującym. Jako rodzic... – Zawahała się przez chwilę, jakby szukała najwłaściwszego określenia. – Jako rodzic także pokazywał różne oblicza. Inaczej traktował Thomasa, inaczej mnie, a jeszcze inaczej bliźniaki.

- To dość kategoryczne stwierdzenia – zauważyłem, choć byłem w stanie zrozumieć, co miała na myśli. Ja sam znałem kilka twarzy własnego ojca i trudno byłoby mi go scharakteryzować w zaledwie paru słowach.

- Tak, możesz odnieść takie wrażenie – zgodziła się ze mną. – Ale wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. I wkrótce sam się o tym przekonasz, a tymczasem pora odpocząć. Jest już bardzo późno. – Ruth wstała tak energicznie, jakby jej kolana składały się ze sprężyn. – Śniadania jemy zwykle dosyć wcześnie, zwłaszcza że policja pojawia się tuż przed dziewiątą. Wyśpij się, Jonathanie, jutro przed tobą prawdziwa

próba. Spotkajmy się w jadalni około siódmej, zanim wstanie ciotka Agatha. Ona zwykle schodzi jako ostatnia.

Zamierzałem zapytać o kilka istotnych rzeczy: czy mamy się przytulać na przywitanie, czy powinienem trzymać ją za rękę, czy ustaliliśmy już datę wymyślanego ślubu, ale Ruth nie dała mi ku temu okazji. Cmoknęła mnie w policzek i pomknęła na górę, zostawiając oszołomionego z kotłującymi się myślami. Opadłem z powrotem na sofę i wbiłem niewidzący wzrok w kominek. Znów pomyślałem z niesmakiem, że wpakowałem się w solidną kabałę, ale na ucieczkę było za późno. Za późno, w sensie dosłownym, było także na telefon do panny Hardcastle, który powinienem był wykonać natychmiast po przyjeździe do Roseworth Manor. Oczywiście zupełnie wypadło mi to z głowy.

Ni stąd, ni zowąd u mojego boku zjawiała się pokojówka, co było jasnym znakiem, że nadeszła pora udania się na spoczynek. Ruszyłem za dziewczyną pełen złych przeczuc i z wolna krystalizujących się pytań, które musiałem zadać najpierw sobie, a następnie osobom dramatu.

Długo nie mogłem zasnąć, a gdy już mi się to udało, zapadłem w niespokojny sen, pełen przeszłości i bólu. Twarz mojej żony, mojej pięknej, zawsze uśmiechniętej Mary, przypominała w nim maskę pozbawioną życia i jakichkolwiek ludzkich cech. Wianek z jej ukochanych białych dali zwiądnął i jeszcze bardziej pogłębiał wrażenie upiorności. Mary patrzyła na mnie martwym, niewidzącym wzrokiem, a ja bezgłośnie, niczym ryba w akwarium, krzychałem, by się przecknęła, by do mnie wróciła; wyciągałem ręce, ale jakaś siła trzymała mnie w miejscu. W końcu rozległ się przerażający dźwięk, który wyrwał mnie z tego koszmaru.



Rozdział 6

Ruth zadbała o to, żebym nie zasnął, a mógłbym przysiąc, że ustawiony na nocnej szafce budzik poza mną obudził wszystkie ryby w promieniu kilku mil. Kiedy już udało mi się zlokalizować źródło natarczywego hałasu i wyłączyłem diabelski terkot, w ciszy, jaka mnie otoczyła, byłem w stanie odróżnić przyjemne dźwięki porannej krzątanimy. Skrzypiały podłogi, trzaskały drzwi, czyjeś buty stukały na schodach, a o szyby dzwonił deszcz. To ostatnie wyjątkowo mnie zdziwiło, wszak nic nie zapowiadało, że pogoda zmieni się tak gwałtownie. Po chwili przypomniałem sobie jednak, że nad morzem zwykle zmiany następują nieoczekiwanie, a to z kolei zawiodło moje myśli do powodu znalezienia się w Mundesley.

Nie całkiem jeszcze przytomny poczłapałem do łazienki, gdzie z przyjemnością rozgrzałem się pod strumieniem gorącej wody. Strzępki snu wciąż krążyły pod powiekami, przywołując uczucia, przed którymi próbowałem uciec. Myjąc zęby, dokładnie przyjrzałem się swojej twarzy, konstatując, że ja sam nie byłbym zachwycony takim kandydatem na męża dla lady Roseworth. Ciemne cienie pod oczami przydawały mi lat, napięta skóra podkreślała nadmierną szczupłość, a wystające kości policzkowe nadawały rysy mumii, które widziałem w Muzeum Brytyjskim w Kairze. Jedyne usta, identyczne jak u mojej matki – pełne, wykrojone w kształt serca – dodawały mi jako takiej urody. Po kilku próbach i solidnej porcji pomady udało mi się zapanować nad niesfornymi włosami.

– Lepiej nie będzie – mruknąłem, patrząc sobie w lustrze w oczy, i wróciłem do pokoju, żeby się ubrać.

Po raz kolejny poczułem wdzięczność do panny Hardcastle, która zadbała o to, by moje koszule nadały się do założenia, a garnitury – całe dwa – wyglądały jak nowe. Nie miałem pojęcia, jakimi mocami dysponuje ta kobieta, ale z całą pewnością powinienem chwalić dzień, w którym zgodziła się dla mnie pracować. Od razu też przypomniałem sobie, że muszę do niej zatelefonować, a w Roseworth Manor aparat telefoniczny znajdował się na parterze. Ścisłej rzecz biorąc, trzy aparaty: jeden w głównym holu, drugi w gabinecie lorda Thadeusa i trzeci w służbówce, którą to informację przyjąłem z nieukrywanym zdziwieniem od majordomusa.

– Tak, sir, w służbówce – potwierdził pozbawionym emocji tonem Bernard. – Milady nie lubi, kiedy służba kręci się po domu bez potrzeby, więc kazała zamontować telefon w przedsionku do kuchni. Tym sposobem pani Middleton nie musi biec do holu, żeby go odebrać.

– Pani Middleton to gospodyni, jak się domyślam? – zapytałem, rozglądając się po pomieszczeniu pełniącym funkcję saloniku zimowego, w którym najwięcej miejsca zajmowały dwa kominki po obu stronach ogromnego wykuszowego okna.

– Tak, proszę pana. Którego aparatu życzy pan sobie użyć?

– Chciałbym skorzystać z tego w gabinecie – odparłem.

Lokaj skinął głową i ruszył przodem, prowadząc mnie do wschodniego skrzydła rezydencji. Na szczęście jadalnia znajdowała się w przeciwnym kierunku, więc prawdopodobieństwo napatoczenia się tutaj któregoś domownika było niewielkie. Ale nie zerowe, o czym przekonałem się po zaledwie kilku krokach.

– Kim jesteś?

Wielkie czarne oczy wpatrywały się we mnie z taką intensywnością, że przez chwilę poczułem się nieswojo. Tym bardziej że oczy te znajdowały się na wysokości mojego pasa.

– Nazywam się Jonathan Harper – przedstawiłem się grzecznie i wyciągnąłem rękę do czternastoletniej siostry Ruth. – A ty zapewne masz na imię Claire.

- Lady Claire Barbara Margaret Marion Ruth Roseworth -
wyrecytowała dziewczynka i dygnęła, jak na damę przystało.

- Och, całkiem sporo tych imion. Musisz mieć znakomitą pamięć,
żeby je wszystkie wymienić - zauważyłem półzartem.

- Ależ to żaden kłopot, one tworzą system. Chcesz usłyszeć jaki?

Oczywiście, że chciałem, Musiałem chcieć.

- Pierwsze imię jest tylko moje, drugie mamy, trzecie mamy taty,
czwarte siostry mamy taty i piąte mojej siostry. Łatwo zapamiętać,
prawda?

- A dlaczego nie ma mamy mamy? - zapytałem, szczerze ciekaw
odpowiedzi.

- Bo mama mamy ma tak samo na imię jak mama taty. Głupio
byłoby mieć dwa razy na imię Margaret.

- Rzeczywiście, głupio - zgodziłem się. - Jeśli nie ma pani nic
przeciwno, panno Claire Barbaro Margaret Marion Ruth Roseworth, to
przepraszę teraz panią. Muszę wykonać pilny telefon do mojej ag...
asystentki. - W porę ugryzłem się w język.

- Masz asystentkę? Jak mój tatuś?

Przypomniawszy sobie dziennikarskie spekulacje na temat romansu
Rosewortha z jego dwudziestotrzyletnią asystentką (w które bynajmniej
nie wierzyłem), mimowolnie się skrzywiłem.

- Myślę, że każdy pracujący w biurze dżentelmen potrzebuje
porządnej asystentki, która pomoże mu uporządkować pracę -
odparłem dość wymijająco.

- Masz rację, też tak uważam. Mój tatuś i Thomas to okropni
bałaganiarze, tak mówi mamusia, i bez panny Linette zginęliby marnie.

Pomijając dziecięcą niewinność Claire, uderzył mnie jej
zdumiewający jak na okoliczności spokój, uwaga zaś o tym, że
„zginęliby marnie”, wydała się niemal wstrząsająca. Czyżby
Roseworthowie nie powiedzieli dziewczynce o śmierci ojca? Czy to
w ogóle było możliwe?

Skonsternowany ukloniłem się i wszedłem do gabinetu, a następnie zamknąłem drzwi na klucz. Dopiero w środku zdałem sobie sprawę, że bezwiednie znalazłem się na miejscu zbrodni. Większość śladów już dawno została zabezpieczona lub posprzątana, jednak wciąż można było dostrzec proszek daktyloskopijny i niedokładnie usunięte plamy krwi na dywanie. Domyśliłem się, że prowadzący śledztwo zabronili służbie sprzątać gabinet, spodziewając się, że odkryją kolejne tropy. Było to tyle słuszne, ile naiwne; z całą pewnością wszystko, co mogło zostać odkryte, już dawno ujrzało światło dzienne.

Wykonałem telefon do agencji i poinformowałem pannę Hardcastle w najbardziej lakonicznych słowach o tym, że wszystko w porządku. Bogatszy o wiedzę, że służba w tym domu może podsłuchać każdą rozmowę telefoniczną, postanowiłem być rozważny, a równocześnie wykorzystać tę informację na swoją korzyść.

Ledwo odłożyłem słuchawkę na widełki, rozległo się pukanie.

– Jonathanie, to ja – usłyszałem stłumiony głos Ruth.

Ruszyłem ku drzwiom i wpuściłem dziewczynę do środka. Na jej widok cofnąłem się odruchowo i gwałtownie wciągnąłem powietrze: stwierdzenie, że wyglądała oszalamiająco, byłoby ogromnym niedopowiedzeniem.

– Cześć, Ruth – wybąkałem, choć nie dam głowy, że dokładnie to wyszło z moich ust. – Chyba zapomniałaś mi wspomnieć, że na śniadania obowiązuje strój wieczorowy.

– Ależ skądże, głuptasie! – Roześmiała się radośnie.

Wyraźnie widziałem, że mój komplement sprawił jej przyjemność.

– Chociaż myślę, że nic tak nie uprawdopodobni mojego szczęścia z powodu zaręczyn jak suknia za równowartość tygodniowej pensji – dodała.

Wolałem nie wiedzieć, czy mówimy o pensji dyrektora, czy pracownika fabryki kabli; z całą pewnością ja nie mógłbym pozwolić sobie na taki wydatek.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - powtórzyłem swoją wątpliwość, która przez noc ani trochę nie zmaląła.

- Absolutnie, mój drogi. Uważam, że to genialny plan. Rodzina się ucieszy, że krnąbrna Ruth w końcu poszła po rozum do głowy i postanowiła się ustatkować...

- A mnie wezmą za łowcę posagów - wszedłem jej w słowo. - Już raz to przerabiałem, pamiętasz?

- Szybko się przekonasz, że Roseworthowie mają inne podejście do tych kwestii. Zresztą ja jestem niezależna i wcale nie interesuje mnie fortuna ojca. Thomas może wziąć wszystko.

Nie wiedziałem, czy Ruth świadomie poruszyła temat dość istotny z punktu widzenia śledczego; zdziwiłbym się bardzo, gdyby główną teorią Scotland Yardu nie był motyw finansowy.

- Testament Thadeusa został już otwarty? - zapytałem.

- Ma się to stać dzisiajszego popołudnia.

- Dlatego chciałaś, żebym przyjechał wczoraj - zrozumiałem, a że Ruth już kierowała się do wyjścia, chwyciłem ją delikatnie za nadgarstek i powiedziałem poważnie: - Obiecałaś niczego przede mną nie ukrywać i nalegam, żebyś dotrzymała słowa. To moja jedyna przewaga nad policją.

- Wybacz, wczoraj zupełnie wyleciało mi to z głowy - szepnęła skruszona. - Wszyscy znamy postanowienia testamentu, ojciec spisał go wieki temu i niczego w nim nie zmieniał.

- I wszyscy jesteście zadowoleni z zapisów?

- Bez dwóch zdań. Mama dziedziczy Roseworth Manor, Thomas firmę, ja dom w Londynie. Bliźniaki otrzymały fundusz, którym zarządza lady Barbara, a w razie jej śmierci Thomas z Amelią. Jest tam także zapis windykacyjny dla ciotki Agathy, chociaż i bez niego mama nigdy by się jej nie pozbyła. Ciotka wnosi do tego domu humor i radość z życia. - Ruth wyswobodziła rękę z mojego uchwytu i uśmiechnęła się niemal z czułością. - Jak widzisz, śmierć lorda Rosewortha niczego nie zmienia w naszej sytuacji życiowej. Thomas od lat zarządza firmą, a ja

od dawna mieszkam w Londynie. Mama przyrosła do tego domu i nic więcej nie jest jej potrzebne do szczęścia. Chodźmy, mój drogi, pora przedstawić cię rodzinie – powiedziała z uśmiechem i chwyciła mnie pod ramię. – Bądź dzielny!

Łatwo powiedzieć. Optymizm Ruth wcale mnie nie przekonywał i czułem się coraz bardziej zdenerwowany. Zupełnie jakbym naprawdę wsunął pierścionek na palec dziewczyny. Moje napięcie się pogłębiło, kiedy tylko otworzyłem drzwi gabinetu i do moich uszu doleciały odgłosy dyskusji prowadzonej w głębi domu. Dyskusji, w której pierwsze skrzypce grał doskonale znany mi głos.

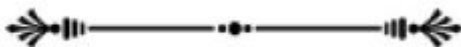
– Barbaro, mogłabyś już dać sobie spokój z tym umartwianiem się, przynajmniej w gronie rodziny – perorowała Agatha Radcliffe. – Kiedy ten cały cyrk się skończy, wreszcie odetchniesz i będziesz mogła zacząć żyć. Jesteś wciąż młoda, wszystko przed tobą.

– Agatho, co też ci przyszło do głowy... – oponowała lady Roseworth, której głos także rozpoznałem; brzmiał jednak delikatniej, zupełnie bez przekonania.

– Kiedy ja byłem w twoim wieku, przebierałam w kochankach jak w owocach na targu w Marrakeszu – ciągnęła Agatha.

Ruth parsknęła na widok mojej przerażonej miny.

– Bądź dzielny, Jonathanie – powtórzyła szeptem. – Kiedy wchodzisz do gniazda os, musisz mieć grubą skórę i zastrzyk z epinefryny przy sobie na wszelki wypadek.



Rozdział 7

Na widok mnie i Ruth wchodzących do jadalni wszystkie rozmowy zamilkły. Nie musiałem pytać, czy moja „narzeczona” uprzedziła krewnych o dodatkowych ustach do wykarmienia; ich zdziwione twarze stanowiły najlepszą odpowiedź. Lady Barbara zastygła z łyżeczką przy ustach, Thomas lustrował mnie wzrokiem, marszcząc czoło, jego żona patrzyła to na mnie, to na małżonka, jakby spodziewała się, że za chwilę rozpoczniemy pojedynek, a Agatha Radcliffe rozparła się na krześle i uśmiechnęła szeroko.

– No, no, no, Jonathan Harper – odezwała się, przerywając nieznośną ciszę. – To dopiero niespodzianka. Wiedziałam, że nasza Ruth skrywa jakiś sekrecik, ale na to bym nie wpadła.

– Co? Na co ciocia by nie wpadła? – Thomas przeniósł wzrok na Agathę. – Cóż to za insynuacje?

– Nie trzeba wyjątkowej inteligencji, Thomasie, żeby się domyślić, że Ruth właśnie przyprowadziła do domu... chłopaka – zaszydziła dama. – Nawet ty powinienes to pojąć.

– Agatho! – zaprotestowała lady Barbara.

– Och, wybacz mi, kochana, ale przecież to oczywiste, że ci dwoje mają się ku sobie. Thomas albo udaje, albo naprawdę jest tak ograniczony, że trzeba mu tłumaczyć takie rzeczy.

Wbrew moim obawom Thomas Roseworth nie uniósł się honorem, zupełnie jakby był pogodzony z opinią leciwej i złośliwej ciotki. Żona Thomasa także nie zareagowała, a lady Barbara jedynie wzruszyła ramionami. Zaiste, pomyślałem, przypominając sobie uwagę rzuconą przez Ruth poprzedniego wieczora, ta rodzina jest dziwna.

– Ciociu, mamu, Thomasie – odezwała się moja towarzyszka – cieszę się, że pamiętacie Jonathana. Chciałabym oficjalnie przedstawić go wam jako mojego narzeczonego.

Kiedy wyobrażałem sobie ten moment, ścisnęło mnie w żołądku, ale potrafiłem to wytrzymać i z godnością odgrywałem swoją rolę. Teraz nogi niemal ugięły się pode mną, a krtań samoczynnie zacisnęła i niemal zabrakło mi tchu.

– Narzeczonego? – Agatha Radcliffe wyglądała na zszokowaną. – A to niespodziewany obrót zdarzeń. Jonathanie, wieszając gustu, nie zadowolasz się byle kim.

– Ciociu! – Tym razem to Ruth zaprotestowała, a w jej głosie zadźwięczała ostrzegawcza nuta. – Natychmiast przepros, to było wyjątkowo wredne nawet jak na ciebie!

– Masz rację, kwiatuszku – przyznała Agatha. – Przepraszam, Jonathanie, nie miałam nic złego na myśli. Gratuluję wam obojgu i bardzo się cieszę.

Ukloniłem się nisko na znak, że nie chowam urazy i przyjmuję gratulacje, a Ruth z czarującym uśmiechem pogłaskała mnie po dłoni. Trochę denerwowało mnie już to sterczenie na środku pokoju, pociągnąłem więc dziewczynę w kierunku wolnych krzeseł, zachowując stosowną przestrzeń od pozostałych uczestników śniadania.

– Dziękuję, lady Radcliffe – powiedziałem, w końcu odzyskawszy głos. – Lady Roseworth, bardzo przepraszam za brak uprzedzenia o mojej wizycie, ale Ruth nie pozostawiła mi wyboru. Zaistniałe okoliczności tak bardzo nią wstrząsnęły, że zażądała, abym przyjechał natychmiast.

Dla wzmocnienia swoich słów spojrzałem Ruth w oczy, a ona uśmiechała się do mnie z taką czułością, że ja sam niemal uwierzyłem w jej żarliwe uczucie. Rzeczywiście była znakomitą aktorką, musiałem jej to przyznać.

– Bardzo mi miło, panie Harper – odparła Barbara tonem, którym również dobrze mogłaby omawiać czynność skórowania królika. – Cieszę

się, że Ruth ma w panu wsparcie w tych trudnych chwilach. Proszę się czuć jak w domu.

Tymczasem Agatha Radcliffe zupełnie nie dała wiary mojej historyjce, co wyraziła aż nadto dobitnie, gdy na nią spojrziałem. Pokręciła głową, puściła do mnie oko i pogroziła palcem jak krnąbrnemu dziecku.

- Ach, ta nasza Ruth - westchnęła, mieszając herbatę z mlekiem. - Taka wrażliwa i krucha. Dobrze, że znalazła swojego rycerza.

Wiele rzeczy można by powiedzieć o Ruth Roseworth, jak choćby to, że była niezwykle inteligentna, doskonale zorientowana w sytuacji politycznej i wykształcona, ale z całą pewnością nikt, kto znał ją nawet powierzchownie, nie określiłby jej mianem kruchej. Agatha Radcliffe nie dała się nabrać, ale nie zamierzała nas wydać.

- Czym pan się zajmuje, Harper? - zapytał Thomas, jakby rozpoczął rozmowę o pracę z nowym kandydatem.

- Prowadzę agencję...

- ...nieruchomości - uprzedziła mnie Ruth. - Jonathan zajmuje się sprzedażą domów.

- Yyy, tak, właśnie, sprzedają domów - potwierdziłem, z trudem maskując zmieszanie.

- Bardzo dobry zawód, solidny - pochwalił lord Roseworth. - A co to za agencja? Być może o niej słyszałem?

- Czy możemy odłożyć to przesłuchanie na później? - poprosiła Ruth. - Jonathan powinien zjeść śniadanie, zanim zjawi się tutaj policja.

- Słusznie, słusznie, niech się posili, zanim stanie twarzą w twarz z... - Agatha zamilkła, jakby nagle zmieniła zdanie, po czym dokończyła: - Ze stróżami prawa.

Usłyszałem, jak Ruth wypuszcza z ulgą powietrze, i zrozumiałem, że lady Radcliffe zamierzała powiedzieć coś na temat mojego ojca. Wydawało mi się oczywiste, że Roseworthowie natychmiast skojarzą nazwisko, ale nic takiego się nie wydarzyło. I znów musiałem przyznać, że ta rodzina mnie zadziwiła.

Lady Barbara, podobnie jak Amelia, nie odezwała się już ani słowem, a gdy skończyła posiłek, natychmiast udała się do swojej sypialni. Thomas, Ruth i Agatha prowadzili rozmowę na temat spektaklu, który oglądali kilka dni wcześniej, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ich zachowanie zupełnie nie pasuje do tego, co sobie wyobrażałem. Owszem, nosili stosowną czerni – poza Ruth, która dzisiaj miała na sobie prześliczną granatową sukienkę w białe grochy – ale poza tym zupełnie nie było widać oznak żałoby. Oczywiście, to nie musiało o niczym świadczyć, a być może to ja miałem zbyt melodramatyczne wyobrażenia.

Kiedy zegar wybił ósmą, Thomas i Amelia opuścili jadalnię, pozostawiając mnie i Ruth w towarzystwie ciotki Agathy. Leciwa dama nie zwlekając z odpaleniem dżonu.

– Co wy kombinujecie? – zapytała, choć w jej tonie nie było wrogości, a jedynie rozbawienie i ciekawość.

– Nie wiem, o czym mówisz, ciociu – odparła Ruth, pogryzając rogalika z konfiturą wiśniową.

– Tacy z was narzeczeni jak ze mnie nałożnica księcia Philipa – ucięła Agatha. – Nic nikomu nie powiem, ale chcę wiedzieć, co się święci.

Wymieniliśmy z Ruth spojrzenia, po czym oświadczyłem Agacie, że zamierzam poprowadzić osobne śledztwo. Skinęła głową, zapewne domyśliwszy się tego wcześniej. Ona doskonale wiedziała, czym zajmuje się moja agencja.

– Znakomicie. Z dwojga złego zdecydowanie wolę tego Harpera – stwierdziła, a w kolejnej sekundzie do jadalni weszły dwie nieznane mi kobiety w wieku zbliżonym do lady Roseworth.

Domyśliłem się w nich Mony Roseworth, przyrodniej siostry Ruth, i Adalind Almond. Nie byłem jednak w stanie stwierdzić, która jest którą, a one zdawały się całkowicie ignorować moją obecność, może nawet nie zauważyły, że przy stole siedzi obca osoba. Były tak

pochłonięte rozmową, a właściwie sporem, jakby właśnie decydowały o ludzkim losie.

- Nie przejmuj się nimi, one tak zawsze - szepnęła do mnie Ruth. - Całymi dniami rozmawiają tylko o znajomych z Hollywood. Obgadują ich, mówiąc dokładniej. Wczorajszego ranka pokłóciły się o tego muzyka, Elvisa Presleya. Mona uważa, że jest „przystojny jak marzenie”, a Adalind stwierdziła, że „chyba dla niewidomych”.

- Ja bym go z łóżka nie wyrzuciła - stwierdziła Agatha, która siedziała bliżej. - Z tego, co pamiętam, Mary kochała jego Heartbreak Hotel.

Zakrztusiłem się herbatą, którą właśnie piłem, i rozkaszałem na dobre, zwracając na siebie uwagę dwóch Amerykanek. Przerwały rozmowę i spojrzały na mnie z zaciekawieniem.

- Prze... ekh... ekh... Przepraszam - wydyszałem, odzyskawszy oddech. - Zwykła nieostrożność - wyjaśniłem.

- Nie miałam pojęcia, że w tych czasach młodzi mężczyźni wciąż mogą być tak delikatni - stwierdziła kwaśno lady Radcliffe. - Chyba że to nie wzmianka o łóżku tak cię poruszyła, Jonathanie.

- Ciociu! - Ruth wyglądała na rozwściezoną. - Czy ty choć raz mogłabyś zachować się przyzwoicie? Odrobina wrażliwości i dyplomacji naprawdę by nie zaszkodziła. Jonathanie, wybac Agacie, nie wie, kiedy ugryźć się w ten złośliwy język.

- Nic nie szkodzi, Ruth - odrzekłem z powagą. Podjąłem decyzję: już czas na rozprawienie się z demonami. - To prawda, lady Radcliffe, Mary kochała muzykę Elvisa. Podobnie jak kochała Doris Day, filmy z Marilyn Monroe i Susan Hayworth, białe dalie i spacer po plaży. I kochała mnie - dodałem niemal szeptem, gdyż gardło ścisnęła mi niewidzialna siła.

- Przepraszam, kim jest ten przeraźliwie smutny człowiek? - Rudowłosa szczupła kobieta skierowała to pytanie w eter.

- To pan Jonathan Harper, narzeczony twojej siostry - wyjaśniła ostrym głosem Agatha.

- Harper? Brzmi znajomo - odezwała się druga, którą musiała być Adalind Almond.

Patrząc na nią, można było zrozumieć dobór pseudonimu. Ubrana od stóp do głów w kremy i beże, platynowe blond włosy miała ułożone w fale, a oczy w kolorze orzecha naprawdę przypominały kształtem migdały. Wyglądała jak chodząca wizytówka Fabryki Snów.

- Adalind, nie sądzę, żeby ten młody człowiek był TYM Jonathanem Harperem - pouczyła ją Mona. - Nie ma pan związków z filmem, prawda?

- Nie mam, bynajmniej - zaprzeczyłem. - Ale być może słyszały panie o mojej matce, Charlotte Harper.

- Oczywiście! - Adalind klasnęła w dłonie. - Piękna Charlotte, ulubienica wszystkich projektantów mody! Nie miałam pojęcia, że ma tak... dorosłego syna.

- Cóż - rozłożyłem ręce - widocznie nie chciała psuć sobie wizerunku idealnej modelki. Charlotte urodziła mnie bardzo młodo i niewiele później wyjechała do Stanów, jeszcze przed wybuchem wojny. Ja zostałem z ojcem w Anglii.

- To bardzo przykre - oceniła Mona. - U mnie było odwrotnie, ale nie narzekam. Myślę, że chłopcu o wiele bardziej potrzebny jest ojciec niż matka, a u dziewczynki zupełnie odwrotnie.

Nikt nie skomentował tej wypowiedzi, choć ja miałbym całkiem sporo do powiedzenia na ten temat. Nie był to jednak czas na takie dyskusje. Nieubłaganie zbliżała się godzina, kiedy pierwszy raz od dwóch lat miałem zobaczyć się ze swoim ojcem. Nie spodziewałem się ze strony Jacka Harpera wybuchu radości. Jeśli w ogóle okaże jakiegokolwiek emocje - co wydawało mi się mało prawdopodobne - to raczej negatywne.

- Jonathanie! - Głos Agathy dotarł do mnie jak zza grubego muru. - Chciałabym zamienić z tobą słówko. Na osobności.

- Oczywiście - zgodziłem się i wytarłem usta serwetką.

Zamierzałem odsunąć krzesło lady Radcliffe, ale uprzedziła mnie, szurając nim tak głośno, że zaboląły mnie zęby. Podstawiła mi ramię, zupełnie po męsku, i wyprowadziła z jadalni. Czułem na sobie zaniepokojone spojrzenie Ruth i zaciekawione Amerykanek. Zanim znaleźliśmy się w pokoju dziennym, usłyszałem jeszcze komentarz Adalind:

- Całkiem niezły wybór, Ruth, chłopak ma dobre geny. Śliczniutki po matce.



Rozdział 8

Pokój dzienny, a właściwie pokoik, został urządzony ze smakiem i zdradzał upodobanie pani domu do światła. Wszystko tu było jasne: począwszy od ścian pokrytych połyskującą kremową tapetą, przez białe meble, poduszki, kapy oraz całe mnóstwo kryształowych ozdób i bibelotów, których odkurzanie musiało być koszmarem. Obok trzyczęściowego kompletu wypoczynkowego z beżowej skóry znajdował się niewielki kredens (oczywiście biały), a w nim kilkanaście butelek z przeróżnymi aperitifami. Lady Radcliffe bez pytania otworzyła szafkę, wyjęła z niej butelkę bourbona, dwie szklaneczki i nalała trunku. Spojrzałam na zegar – kwadrans po ósmej.

– Przyda ci się – stwierdziła Agatha, widząc moje wahanie.

Sięgnąłem po szklankę i wypilem łyk. Ciepło natychmiast spłynęło mi do gardła, pozostawiając delikatną goryczkę na języku.

– Usiądź, Jonathanie – poleciła, sama zajmując miejsce na sofie. – Domyślam się, w jakim celu Ruth cię tu sprowadziła, i pochwalam jej pomysł – oznajmiła, gdy przycupnąłem na brzegu fotela. – Niemniej musisz wiedzieć, że to nie będzie łatwe zadanie.

– Co ma pani na myśli, lady Radcliffe? – Kolejny łyk whiskey sprawił, że zakręciło mi się w głowie.

– Och, daj już spokój z tą „lady”. Być może Thadeusowi na tym zależało, ale mnie zupełnie nie. Mów mi Agatha, tak jak zwracała się do mnie twoja żona. Wiem, co chcesz powiedzieć – zastrzegła, gdy szykowałem się do riposty. – Jesteś mężem Mary, a przez to stałeś się członkiem mojej rodziny. W odróżnieniu od mojej kuzynki ja nie oceniam ludzi po ich tytułach. Jesteś dobrym człowiekiem, Jonathanie, i wiem, że Mary była szczęśliwa.

Tym razem nie miałem nic do powiedzenia, a napływające do oczu łzy sprawiły, że zupełnie zaschło mi w gardle.

- Śmierć twojej żony była wielką tragedią, dla ciebie, dla mnie i dla jej rodziców - ciągnęła Agatha, patrząc na mnie ze współczuciem. - Ale ty musisz żyć, chłopcze. Odrzuć tę żalobę, najwyższa na to pora. Nie możesz cierpieć w nieskończoność.

- Lord i lady Dalrymple'owie obwiniają mnie o jej wypadek - wycharczałem z trudem.

- Bo są idiotami! - uniosła się lady Radcliffe. - Oni nigdy nie zaakceptowali ciebie, a teraz mają powód, który wydaje im się rozsądny. Gdyby jednak choć na chwilę odsunęli swój snobizm i tę potworną próżność, z pewnością zobaczyliby chłopaka, który kochał ich córkę nad życie i nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. To był wypadek, Jonathanie. Los tak chciał, a z losem ani nie da się wygrać, ani nie można go oszukać.

Jej słowa dźwięczały mi w uszach, kiedy jednym haustem dopijałem zawartość szklanki. Bourbon rozgrzewał mnie i rozjaśniał myśli. Dawał ukojenie, którego nie potrafiłem znaleźć przez dwa ostatnie tygodnie.

- Ma pani rację, Agatho - odezwałem się po chwili - z losem nie da się wygrać. Jednak myli się pani w jednej kwestii. Jestem przekonany, że śmierć Mary nie była przypadkowa i to nie los jej chciał, tylko człowiek.

Patrzyłem, jak wyraz twarzy lady Radcliffe nagle się zmienia. Brwi uniosły się wysoko, czoło przecięły głębokie zmarszczki, a drobna szczeka opadła. Cienka, delikatna skóra zbladła, uwidoczniając sieć żyłek. Agatha wpatrywała się we mnie błyszczącymi oczami, jednocześnie przetrawiając moje słowa. Ja sam też się z nimi oswajałem, po raz pierwszy wypowiedziawszy je na głos.

- To niedorzeczne, Jonathanie - wyszeptła w końcu.

- Tak, wiem, jak to brzmi. I sam jeszcze do niedawna w to nie wierzyłem.

- Ruth wie?

– Nie, nikomu o tym nie mówiłem. Pani jest pierwsza.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Kiedy podnosiła szklanke do ust, jej ręka drżała. – Nie mogę w to uwierzyć...

– Minęły dwa lata, obawiam się, że niewiele mogę zrobić po takim czasie. Kto da wiarę słowom męża, który postradał zmysły z rozpaczy?

Oczywiście, że od razu pomyślała o moim ojcu. Przecież powinien uwierzyć jednemu synowi, stanąć za nim murem, dokopać się do samego piekła, żeby znaleźć mordercę synowej. Każdy tak by pomyślał. Każdy, kto nie poznał Jacka Harpera.

– Chyba wolałabym tego nie wiedzieć – stwierdziła gorzko i spojrzała tęsknie na butelkę stojącą na szafce.

Podniosłem się z fotela, chwyciłem jej szklanke, w drugiej ręce trzymałem swoją. Napelniłem obie, tym razem odmierzając solidniejszą porcję. Wręczyłem Agacie szkło, stuknąłem w nie swoim i oznajmiłem:

– Ja również, lady Radcliffe, ja również.

Zaledwie chwilę później dzwonek do drzwi zabrzmiał jak wezwanie na wojnę. Nie było to zwyczajne „ding-dong”, tylko koszmarna melodia ciągnąca się przez dobrą minutę. Na domiar złego lokaj nie spieszył się z otwarciem.

– To dlatego nikt znajomy nigdy nie dzwoni – poinformowała mnie Agatha, krzywiąc się i przewracając oczami.

– Zapamiętam.

– Dopij drinka, Jonathanie, i bądź dzielny.

To już drugi raz, kiedy kazano mi być dzielnym, jakbym za chwilę miał stoczyć walkę w rzymskim Koloseum. Gdyby nie to, że nie podejrzewałem ani Ruth, ani Agathy Radcliffe o ukrywanie przede mną istotnych informacji, mógłbym pomyśleć, że celowo wystawiają mnie jako mięso armatnie. Tym razem jednak, zapewne za sprawą buzującego mi w żyłach alkoholu, zapytałem:

– Obawia się pani, że pożre mnie mój ojciec czy pani krewni?

– Właściwie nie dostrzegam między nimi żadnej różnicy – odparła ze śmiechem. – Jedyne pocieszenie w tym, że Thadeus już nie może dołożyć swoich trzech groszy.

Ponownie uderzył mnie cynizm, z jakim mówiono o nieżyjącym lordzie. Ewidentnie coś tu było nie w porządku. Przez myśl przemknęło mi pytanie, czy możliwe, aby śmierć Thadeusa przyniosła jego bliskim... ulgę. Nawet w mojej głowie zabrzmiało to wręcz okrutnie, choć zasiane ziarno zakiełkowało. Kolejne pytania, jakie powinienem jak najszybciej zadać wszystkim domownikom, układały się w spójną hierarchię, którą przy najbliższej okazji muszę zapisać w notesie. Tymczasem pora skupić się na zgoła innym problemie.

– Nadinspektor Harper, komisarz Southenby – zaanonsował przybyłych Bernard. – Lady Radcliffe, życzy sobie pani przyjąć panów tutaj czy w gabinecie?

– Całkiem wygodnie mi na tej kanapie – odparła Agatha, która najwidoczniej pełniła obecnie funkcję pani domu.

Bernard uklonił się lekko i wycofał z przejścia, wpuszczając dwóch policjantów. Zastanawiałem się, czy celowo przemilczał moją obecność w salonie. Mógłbym przysiąc, że zauważyłem na jego twarzy złośliwy uśmiezek.

– Dzień dobry, lady Radcliffe. Jonathan...? Co ty tutaj robisz?

Lodowate sople wypełniły moje płuca, a w uszach zamieszkały szumy. Głos mojego ojca – donośny, władczy i ociekający nieskończoną pewnością siebie – nawet teraz potrafił mnie obezwładnić.

– Dzień dobry, ojczu – powiedziałem, zbierając wszystkie siły. Patrzyłem mu w oczy; chciałem, żeby wiedział, że nie ma już nade mną żadnej władzy.

– John! A niech mnie pokręci! – Southenby, obleśny typek przypominający skrzyżowanie hipopotama z guźcem, szczyrzył się do mnie, prezentując żółte zęby. Jego rzadkie, tuste włosy przylegały do okrągłej czaszki, a małe oczka świdrowały mnie na wylot.

– Co tu robisz, chłopcze? – powtórzył nadinspektor.

- Jonathan jest naszym gościem - przyszła mi w sukurs Agatha. - Tak się składa, że on i Ruth od dawna planowali kolację zaręczynową i nie chcieli już dłużej czekać.

- I to według pani jest najlepszy moment? - Ojciec zignorował wzmiankę o zaręczynach.

- Ruth potrzebuje wsparcia, nadinspektorze, nie sądziłam, że obecność pańskiego syna może być problemem. Chyba nie boi się pan, że wpłynie ona na pańską pracę?

Widziałem to jak na dłoni: Jack Harper gotował się w środku, nie mogąc znieść impertynencji arystokratki. Gdyby nie znajdował się w jej domu, z pewnością uraczyłyby ją odpowiednią ripostą, tu jednak musiał szanować nie swoje zasady.

- Bynajmniej, lady Radcliffe - warknął, przełknawszy żółć. - Chciałbym porozmawiać z panną Roseworth, zanim zjawi się notariusz.

- Oczywiście, nadinspektorze - powiedziała z taką lekkością Agatha, jakby pogawędki z policją były w tym domu na porządku dziennym i co weekend grywała wieczorami w pikietę ze stróżami prawa. - Jonathanie, będziesz tak uprzejmy i przyprowadzisz swoją narzeczoną? Mniemam, że już skończyła śniadanie.

Skinąłem głową i ruszyłem do jadalni. Niespodziewanie poczułem się dziwnie lekko, jakbym oddalając się od ojca, odzyskiwał władanie nad ciałem. Świadomość, że Agatha Radcliffe trzyma moją stronę w tej niewypowiedzianej wojnie, dodała mi otuchy. O bourbonie, rzecz jasna, nie wspominając.

W jadalni zastałem trzy kobiety w towarzystwie młodej dziewczyny, w której domyśliłem się kuzynki Ruth, Evelyn Miller. Podobieństwo dziewcząt było uderzające, zwłaszcza gdy siedziały obok siebie.

- Wszystko w porządku, Jonathanie? - zaniepokoiła się moja „narzeczona”.

- Tak, tak, w porządku. Policja chce z tobą rozmawiać.

Ruth nie wydawała się ani trochę zaskoczona, jakby się tego spodziewała. Dopiła ostatni łyk herbaty i z gracją wstała z krzesła.

- Wybacz, Evelyn, będziesz musiała jeszcze chwilę poczekać z wypytaniem Jonathana o to i owo. - Puściła oko do kuzynki, która uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową, a Ruth ujęła mnie pod ramię i gdy wyszliśmy z jadalni, spytała szeptem: - Ciotka nie zalała ci za skórę?

- Skądże znowu, była niezwykle przyjazna - odszepnąłem.

- Może to jakiś dzień uprzejmości i twój ojciec też mnie oszczędzi. - Zachichotała.

- Obawiam się, że nie ma w tym domu tyle alkoholu, żeby zamienić Jacka Harpera w uprzejmego dżentelmena...

Ku mojemu zdziwieniu po powrocie do saloniku ujrzałem obrazek niemieszczący się w granicach mojej wyobraźni. Nadinspektor Jack Harper siedział na sofie obok lady Radcliffe i oboje zaśmiewali się do rozpuku. Był to widok tak bardzo dla mnie obcy, że poczułem się niemal ogłuszony.

- Żebyś nie musiał tego odszczekiwać - szepnęła Ruth i ścisnęła mocno moją rękę.

- Nie wiem, co tu się dzieje, ale na wszelki wypadek nie daj się zwieść. Ten człowiek to szczwany lis i z pewnością ma jakąś idée fixe.

- Ach, jesteście! - zawołała Agatha, ukradkiem ocierając łzę z kącika oka. - Pan nadinspektor doskonale opowiada dowcipy, może chcecie posłuchać?

Symultaniczne skrzywienie na naszych twarzach było wystarczająco jasną odpowiedzią, ale i mój ojciec nie wyglądał na zachwyconego pomysłem lady Radcliffe. Na nasz widok jego pogodne przed momentem oblicze zasnuło się czarnymi chmurami, a spojrzenie znów nabrało tak doskonale mi znanej ostrości.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko, madame, chcielibyśmy jak najszybciej rozmówić się z lady Roseworth - oznajmił grzecznie, acz stanowczo. - Na osobności, jeśli łaska.

- Jonathan zostaje ze mną, nie mam przed nim nic do ukrycia - zażądała natychmiast Ruth. - Nie gniewaj się, ciociu.

Agatha wydawała się niezadowolona, podniosła się z wyraźnym ociąganiem, a gdy mnie mijala, szepnęła:

- Wszystko będzie dobrze.

Szczerze mówiąc, zaczynało mnie już męczyć to nieustanne zapewnianie, jakbym sam nie dość mocno wierzył, że poradzę sobie z wykonaniem zadania, do jakiego się zobligowałem. Odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że nikt, włącznie z Ruth, nie traktuje mnie tu poważnie. Tymczasem najtrudniejszy sprawdzian, a tym samym największe wyzwanie dopiero miały się zacząć.

- Lady Roseworth - odezwał się tym razem Southenby - zechce pani usiąść?

Ruth nie ruszyła się z miejsca, jedynie mocniej złapała moje ramię.

- Dziękuję, postoję.

Komisarz zerknął niepewnie na mojego ojca, który cofnął się niemal pod ścianę, a teraz wykonał ledwo widoczny potakujący gest głową.

- Ekhm, dobrze, skoro pani tak woli - mruknął Southenby i usiadł na fotelu, który wcześniej zajmowałem. - Lady Roseworth...

- Panno Roseworth - przerwała mu dziewczyna. - Lady Roseworth to moja matka, a wkrótce bratowa przejmie ten tytuł. Tymczasem ja niebawem zostanę panią Harper - oświadczyła ze zdecydowaniem, które zrobiło na mnie silne wrażenie.

Poczułem na sobie wzrok ojca, jednak nie miałem odwagi odwzajemnić spojrzenia. Zamiast tego wpatrywałem się w nalaną twarz Southenby'ego i zastanawiałem się, o co zamierza zapytać Ruth.

- Panno Roseworth - zaczął tamten tonem ocierającym się o złośliwość - czy zechce nam pani jeszcze raz opowiedzieć o okolicznościach, w jakich odkryła ciało lorda Rosewortha? Po przeanalizowaniu pani wyjaśnień doszliśmy do wniosku, że kilka rzeczy wciąż pozostaje niejasnych, więc prosilibyśmy, żeby opowiedziała nam pani o tym ponownie. - Podniósł spojrzenie na Ruth, a jego świńskie oczka zabłyśły. - Być może coś źle zrozumieliśmy - oznajmił z miną

niewiniątka, w którą nie uwierzyliby nawet dziecko – bo raczej nie chciała nas pani okłamać, prawda?

Choć wychowano mnie na dżentelmena, wezbrała we mnie ochota, aby sięgnąć po słownictwo, które Southenby z pewnością lepiej rozumiał, i powiedzieć mu dosadnie, co może sobie zrobić z tą złośliwą uprzejmością. Zaciśnięta mocno wokół mojego ramienia ręka Ruth powstrzymała mnie przed wybuchem.

– Rozumiem, sierżancie. – Dziewczyna doskonale panowała nad swoim głosem, który teraz brzmiał mocno i niemal władczo. – Rozumiem, że mimo moich zapewnień nie uwierzył pan w to, że żaden z członków rodziny Roseworthów nie miał powodu, żeby odebrać życie mojemu ojcu. Tym bardziej się cieszę, że jest ze mną mój narzeczony, którego również poprosiłam o przeanalizowanie tej sprawy i udowodnienie, że lord Thadeus zginął z własnej ręki.

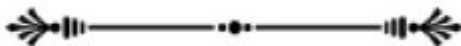
Tym razem zdumienie odbiło się na twarzach zarówno policjantów, jak i mojej. Nie byłem przygotowany na wyłożenie kart na stół, podobnie jak mój ojciec.

– Ach tak? – zapytał z nutą kpiny nadinspektor. – To doprawdy interesujące, Jonathanie. Choć nie powiem, że bym został całkiem zaskoczony. W końcu detektywem się jest, a nie jedynie bywa, nawet gdy wydaje nam się, że możemy zająć się przeżywaniem żałoby.

– Jak śmiesz! – warknąłem, tracąc panowanie nad sobą, ale głośne wciągnięcie powietrza przez Ruth natychmiast mnie ostudziło. – To, po pierwsze, nie ma nic do rzeczy, a po drugie, nie jest twoją sprawą... ojciec. – Zaciśnąłem szczęki tak mocno, że wywołały dotkliwy ból w skroniach.

– Mylisz się, chłopcze – odparł ani trochę niezmiśzany Jack Harper. – Wszystko, co dotyczy ciebie, jest i zawsze będzie moją sprawą. Ale dobrze, jak sobie życzysz, zostawmy na razie tę kwestię. Panno Roseworth – zwrócił się do Ruth, nieco łagodząc ton – na potrzeby niniejszej rozmowy załóżmy, że wszystko, co powiedziała nam pani poprzednio, wyparowało z naszych głów. Chciałbym, żeby

zrelacjonowała pani komisarzowi Southenby'emu ze szczegółami, co się wydarzyło wieczorem dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku.



Rozdział 9

– Nie ja go zabiłam – wycedziła Ruth Roseworth, odwracając się wolno od okna.

Harde spojrzenie podkreślone ciemnym makijażem utkwiała w twarzy barczystego mężczyzny, w którym z trudem rozpoznawałem swojego ojca.

– A jednak ktoś to zrobił. – Głos policjanta był miękki, jakby mówił do dziecka, którego uczuć nie chce urazić, ale czuje potrzebę wyjaśnienia ważkiej materii.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu miałem okazję obserwować ojca przy pracy. Nadinspektor detektyw Jack Harper, gwiazda Scotland Yardu, wyglądał dokładnie tak, jak większość ludzi wyobraża sobie policjanta: był masywnie zbudowany, wzrostem przewyższał niejednego mężczyznę, strzygł się krótko, niemal po żołniersku, a jego poważna twarz zwykle była gładko ogolona. Jako jeden z nielicznych nigdy nie uległ modzie na zapuszczanie wąsów, co zresztą nas łączyło.

Dziewczyna oparła się plecami o parapet i założyła ręce na piersiach. Była szczupła i zaskakująco wysoka, a kilkunastocentymetrowe obcasy sprawiały, że wydawała się niewiele niższa od detektywa. Policjant przyglądał się jej z zawodową ciekawością, choć byłem pewien, że także dla niego była niezwykle atrakcyjna. Pociągła, regularna twarz miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe, a wielkie oczy w kolorze bursztynu patrzyły z hardością i ciekawością zarazem. Cienie pod oczami, świadczące o kiepsko przespanej nocy, wyraźnie się odznaczały, nie ujmując jednak niczego olśniewającej urodzie. Pełne usta w kolorze dojrzałej wiśni otworzyły

się lekko, odsłaniając równe zęby, kiedy Ruth odezwała się głębokim, melodyjnym głosem:

- Proszę więc wykonywać swoją pracę i ustalić, kto to zrobił. - Odgarnęła mahoniowy kosmyk opadający na lewe oko.

Sięgnęła do torebki, którą postawiła na parapecie, i wyjęła z niej paczkę papierosów. Ani mój ojciec, ani Southenby nie ruszyli się, żeby podać jej zapalniczkę, jakby wiedzieli, że mogłaby to poczytać za afront. Domyśliłem się, że wyciągnęli naukę z poprzedniego spotkania. Ruth zapaliła papierosa z elegancją, zaciągnęła się głęboko, po czym wypuściła dym nosem, a z jej ust wyleciało idealne kółko. Zmrużyła oczy, patrząc niewidzącym wzrokiem na ścianę ponad ramieniem detektywa, po czym prawą ręką sięgnęła po pokrytą masą perłową miskę w kształcie liścia klonu, do której strzepnęła centymetrowy słupek popiołu.

Policjanci w milczeniu przyglądali się jej ruchom. Skupione spojrzenie nadinspektora Harpera zdawało się śledzić każdą zmianę na jej twarzy. Ja tymczasem starałem się obserwować wszystkich troje, pewien, że asy wciąż pozostają w ich rękawach.

- To była niedziela, a ja zwykle przygotowuję tego dnia materiał do poniedziałkowej kolumny kulturalnej, więc przyjechałam niemal jako ostatnia, po drodze odwiedzwszy ulubioną cukiernię - zaczęła cicho. - Mój ojciec uwielbia... - Zawahała się nagle i podniosła wzrok. - Lord Roseworth był okropnym łasuchem, potrafił sam zjeść całą blachę ciasta.

- Która mogła być godzina?

- Między osiemnastą trzydzieści a dziewiętnastą - odparła bez zastanowienia. - Kończę pracę o szesnastej, cukiernia znajduje się tuż obok redakcji, a zamówienie złożyłam poprzedniego dnia. Droga do Mundesley zajmuje nie dłużej niż dwie i pół godziny.

- Czyli nie jest pani w stanie uściślić tej godziny? - dopytywał mężczyzna, płynnie wchodząc w rolę uważnego śledczego.

- Nie wcześniej niż o osiemnastej trzydzieści i nie później niż o osiemnastej pięćdziesiąt dziewięć - odpowiedziała z naciskiem. - Dokładnie o dziewiętnastej zadzwonił dzwonek do drzwi, co Bernard niewybrednie skomentował, dlatego zapadło mi w pamięć.

- Gdzie dokładnie pani była, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi?

Dziewczyna nieśpiesznie zgasiła papierosa i strzepnęła okruszki popiołu z sukienki. Nie unikała odpowiedzi na pytanie, jednak chciała być dokładna.

- Zdaje się, że byłam wtedy w kuchni. Tak! - dodała z przekonaniem. - Na pewno, chowałam ciasto do lodówki i wystraszyłam się, kiedy ten piekielny gong odezwał się po raz pierwszy.

- Nie spodziewała się go pani? - zdziwił się nadinspektor i rozejrzył za popielniczką.

Ruth zorientowała się, że trzymał papierosa nad dłonią, żeby popiół nie spadł na puszysty dywan w kolorze budyniu waniliowego.

- Niech pan strzepnie do tego. - Podała mu miskę w kształcie liścia, w której tlił się jeszcze niedopałek z filtrem ubrudzonym szminką w kolorze wiśni. - W tym domu popielniczki pan nie uświadczy, mimo że moja matka pali całe życie. Mówiłam to już panom: ojciec nie tolerował palenia. Myślę, że umarł, nie wiedząc nawet, że jego ukochana córeczka może być tak głupia, żeby truć się nikotyną. - Ostatnie słowa wypowiedziała tonem, w którym wyraźnie slychać było gorycz i żal. - Nie lubię nagłych dźwięków, zwłaszcza gdy przerywają martwą ciszę.

Nadinspektor zastygł na chwilę, kiedy słowa „martwa cisza” wybrzmiały w pełni. Jego ręka znieruchomiała, przyciskając niedopałek do perłowego dna miski.

- Może to pani... rozwinąć? - poprosił cicho.

- A co tu rozwijać? Niech pan sobie wyobrazi, detektywie, że niedługo - spojrzała na zegarek zdobiący nadgarstek jej lewej ręki -

dokładnie za siedemnaście i pół minuty ten dzwonek rozlegnie się z całą mocą. Będzie pan miał okazję sam się przekonać.

W pokoju, którego wszystkie niemal ściany składały się z okien, zaczęło robić się bardzo ciepło. Policjanci w jednym momencie poczuli potrzebę zdjęcia marynarek, a ja wykorzystałem tę chwilę, by popatrzeć na Ruth. Ona także zerknęła w moją stronę i uśmiechnęła się przyjaźnie. Nie wydawała się ani trochę skonsternowana, wyglądała raczej, jakby z każdą chwilą nabierała pewności siebie i odwagi. Wróciła pod ogromne wykuszowe okno, przesunęła torebkę w głąb parapetu i usiadła na nim bokiem. Zwiewna sukienka z żorżety, sięgająca jej do połowy łydek, podniosła się nieco, odsłaniając zgrabne nogi obleczone w delikatne czarne rajstopy.

- Dobrze więc - odezwał się po chwili mój ojciec, odwracając wzrok od skórzanych szpilek i szczupłych kostek, wokół których zapięto cienkie paseczki. - Możemy zatem założyć, że o dziewiętnastej chowała pani ciasto do lodówki. Co było dalej?

- Następnie poszłam prosto do gabinetu, zapukałam jak zawsze, nie usłyszałam odpowiedzi, więc nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Czy to była normalna praktyka w tym domu? Zamykanie drzwi gabinetu na klucz?

- W tym domu nic nie było normalną praktyką - odpowiedziała z uśmiechem. - Jedyne, co było tu normalnością, to nienormalność.

Detektyw wyglądał na poważnie skonsternowanego.

- Co ma pani dokładnie na myśli?

- Rozmawiał pan już z moją matką, babką i zdaje się, ze służbą - stwierdziła bardziej, niż spytała. - Powinien pan się zorientować, że rodzina Roseworthów nie jest zwyczajna.

Zwyczajną na pewno bym jej nie nazwał, pomyślałem z cynizmem.

- Wie pani, wydaje mi się, że żadna rodzina nie jest tak naprawdę - skomentował Southenby.

– A to dobre! – parsknęła i spojrzała prosto na mnie. – Czyżby mówił pan z własnego doświadczenia? Czy może z doświadczenia pańskiego... partnera?

Jack Harper zacisnął szczęki, ale zmilczał impertynencję. Cóż, dobrze było się przekonać, że potrafił nie mieć ostatniego słowa. Przynajmniej w odniesieniu do obcych.

– Proszę kontynuować, panno Roseworth – rzucił oschle, wracając do sedna rozmowy. – Drzwi gabinetu pani ojca były zamknięte. Co stało się później?

Ruth wciąż wpatrywała się we mnie, jakby szukała w mojej twarzy odpowiedzi na niewypowiedziane pytania.

– Zupełnie nic, nadinspektorze – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Uznałam, że ojciec nie ma ochoty na towarzystwo, i udałam się do swojego pokoju, żeby przebrać się na wieczór. Kilka minut przed dwudziestą zeszałam na dół, gdzie niemal wszyscy już się zgromadzili, a gdy ojca wciąż nie było, zawołałam Bernarda, który ma zapasowe klucze do wszystkich zamków w tym domu, i otworzyliśmy gabinet. Kiedy tylko spojrzałam na fotel, natychmiast zamknęłam drzwi i zadzwoniłam po policję.

– Nie wchodziła pani do środka? Nie dotykała ciała? – zapytał Southenby, a ja poczułam nieprzyjemny ucisk w mostku.

– Nie musiałam – odparła ze spokojem Ruth. – Człowiek z przestreloną głową ani trochę nie wygląda na żywego.

– Poprzednio powiedziała pani, że widziała pistolet leżący obok biurka – wtrącił mój ojciec, a wzrastające napięcie zjeżyło mi włoski na karku.

– Tak, tak właśnie powiedziałam.

– A jednak nie mogła go pani zauważyć, jeśli nie weszła do gabinetu – stwierdził wieprzowaty Southenby z jadowitą satysfakcją.

Byłem pewien, że czekał na ten moment od początku rozmowy.

– Możliwe, że odruchowo zrobiłam krok...

– Czyli jednak weszła pani do środka? – naciskał sierżant.

– Jeśli nawet, to natychmiast się cofnęłam.

– Niech się pani dobrze zastanowi, panno Roseworth. – Głos mojego ojca był tak słodki, że nawet mnie zemdliło. – Weszła pani czy nie weszła do gabinetu ojca?

– Czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie? – parsknęła dziewczyna, nie zdając sobie sprawy, że właśnie usatysfakcjonowała policjantów.

– To zależy – odrzekł Southenby i uśmiechnął się złośliwie. – Bo albo pani mogła zauważyć ten pistolet, albo nie mogła. A z tego wynika, że albo pani kłamie, albo mówi prawdę. Co pani wybiera, lady Roseworth?

W saloniku zapadła absolutna cisza, którą przerywały dochodzące zza okien dźwięki typowe dla nadmorskich miejscowości. Czuję na sobie spojrzenie Ruth i prawdopodobnie mojego ojca, podczas gdy ja swoje utkwilem w dywanie. Byłem na siebie zły, że nie przycisnąłem Ruth wcześniej, że pozwoliłem jej wpaść w tak oczywistą pułapkę. Powinienem być najpierw ustalić, co działo się tamtego wieczoru i co przekazała policji. Nie przyszło mi jednak do głowy, że mogła skłamać w tak błahej i łatwej do zweryfikowania kwestii.

– Ru... – zacząłem, ale w tej chwili rozległ się ten mogący obudzić zmarłego dzwonek do drzwi i wszyscy czworo zastygliśmy z minami wyrażającymi przerażenie.

Zdumiewające, jak długie potrafią być sekundy, kiedy człowiek niecierpliwie odlicza czas. I jak irytujące mogą być dźwięki, gdy nie można przez nie usłyszeć własnych myśli.

– Chryste, co to było?! – krzyknął Southenby, kiedy upiorny sygnał zamilkł i w Roseworth Manor znów zapanowała cisza.

– Prawdopodobnie pan Pullman – odparła Ruth i widząc pytanie w oczach policjantów, wyjaśniła: – Notariusz ojca. Za chwilę nastąpi otwarcie testamentu.

Wyglądało na to, że dalsza część przesłuchania będzie musiała poczekać. Kwestia testamentu w sprawach tego kalibru zazwyczaj miała

istotne znaczenie, co doświadczeni policjanci doskonale rozumieli. Mnie także intrygowało, czy poznanie ostatniej woli zmarłego lorda Rosewortha rzuci nowe światło na sprawę, choć według zapewnień Ruth dokument powstał dawno i nie był zmieniany od lat.

W jednej sprawie Ruth rzeczywiście się nie myliła: rodzina Roseworthów ani trochę nie była zwyczajna.



Rozdział 10

– Jonathanie, chciałbym zamienić z tobą dwa słowa. – Głos ojca brzmiał surowo, przez co poczułem się jak dziecko tuż przed połajanką.

Ruth i Southenby zostawili nas samych. Nadinspektor zbliżył się do mnie, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyłuskał paczkę papierosów i wyciągnął dłoń w moim kierunku. Odmówiłem gestem i wyjąłem własne.

– Usiądźmy – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Posłusznie zająłem miejsce na najbliższym fotelu, on usiadł na brzegu kanapy.

– Co tu robisz, chłopcze? – zapytał bez żadnych wstępów.

To też było typowe dla niego: żadnej dyplomacji, od razu przechodził do rzeczy.

– Dokładnie to, co słyszałeś wcześniej: wspieram moją narzeczoną i rewiduję śledztwo.

– Rewidujesz? – prychnął i zakasłał. – Tu nie ma czego rewidować, bo jak na razie zbieramy ślady i staramy się wyciągać wnioski. Jak już się przekonałeś: pierwsze wnioski nasunęły się same. Twoja, jak ją nazywasz, narzeczona okłamuje policję.

– To raczej zbyt pochopna konkluzja. Nie udowodniliście jej kłamstwa i nie sądzę, by to się wam udało.

– To jedynie kwestia czasu, synu.

Na dźwięk słowa, które rzadko padało z ust mojego ojca, przeszył mnie dreszcz. Nie odezwałem się jednak, więc Jack kontynuował:

– Co wiesz na temat śmierci Rosewortha? Jeśli masz informacje, które pozwolą mi zamknąć tę sprawę...

- Jeśli będę miał takie informacje, z pewnością dowiesz się o tym pierwszy - uciałem ostro. - Rzecz jasna, jeśli uznam, że zdobyte przeze mnie informacje powinny zostać ujawnione. Jak dotąd widzę jedynie, że gonicie w piętkę, destabilizując życie pogrążonej w żałobie rodziny.

Trochę mnie poniosło z tym pogrążeniem w żałobie, ale czy nie tak powinno być? Przemyślenia dotyczące zachowania mieszkańców Roseworth Manor postanowiłem zostawić dla siebie, zwłaszcza że nie miałem dotychczas okazji rozmówić się z każdym. Dopiero wówczas, po poznaniu wszystkich wersji, będę mógł wyciągać wnioski i stawiać nowe pytania. Na razie interesowało mnie tylko jedno.

- Uważacie, że testament Rosewortha cokolwiek wniesie do waszego śledztwa?

Nadinspektor zdusił niedopałek papierosa i pokiwał głową w zadumie.

- Nawet jeśli motywem zabójstwa nie były zapisy w testamencie, to z pewnością pieniądze odgrywają tu znaczenie. W takich rodzinach nigdy nie ma zgody, niekiedy motywy są zagrzebane głęboko w przeszłości, ale ja się do nich dokopię.

Tak, słynny detektyw Harper był znany z nieustępliwości i uporów, ale także z działania na granicy prawa i hołdowania zasadzie, że cel uświęca środki.

Skończyłem palić w milczeniu i podniosłem się z fotela. Ojciec wciąż siedział, spoglądając na mnie z nieodgadnioną miną.

- Idziemy? - zapytałem.

- Uważaj, chłopcze - rzucił, nieśpiesznie wstając. - Nie pozwól, by emocje przesłoniły ci logikę. Dobrze wiesz, że arystokracja uważa się za lepszych od wszystkich, a tym samym ustala dla siebie zasady, nierzadko stojące w sprzeczności z powszechnie przyjętymi.

- Nie jestem dzieckiem, ojciec - warknąłem, zaciskając pięści w kieszeniach marynarki.

- Ale jesteś wrażliwy jak dziecko. Jak twoja matka...

Obróciłem się na pięcie, żeby nie wypuścić z ust słów, które pchały się na język, i ruszyłem ku drzwiom. Zanim przestąpiłem próg, usłyszałem jeszcze:

- Bądź ostrożny, synu.

*

W bibliotece, gdzie miało się odbyć odczytanie testamentu lorda Thadeusa Rosewortha, panowała atmosfera przywodząca na myśl salę pożegnań w domu pogrzebowym. Kilkanaście ubranych na czarno osób siedziało w kompletnej ciszy, wpatrując się z wyczekiwaniem w postać za kolonialnym biurkiem. Notariusz także miał na sobie czarny garnitur, jednak jego ogorzała od słońca twarz wydawała się nieadekwatnie pogodna. Wysokie wykuszowe okna zostały zasłonięte ciężkimi storami, przez co pomieszczenie spowijał półmrok, dający złudzenie późnej pory.

Ruth siedziała pomiędzy matką i babką, trzymając obie kobiety za blade, niemal papierowobiałe dłonie. Podparłem ścianę z tyłu pomieszczenia, mając doskonały widok na wszystkich obecnych. Southenby, co było do przewidzenia, bez pardonu wcisnął się na fotel, zmuszając Thomasa Rosewortha do przystawienia sobie krzesła obok sofy, na której siedziała jego żona wraz z lady Agathą Radcliffe, Evelyn Miller i Moną Roseworth. Adalind Almond także była obecna – usiadła wraz z bliźniakami na skórzanym fotelu. Dzieci zmieściły się na potężnym siedzisku, podczas gdy ona przyjęła dziwną pozę na podłokietniku mebla. Po chwili drzwi się zamknęły i mój ojciec podparł ścianę obok mnie.

Opalony notariusz spojrział na nadinspektora.

- Możemy zaczynać?

Kątem oka zauważyłem, że tamten skinął, jakby był reżyserem tego teatru.

- Dobrze, zaczynajmy zatem. Szanowni państwo, nazywam się Gregory Pullman i jestem wykonawcą testamentu lorda Thadeusa

Rosewortha. Jak część z państwa zapewne wie, zajmowałem się sprawami Thadeusa od lat, wobec czego mam doskonale rozeznanie w jego... ekhm... aferach, że tak się wyrażę. Bardzo proszę o wysłuchanie jego ostatniej woli. – Mężczyzna odchrząknął kilka razy, upił łyk wody ze stojącej na biurku szklanki, po czym sięgnął po kopertę i złamał lak. – Ekhm, tak... „Dnia szesnastego sierpnia roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego, to jest w niedzielę, będąc w pełni władz umysłowych i fizycznych, mając za świadków Gregory’ego Pullmana oraz mojego wieloletniego przyjaciela Henry’ego MacFarlaine’a, ja, Thadeus Roseworth, niniejszym spisuję swoją ostatnią wolę, oświadczając, że...” – Pullman umilkł, ponieważ rozległy się szepty.

Powiodłem spojrzeniem po zebranych i bez zdziwienia zauważyłem, że data spisania dokumentu wzbudziła w nich oburzenie.

– Proszę się uciszyć! – Szorstki głos Southenby’ego w atmosferze biblioteki zabrzmiał niemal odrażająco. – Dajcie panu przeczytać, później będą państwo wyrażać opinie.

Patrzyłem na Ruth. Była spokojna, jakby na niej wzmianka o powstaniu dokumentu zaledwie na tydzień przed śmiercią ojca nie zrobiła wrażenia. Jej matka również nie wydawała się poruszona, lecz w jej przypadku składałem to na karb środków uspokajających, które przyjmowała w nadmiernych porcjach.

Szmary ucichły i notariusz podjął lekturę:

– „...oświadczając, że cały mój majątek dzielę pomiędzy moje dzieci zgodnie z poniższym wykazem. Mojej córce Ruth zostawiam nieruchomości w postaci domu w Mayfair oraz Roseworth Manor wraz ze wszystkimi elementami wyposażenia. Mojemu synowi Thomasowi Roseworthowi zapisuję fabryki w Norwich i Glasgow, pod warunkiem że zarząd nad obiema będzie równo dzielił ze swoją siostrą Ruth. Bliźniakom George’owi i Claire Roseworthom zapisuję fundusz powierniczy w wysokości stu tysięcy funtów, którym do czasu osiągnięcia pełnoletności przez dzieci zarządzać będzie Ruth. Mojej

najstarszej córce, Monie Roseworth, zostawiam pięćdziesiąt tysięcy funtów. Pozostałe ruchome części majątku stanowią niepodzielną własność Ruth”. – Notariusz podniósł wzrok znad dokumentu i spojrzał z powagą na zszokowane twarze krewnych zmarłego lorda. – Czy wszystko jest jasne?

Odpowiedziała mu pełna niedowierzania cisza, którą po chwili przerwało melodyjne gwizdnięcie. Powiodłem wzrokiem za dźwiękiem i zauważyłem kąśliwy uśmiech na twarzy nastoletniego George’a Rosewortha.

– Jeśli wszystko jest jasne, to jest tu jeszcze jeden dokument – oznajmił Pullman. – Lord Roseworth zostawił także coś dla pana Jonathana Harpera, męża lady Mary Dalrymple, prywatnego detektywa. Miałem to wręczyć do rąk własnych.

Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy, a nogi nagle zamieniają się w galaretę. Niechybnie zsunąłbym się po ścianie, gdyby nie silna ręka ojca. Chwycił mnie za łokieć i przytrzymał, jednocześnie świdrując wściekłym wzrokiem.

– Co to ma znaczyć, synu? – syknął, a mnie przeszył lodowaty dreszcz.

Jak w transie ruszyłem przed siebie, śledzony wściekłymi i zaskoczonymi spojrzeniami Roseworthów. Notariusz patrzył na mnie beznamiętnie, wypełniając swój zawodowy obowiązek. Nie miałem odwagi, żeby spojrzeć na Ruth, odebrałem więc kopertę od prawnika i jak robot wróciłem na poprzednio zajmowane miejsce.

– Jeśli nie mają państwo pytań, to moje zadanie zostało w całości wykonane – oznajmił Pullman.

Zdjął okulary, schował je do skórzanego etui, które następnie włożył do eleganckiej teczki. Ukłonił się obecnym, podszedł do kanapy, na której siedziały Ruth z matką i babką, złożył im kondolencje i opuścił pomieszczenie.

Przez krótką chwilę po jego wyjściu w bibliotece słychać było tylko przyspieszone oddechy. W końcu tamy puściły i rozległ się ostry głos

Thomasa:

- Co to ma znaczyć, Ruth?! Co to za brednie! Coś ty narobiła?!

Ruth, choć w tych okolicznościach stanowczo bardziej należało tytułować ją lady Roseworth, milczała, wpatrując się w ścianę naprzeciwko.

- Prywatny detektyw? - usłyszałem z fotela, na którym siedziała Adalind Almond. - A to dopiero! I do tego z tajemniczymi sprawkami!

- Co pan tu naprawdę robi, Harper? - podjął temat Thomas, wlepiając we mnie mordercze spojrzenie. - Niech pan natychmiast otworzy tę kopertę. Chcę wiedzieć, co pan i moja siostrzyczka uknuście z tym starym szaleńcem!

- No, no - szepnął mój ojciec. - Wreszcie szydło wychodzi z worka.

- Thomasie, panuj nad sobą - zrugła krewniaka lady Agatha. - Nie powinienes być zaskoczony decyzją ojca, nikt o zdrowych zmysłach nie powierzyłby ci samodzielnego zarządzania firmą.

- Ty stara, wredna ropucho! - krzyknęła z taką furią Amelia Roseworth, że aż podskoczyła na fotelu.

- Oho, piękne maniery, milady - zaszydziła zupełnie nieporuszona lady Radcliffe. - Nie wiem jak wy, ale ja muszę się napić. Przede wszystkim za zdrowie Ruth, bo stanowczo będzie jej potrzebne, żeby uporać się z wami, harpie.

Ten komentarz jeszcze bardziej rozsierdził Thomasa i jego żonę, ale stara dama wydawała się zachwycona. Nie zważając na rozkręcającą się awanturę, ruszyła ku drzwiom.

- Otwórz to, Jonathanie - poradziła mi, kiedy znalazła się tuż obok - zanim któremuś z tych wariatów przyjdzie do głowy, żeby zabrać ci kopertę.

- Lady Agatho - szepnąłem, wciąż nieco odrętwiały - o co tu chodzi? Dlaczego on mi to zostawił?

- Nie wiem, chłopcze, ale jestem pewna, że bez otwarcia koperty nic nie stanie się jaśniejsze. Pamiętaj, że Thadeus niczego nie robił bez

namysłu.

To powiedziawszy, wyszła z biblioteki i już po chwili usłyszałem brzęczenie kryształowych kieliszków.

Stałem bez ruchu przez kilka dobrych minut, gorączkowo zastanawiając się nad zbyt wieloma rzeczami naraz. Głos ojca przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Dlaczego nie otwierasz koperty?

- To prawdopodobnie prywatna korespondencja - odparłem machinalnie.

- Nie sądziłem, że pozostawałeś w tak bliskich relacjach z Roseworthem - zakpił. - To wręcz dziwne, że nie zaprosił cię na przyjęcie urodzinowe, skoro organizował je dla najbliższych.

- A niech cię licho porwie - wycedziłem przez zaciśnięte szczęki i otworzyłem kopertę.

W środku znajdowała się pojedyncza kartka z nadrukowanym herbem Roseworthów i identycznym kwiatowym ornamentem jak ten na papierośnicy Ruth. Na środku kartki widniało zaś jedno zdanie, zapisane ręką nawykłą do kaligrafii:

Wybacz mi, Mary wciąż powinna żyć.

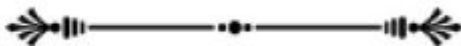
Kartka wyleciała mi z dłoni, a przed oczami pojawiły się mroczki. Mój ojciec złapał papier, zanim upadł na podłogę, a drugą ręką zdołał mnie podtrzymać. Spojrzał na treść listu i zmarszczył brwi, jakby zobaczył tam coś niewłaściwego.

- Co to ma znaczyć, Jonathanie? Co masz mu wybaczyć? I co ma do tego śmierć twojej żony?

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa. Wściekłość, rozpacz i furia całkowicie zablokowały mi krtań. Słyszałem szum wzburzonej krwi, serce waliło mi z taką siłą, że prawdopodobnie widać to było przez koszulę.

Ojciec potrząsnął mną mocno, wytrącając z dziwnego letargu. Nie widziałem niczego wokół. Ani rozsierzonego Thomasa Rosewortha

wrzeszczącego na Ruth, ani oszołomionej lady Barbary, do której nie docierały żadne słowa, ani pokładającego się z szalonego śmiechu George'a, ani nawet nie słyszałem krzyku ojca, który próbował mnie otrzeźwić. Zalała mnie fala nienawiści wobec człowieka, który nie żył od trzech dni. Chciałem przywrócić go do życia, żeby móc go ponownie zabić. Nie obchodziło mnie, kto go zamordował, dlaczego to zrobił ani nawet to, czy poniesie karę. Gdybym wiedział wcześniej, że Roseworth ma coś wspólnego z największą tragedią w moim życiu, sam wymierzyłbym mu sprawiedliwość. Zanim jednak wyrwałbym mu serce bez mrugnięcia okiem, wydarłbym z niego odpowiedź na pytanie: Dlaczego moja żona musiała zginąć?!



Rozdział 11

– Proszę z nami zostać, lady Roseworth – usłyszałem jak zza ściany głos Jacka Harpera. Mimo grzecznej formy było to polecenie.

Oddychając ciężko, ze wzrokiem wbitym w czubki własnych butów, czekałem, aż wszystkie czarne figury mnie wyminą, i dopiero gdy ojciec zamknął drzwi, oderwałem się od ściany. Ruth siedziała w tym samym miejscu co wcześniej, a jej postawa daleka była od spokojnej.

– Jak się pani czuje w roli dziedziczki? – zapytał ironicznie nadinspektor, zbliżając się do sofy.

Usiadł w wielkim skórzanym fotelu zajmowanym uprzednio przez bliźniaki i Adalind, po czym nachylił się w stronę Ruth.

– Nie zauważyłam, żeby cokolwiek się zmieniło – odparła nieco niepewnie, co zupełnie nie pasowało do jej charakteru.

Ruth Roseworth była dla mnie uosobieniem kobiecej siły, waleczności, inteligencji i zaradności. Podobne zdanie musiał mieć o niej mój ojciec od czasu pierwszego wywiadu, który wymusiła na progu naszego domu.

– Czyżby? – Uniósł brwi, a jego usta wygięły się w lekceważącym grymasie. – Moim zdaniem zmieniło się właściwie wszystko. Nie uszło mojej uwagi, że zmiana testamentu nie była dla pani tak dużym zaskoczeniem jak dla reszty rodziny. Co ma pani do powiedzenia w tej kwestii?

Dziewczyna zacisnęła usta i wbiła wzrok w splecione na podłoku dłonie. Ścisnęła je tak mocno, że knykcie były zupełnie białe.

– Nie, nie mogę powiedzieć, że była zaskoczeniem – odpowiedziała niemal szeptem. – Ojciec wspominał mi, że sporządził nowy testament.

– I podał szczegóły?

- Raczej zasugerował.
- Jak mam to rozumieć?

Ruth westchnęła i rozplotła dłonie. Podniosła wzrok na mojego ojca i patrzyła mu w oczy przez kilka sekund. Muszę przyznać, że zaimponowała mi tą odwagą; mało kto jest w stanie nie ugiąć się pod surowym spojrzeniem Jacka Harpera.

- Ojciec powiedział mi, że chce, abym to ja była głową rodziny Roseworthów - wyjaśniła ze spokojem. - Chciał, żebym miała baczenie na dzieci, na mamę i babcię, żebym zaopiekowała się jego majątkiem i firmą. Uważał, że Thomas nie nadaje się do zarządzania i... cóż, ja się z tym zgadzam.

- Czyli wiedziała pani, że to jej przypadnie w udziale lwia część majątku? - upewnił się nadinspektor.

- Podejrzywałam...

- Czy ktokolwiek poza panią mógł mieć wiedzę na temat zmian wprowadzonych niedawno przez lorda Rosewortha?

- Nie, z całą pewnością nie - zaprzeczyła natychmiast. - Ojciec rozmawiał o tym tylko ze mną, no i z panem Pullmanem, rzecz jasna, ale nikt z rodziny nie miał pojęcia o tym, że planował zmienić ostatnią wolę.

Detektyw zamyślił się na chwilę, zawiesiwszy wzrok na ciemnej zasłonie w oknie naprzeciwko. Ruth spojrzała na mnie, a w jej oczach wyczytałem niemą prośbę o wybaczenie, lecz byłem zbyt wzburzony, żeby okazać jej choć odrobinę sympatii. Kłamstwo, którego się dopuściła, bolało mnie jednak o wiele mniej niż paląca w dłoń kartka z odręcznym pismem Thadeusa Rosewortha.

- Zdaje sobie pani sprawę, że to nie wygląda dobrze? - zapytał nadinspektor głosem, w którym usłyszałem troskę.

Zerknąłem na jego barczystą sylwetkę i ze zdumieniem stwierdziłem, że naprawdę się zmartwił.

- Jonathanie, czy chciałbyś o coś zapytać lady Roseworth?

Nie patrzył na mnie, gdy to mówił. Nawet nie drgnął, wciąż wpatrując się w twarz dziewczyny.

Ona tymczasem spoglądała na mnie coraz bardziej przerażona, domyślając się zapewne, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Nie, nie mam żadnych pytań do lady Roseworth – odrzekłem gorzko, tym samym przypieczętowując jej los.

Jakby się tego spodziewał, ojciec wstał nieśpiesznie, Southenby zrobił to samo, a po chwili nadinspektor wypowiedział formułkę, która w odniesieniu do Ruth Roseworth brzmiała co najmniej niedorzecznie. Niemniej została wypowiedziana i jej cofnięcie było niemożliwe.

– Jonathanie! – załkała dziewczyna. – Jonny, musisz mi uwierzyć! Ja go nie zabiłam! Proszę, Jonathanie! Udowodnij to, wiem, że możesz to zrobić!

Southenby chwycił Ruth za łokieć i wyprowadził z biblioteki. Mój ojciec szedł krok za nimi ze spuszczoną głową, unikając natarczywych spojrzeń pozostałych domowników. Spodziewałem się awantur i protestów, tymczasem panowała cisza przerywana szlochami dziewczyny. Kiedy znaleźli się w holu, Bernard podał policjantom kapelusze i uklonił się Ruth. Nie otworzył im drzwi, co stanowiło wyraźny sygnał jego sprzeciwu. Wrota się zamknęły, szluchy umilkły, silnik samochodu zawył, a wkrótce i jego nie było już słychać. W Roseworth Manor zapadła złowróżbna cisza.

*

Zatrzymanie Ruth pozbawiło mnie sojusznika, ale nie oznaczało, że nie mogę wykonać powierzonego mi zadania. Być może w innych okolicznościach zrezygnowałbym z prowadzenia śledztwa, lecz list od nieżyjącego Thadeusa zmienił wszystko. Byłbym naiwnym głupcem, gdybym z miejsca nie nabrał podejrzeń, że ta wiadomość, pozornie bez sensu, nie łączyła się z nagłą śmiercią arystokraty. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości, że Roseworth czuł zagrożenie. Świadczyła o tym nagła zmiana testamentu. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym

większego nabierałem przekonania, że w tej sprawie jest coś, czego nie dostrzega policja. I – przyznaję to ze skruchą – że Ruth od początku miała rację: Roseworth mógł zabić ktoś spoza rodziny. Oczywiście nie podobało mi się, że kłamała, ale nie uważałem jej za morderczynię. Na to była stanowczo zbyt mądra, musiała wiedzieć, że po ujawnieniu treści testamentu to ona stanie się główną podejrzaną. Tym usilniej więc powinienem starać się rozwiązać tę sprawę, żeby udowodnić jej niewinność.

Była jeszcze jedna kwestia, nieoczekiwanie zyskująca status priorytetu i wywracająca do góry nogami dotychczasowe rozstawienie pionków na planszy. Mary. Lady Mary Luisa Dalrymple-Harper. Najpiękniejsza, najmiłsza, najmądrzejsza kobieta, jaką dane mi było poznać w całym swoim życiu. I najbardziej martwa. Jej śmierć zakończyła nie tylko nasze zbyt krótkie małżeństwo, lecz także sprawiła, że w wieku dwudziestu siedmiu lat utraciłem sens istnienia. Jeśli prawdą jest twierdzenie, że każdemu człowiekowi przeznaczona jest tylko jedna osoba, to ja już ją poznałem i bezpowrotnie straciłem. Po co więc miałbym dalej żyć, skoro wszystko, co nadaje sens naszej obecności na świecie, mam za sobą? Przyznaję, że ta myśl towarzyszyła mi bardzo długo i nawet po dwóch latach nie udało mi się całkiem jej wyzbyć. Nauczyłem się jednak żyć od nowa, wyznaczwszy sobie nowy cel. Tym celem było znalezienie i ukaranie osób winnych śmierci Mary, choć wydawałem się osamotniony w przekonaniu, że to nie był wypadek. Teraz jednak wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. I jak się miałem przekonać – nie tylko moje wątpliwości.

Straciwszy rachubę czasu, ocknąłem się w fotelu, przed którym ni stąd, ni z owąd stanął Thomas Roseworth. Jego wyzywająca postawa ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i błąkający się po ustach złośliwy uśmieszek nie pozostawiały miejsca na domysły. Samozadowolenie kipiało niemal z każdego pora jego skóry.

– Prywatny detektyw? – spytał zaczepnie, unosząc prawą brew. – No, no, niezłe z siebie ziółko, Harper. W dodatku musisz być dobrym

detektywem, skoro ledwo się zjawiłeś, a policja od razu dokonała aresztowania.

- Wolałbym, żeby pan nie kpił z tak poważnych spraw, lordzie Roseworth – wycodziłem, kładąc mocny akcent na ostatnie słowa. – Pańska siostra została zatrzymana, nie sądzę jednak, żeby śledczy znaleźli mocne dowody jej winy. Jakiegokolwiek dowody, gwoi ścisłości.

- Podważa pan metody Scotland Yardu?

- Bynajmniej. Doskonale rozumiem ich postępowanie, co nie oznacza, że się z nim zgadzam. Prywatny detektyw nie zadowala się poszlakami.

- Na szczęście prokuratorowi zwykle to wystarcza – odciął się Thomas i ruszył w stronę barku. Nalał do szklanki solidną porcję brandy, lecz nim zamoczył usta w płynie, tonem pełnym wyższości dodał: – Rozumiem, że pańska obecność nie jest już potrzebna, Harper?

- Wręcz przeciwnie, sir Thomasie. Ruth zatrudniła mnie, żebym odkrył prawdę, i taki mam plan. Bez względu na to, czy to się panu podoba, czy też nie.

Roseworth patrzył na mnie, nawet nie usiłując ukryć wrogości. Nie wypowiedział już ani słowa, jedynie popijał nieśpiesznie alkohol, przyglądając mi się, jakby oczekiwał, że nagle przedzierzgnę się w kosmitę albo równie dziwne zjawisko. Nie ufał mi, co właściwie wydawało się zrozumiałe, ale ja nie pozostawałem mu dłużny. I nie chodziło jedynie o zawodową podejrzliwość.

W korytarzu rozległy się kroki i po chwili do saloniku weszła lady Radcliffe. Rzut oka pozwolił mi ocenić, że wcześniejszy – tak dla niej charakterystyczny – żartobliwy nastrój ulotnił się bezpowrotnie.

- Miałam nadzieję cię tu znaleźć, Jonathanie – zwróciła się do mnie niemal bezbarwnym tonem – i ciebie także, Thomasie. Bądź tak miły i poczęstuj ciotkę drinkiem.

Roseworth bez słowa wyjął kolejną szklankę, mnie rzecz jasna zupełnie nie uwzględniając, nalał do niej solidną porcję brandy i podał Agacie, która zdążyła już zająć swoje ulubione miejsce na sofie.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała z uśmiechem, który niewiele miał wspólnego z wesołością, po czym wlepiła we mnie wzrok. – Oczywiście zamierzasz coś z tym zrobić? – zapytała.

– Wszystko, co w mojej mocy – odparłem zgodnie z prawdą.

– Raczej nie liczyłbym na zbyt wiele – prychnął Roseworth i usiadł obok ciotki.

Agatha zignorowała jego uwagę, podobnie jak ja.

– Ruth nie miała żadnego powodu, żeby zabić ojca – stwierdziła.

– Poza majątkiem staruszka, zanim znów zmieniłby zdanie.

– Nie rób z siebie większego głupca, niż jesteś, Thomasie – fuknęła lady Radcliffe. – Twoja siostra kochała Thadeusa, choć Bóg jeden wie dlaczego.

– Chyba nie sugerujesz, że ja go nie kochałem?

– Niczego nie sugeruję, mówię wprost: Ruth nie miała żadnego powodu, by chcieć śmierci waszego ojca.

Być może jedynie mi się wydawało, ale odniosłem wrażenie, że nacisk w tym zdaniu położyła na słowo „Ruth”.

– A kto mógł go mieć? – zapytałem cicho.

– Nikt go nie miał, Harper – warknął Thomas.

– Fakty zdają się temu przeczyć, lordzie. Sir Thadeus nie żyje, a to oznacza, że ktoś miał na tyle poważny powód, żeby posunąć się do ostateczności. I nie była to pańska siostra, w co wierzę i ja, i lady Agatha. Chciałbym wiedzieć, kto mógł żywić na tyle silne uczucia, żeby pozbawić życia lorda Rosewortha. Może jednak pan, Thomasie?

Twarz mężczyzny natychmiast nabrała barwy purpury, a dłoń, w której trzymał szklanę, zacisnęła się wokół kryształowego naczynia. Starał się nad sobą zapanować, jednak jego porywczy charakter w końcu przeważał.

– Wiem, że próbujesz mnie sprowokować, ale nie dam się wziąć pod włos. Nie miałem żadnych zatargów z ojcem, o których mógłbyś się dowiedzieć, wypytując służbę albo pracowników fabryki. Kochałem go,

a on kochał mnie. Jego śmierć była dla mnie olbrzymim ciosem, a informacja o zmianie testamentu jeszcze większym. Tak, przyznaję, jestem wściekły, głównie na moją siostrę – dodał, gdy spojrział na niego z uprzejmym pytaniem wypisanym na twarzy.

– Myśli pan, że to Ruth wpłynęła na decyzję Thadeusa? – zapytałem, po raz pierwszy zadając to pytanie także sobie.

– A cóż to za bzdura! – oburzyła się lady Agatha. – Nikt nie potrafiłby wpłynąć na decyzję Thadeusa, a już z całą pewnością nie Ruth. Jeśli postanowił zmienić testament, zrobił to wyłącznie z siebie znanych powodów.

– Dlaczego lady Roseworth została pominięta w testamencie? – rzuciłem nagle, licząc na to, że zaskoczę swoich rozmówców, a przez to odpowiedzą szczerze.

Thomas i Agatha wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym prychnęli niemal równocześnie.

– A dlaczego służba, ogrodnik, mleczarz i szofer zostali pominięci? – zakpił Thomas. – Mój ojciec uważał matkę za element wystroju, o który należy dbać, owszem, jednak nigdy nie myśli się o nim jak o podmiocie.

– Proszę wybaczyć, ale... nie rozumiem. – To ja zostałem zaskoczony i nie potrafiłem tego ukryć.

– To nic wielkiego, Jonathanie – odrzekła łagodnie Agatha. – Stosunki między Barbarą i Thadeusem nigdy nie wyglądały... normalnie.

– Bynajmniej nie brzmi to normalnie. – Nie zdążyłem powiedzieć nic więcej, kiedy w saloniku pojawiła się kolejna osoba.

– Tu jesteś, kochanie! – Amelia Roseworth z wyraźną ulgą podeszła do męża i złożyła na jego czole niemal matczyzny pocałunek. – Jak się czujesz?

Lord Roseworth spojrział na małżonkę z zadziwiającą czułością i pogładził ją po policzku.

– W porządku, może jeszcze odrobinę oszołomiony, ale to chwilowe – odpowiedział. – Nie co dzień siostra zostaje aresztowana za

zamordowanie ojca.

Amelia wyjęła z dłoni męża szklankę z brandy, po czym wypila niemal całą jej zawartość. Zerknąłem na twarze Agathy i Thomasa, ale wyglądało na to, że jedynie mnie zdziwiła obcesowość kobiety.

- Jeśli mam być szczerą, to zupełnie mnie to nie zaskoczyło - stwierdziła niemal beztrzesko. - Ukochana córeczka tatusia musiała w końcu pęknąć.

- Rozkoszna jak zawsze - skomentowała seniorka. - I dyplomatyczna jak teść.

- A dlaczego miałabym być dyplomatyczna, Agatho? W tym domu i tak za długo chowano głowy w piasek, a teraz masz tego efekt. Może właśnie nadeszła pora, żeby powiedzieć głośno, że Thadeus Roseworth był potwornym człowiekiem i nikt nie będzie po nim płakał.

- Amelio! - Thomas wyglądał na szczerze wstrząśniętego. - Kochanie, co ty wygadujesz? Harper, moja żona jest wciąż w szoku, nie bierz pod uwagę tego, co mówi.

- Ależ skądże znowu! - zaprotestowała lady Roseworth i roześmiała się niemal histerycznie. - Proszę wziąć moje słowa do serca, niech się pan nie waha. Gwarantuję, że będą to jedyne słowa prawdy, jakie padną w tym domu.

Thomas jęknął i pokręcił głową w niedowierzaniu. Ja tymczasem nie mogłem uwierzyć w to, z jaką pokorą przyjmuje zachowanie swojej małżonki, podczas gdy kilka minut wcześniej to on był agresywny i buńczuczny. Niemniej jednak nieoczekiwana szczerota i wylewność Amelii wyświadczyły mi przysługę.

- Według tego, co mówił pani mąż, lady Roseworth - zacząłem, sięgając do kieszeni, w której znajdował się notatnik - pani teść był osobą kochaną i nikt nie miał powodu, by źle mu życzyć.

- Pan raczy żartować, Jonathanie - parsknęła Amelia, a jej głos nabrał dzwicznej ostrości. - Mój teść kochany? To był okropny człowiek! Czy pan ma pojęcie, jak trudno było znosić jego charakter i nie chcieć wbić mu noża w czoło?

Nie miałem pojęcia, rzecz jasna. Również o tym, że w tej kobiecie tli się tyle nienawiści.

– Jestem przekonana – kontynuowała, wzięwszy oddech – że nigdy nie zgodziłby się na pańskie małżeństwo z Ruth. O ile to prawda, że ona zamierzała pana poślubić. Ale zaraz... – Umilkła nagle i spojrzała na mnie z nową ciekawością. – Thadeus zostawił panu list. Czyżby jednak zamierzał pobłogosławić pana kandydaturę? To byłoby coś!

– Nie musisz odpowiadać, Jonathanie – odezwała się Agatha.

Nie zmytygowała Amelii, nie zaprzeczyła jej słowom, wydawała się wręcz pogodzona z tym, że niesforna żona Thomasa zabawia się w rzecznika rodziny.

– Nie, nie muszę – zgodziłem się – ale chcę. Otrzymanie tego, jak go pani nazwała, listu było dla mnie takim samym, o ile nie większym, zaskoczeniem jak dla państwa. Nie znałem lorda Thadeusa na tyle, by spodziewać się, że choćby zapamiętał moje nazwisko.

– Widocznie Ruth zdążyła urobić tatusia – mruknął Thomas.

– Nie sędzę, lordzie. Obawiam się, że pańska siostra nie miała z tym nic wspólnego poza oczywistą znajomością z moją nieżyjącą małżonką.

– Ach tak, Mary Dalrymple – przypomniała sobie Amelia. – Mgliście ją pamiętam, śliczna dziewczyna. Moje kondolencje.

Skinąłem głową, łapiąc przypadkiem spłoszone spojrzenie Thomasa. Zdawało mi się czy rzeczywiście dostrzegłem grymas bólu na jego twarzy?

– Mary była wyjątkowa – przyznałem, z trudem panując nad wzbierającym wzruszeniem. – Nigdy nie poznałem nikogo, kto mógłby równać się z nią pod względem dobroci, uprzejmości, taktu i...

– I charakteru – dokończyła Agatha. – To prawda, Mary była wyjątkowa. Thadeus ją uwielbiał, jak my wszyscy. Jej śmierć wstrząsnęła całą rodziną, ale Thadeus przeżył ją nawet mocniej niż Ruth. Od początku mnie to zastanawiało.

– Co ma pani na myśli, lady Radcliffe? – zapytałem, czując, jak mój żołądek ścisną się pod wpływem nienazwanych przeczuć.

Nim odpowiedziała, Agatha spojrzała na Thomasa, ten jednak utkwił wzrok w dywanie i wyglądał, jakby odpłynął myślami.

- Być może się mylę, ale zdaje mi się, że lord Roseworth darzył twoją żonę szczególnym... afektem - odparła cicho. - Zresztą jak każdy męski przedstawiciel tej rodziny.

- Dałabyś już sobie spokój z tymi insynuacjami, Agatho! - uniosła się Amelia i wyciągnęła rękę z pustą szklanką w stronę męża. - Dolej nam, kochanie, jeśli będziesz tak miły.

Roseworth bez słowa podniósł się z kanapy i ruszył do barku.

- Słyszałam o tym cielejącym uczuciu, jakie łączyło Thomasa z Mary, ale to stare dzieje, byli wtedy zaledwie dziećmi. Panie Harper, na pańskim miejscu dzieliłabym wszystko, co mówi Agatha, co najmniej przez dwa.

- Proszę się mną nie przejmować - zapewniłem, patrząc na Thomasa, któremu drżały ręce i z trudem przechylał butelkę. - Ja i lady Radcliffe znamy się od dawna. Zastanawia mnie tylko, dlaczego po moim ślubie z Mary nigdy nie zostaliśmy zaproszeni do Roseworth Manor.

- Ależ Mary bywała tu częstym gościem - rzucił Thomas, zaskakując mnie.

- Przepraszam?

- Nie wiedziałeś o tym? - Arystokrata spojrzał na mnie, odstawivszy butelkę na miejsce. - Odwiedzała nas kilka razy w tygodniu, czasem nawet bez Ruth.

Moja skonsternowana mina upewniła go w przeświadczeniu, że nie miałem o tym pojęcia.

- Jestem pewna, że te wizyty nie były warte wzmianki - próbowała rozładować napięcie Agatha, posławszy wściekle spojrzenie Thomasowi. - Dobrze wiesz, Jonathanie, że dziewczęta niemal wychowały się razem, Mary była dla Ruth jak siostra, nic więc dziwnego...

- Dziękuję, lady Radcliffe - przerwałem jej, ledwo panując nad złością. - Nie musi pani mnie uspokajać, moja żona była samodzielną i niezależną, za co między innymi ją podziwiałem. Thomas zaskoczył mnie tym wyznaniem, to wszystko.

- Swoją drogą, to rzeczywiście dziwne, że akurat tobie mój ojciec zostawił wiadomość przed śmiercią. - Najwidoczniej Roseworth znów poczuł się w nastroju do grania mi na nerwach. Być może upity ukradkiem kieliszek wódki ośmielił go nieco bardziej niż obecność prawdopodobnej żony. - Wiedziałaś, Harper, że po twoim ślubie zerwał wszelkie kontakty z Dalrymple'ami? Ciekawe, nieprawdaż? Można by wysnuć wniosek, że z jakiegoś powodu czuł więcej sympatii dla Mary niż dla jej ojca, z którym przyjaźnił się od lat.

- Dla mnie nie ma w tym nic zaskakującego - odbiłem piłeczkę, straciwszy ochotę na dalsze gierki. - Mój teść jest osobą antypatyczną i tak dalece zadufaną w sobie, że zraził do siebie nawet jedyną córkę. Każdy normalny człowiek wybrałby Mary.

- I znów błędnie pan zakłada, że Thadeus był normalny - wtrąciła Amelia i puściła do mnie oko. - Powiem panu jedno, Jonathanie: gdybyście chcieli odnaleźć normalność w tej rodzinie, należałoby zacząć wierzyć w bajki.

Zaczynałem dochodzić do tego samego wniosku, co nie zmieniało faktu, że z każdą mijającą minutą coraz bardziej pragnąłem dotrzeć do sedna tej sprawy. Jedynym, co niepokoiło mnie z narastającą intensywnością, była obecność Mary w tle tych wydarzeń. I choć próbowałem przekonać samego siebie, że to jedynie przypadek, że siłą rzeczy moja żona pojawia się między wierszami, intuicja podpowiadała mi coś zgoła przeciwnego. A jeśli połączyć intuicję i spoczywającą w kieszeni marynarki kopertę podpisaną ręką nieżyjącego lorda Rosewortha, sprawa zaczynała nabierać zupełnie innej wagi.

Jakby czytając w moich myślach, lady Radcliffe zapytała:

- Myślę się, sądząc, że Thadeus wspomniał w tym liście o Mary?

Amelia gwizdnęła cichutko, a Thomas gwałtownie wciągnął powietrze.

– Nie, wcale się pani nie myli – odrzekłem niemal odrętwiały. – Nie mam jednak pojęcia, co oznacza ta wiadomość, a proszę mi wierzyć, lady Agatho, niczego bardziej nie pragnę, niż ją zrozumieć.

Starsza dama pokiwała głową. Milczeliśmy, pogrążeni we własnych myślach. Amelia przytuliła się do męża i głąskała wierzch jego dłoni, a Thomas wyglądał na uszczęśliwionego jej czułością. Z trudem dostrzegalem w nim tego bezczelnego bufona, który próbował pokazać mi wyższość, sięgając do bolesnych sekretów. A bolesne sekrety wypalały dziury w moim sercu, każąc się zastanowić, czy na pewno znałem swoją żonę tak dobrze, jak sądziłem.



Rozdział 12

- Telefon do pana Harpera. - Basowy głos Bernarda wdarł się w panującą w saloniku od kilku minut ciszę. - Scotland Yard.

Podniosłem się z fotela i odprowadzany wzrokiem Thomasa, Amelii i Agathy ruszyłem za majordomusem. W progu gabinetu wcisnąłem mu w dłoń szklanke, którą zapomniałem zostawić w salonie, po czym zamknąłem drzwi.

- Harper - rzuciłem do słuchawki, doskonale wiedząc, kto czeka po drugiej stronie.

- Jak szybko możesz wrócić do Londynu? - Głos mojego ojca był wyzuty z emocji.

- Muszę sprawdzić rozkład pociągów.

- Weź samochód, to pilne - oznajmił i zakończył rozmowę.

Po sekundzie usłyszałem delikatne stuknięcie, oznaczające, że ktoś odłożył słuchawkę drugiego aparatu znajdującego się w Roseworth Manor, co zupełnie mnie nie zdziwiło.

Rozejrzałem się po gabinecie, celebrując niespodziewane chwile samotności. Za pozwoleniem policji służba dokończyła sprzątanie, pozbywając się pozostałości proszku daktyloskopijnego i czyszcząc plamy z dywanu, choć gdzieś widać było ciemne smugi. Moją uwagę przyciągnęło ogromne okno, zamknięte na podwójny zamek, usytuowane dokładnie za biurkiem, przy którym zginął lord Roseworth.

Drewniana rama była solidna, podwójne szyby zabezpieczały przed wyziębieniem w wietrzne wieczory. Mimo upału na zewnątrz w gabinecie panował przyjemny chłód, za który z pewnością odpowiadały wzniesione z piaskowca mury i szczelne okna. Obejrzałem

dokładnie framugę, lecz nie znalazłem żadnych uszczerbków mogących świadczyć o otwieraniu siłą. Odbezpieczyłem zamki i wpuściłem do środka pachnące morską bryzą powietrze i krzyki mew. Po drugiej stronie nie było parapetu, a okno znajdowało się wysoko, ponad półtora metra nad ziemią. Nie stanowiłoby problemu wyskoczenie przez nie, ale wejść stanowczo byłoby trudniej. Tuż przy domu rosły pojedyncze krzewy, ale z tej strony ogród zdawał się odrobinę zaniedbany. Nie dostrzegłem żadnych ubytków w trawie, złamanych gałązek ani wydeptanej ścieżki. Z pewnością nie była to często odwiedzana przestrzeń. Czy jednak ktoś mógł uciec tędy po tym, jak zastrzelił Thadeusa Rosewortha? To z pewnością było możliwe.

Zamknąłem okno i podszedłem do biurka. Solidny, kolonialny mebel zajmował sporą część pomieszczenia. Pod blatem znajdowała się długa szuflada, a pod nią kilka mniejszych, w dwóch kolumnach po obu stronach biurka. Odsunąłem fotel i kucnąłem, żeby przyrzeć się zamontowanemu zamkom, i ze zdziwieniem odkryłem, że do wszystkich pasuje jeden klucz, który w dodatku tkwił w pojedynczej długiej szufladzie. Z pewnością Scotland Yard dokładnie przeszukał zawartość, mnie jednak interesowało coś zupełnie innego. O ile miałem pewność, że śledczy zbadali odciski na zewnątrz biurka, o tyle rzadko starczało im wyobraźni, żeby zbadać spód blatu. Wszedłem więc pod mebel i przyjrzałem się najpierw desce, a następnie zajrzałem do każdej szuflady, centymetr po centymetrze studiując wygląd drewna. Niczego jednak nie znalazłem. Na koniec wyjąłem klucz, chwytając go przez chusteczkę, i schowałem zawiniątko do kieszeni marynarki.

Barnard czekał na mnie w holu z pustą szklanką w dłoni, a gdy zamknąłem za sobą drzwi, obrzucił mnie spojrzeniem, jak gdyby sprawdzał, czy nie wynoszę czegoś, czego nie powinienem.

– Czy mogę pożyczyć któryś z samochodów? – zapytałem, doskonale wiedząc, że tego dnia nikt nie będzie ich potrzebował.

– Oczywiście, panie Harper, Bentley i Morris panienki Ruth stoją wciąż na podjeździe. Nie będzie pana na obiedzie?

Zerknąłem na zegarek, stwierdzając, że zbliża się piętnasta. Podróż do Londynu zajmie dwie godziny, a ja zaczynałem odczuwać głód.

– Wyjadę zaraz po nim – zdecydowałem.

Majordomus skinął głową i ruszył do pomieszczeń służbowych. Sądząc po dolatujących z kuchni zapachach, posiłek był już gotowy. Moje domysły potwierdził po chwili głośny tupot na schodach.

Claire Roseworth wydawała się wstrząśnięta moim widokiem, kiedy zbiegła po schodach i niemal wylądowała na mnie.

– Jonathanie, wciąż tu jesteś?

– A powinienem być gdzie indziej? – udałem zdziwienie.

– Oczywiście! Powinieneś być z Ruth! Ci okropnie głupi policjanci zapewne znęcają się nad nią! Mona mi opowiadała, jakie okropne maniere mają ci ludzie!

– Młoda damo, na pani miejscu nie wierzyłbym we wszystko, co mówi pani siostra – odparłem, mrugając do niej porozumiewawczo.

– Tak myślisz? – Dziewczynka zmarszczyła piegowaty nos i przypatrywała mi się z zastanowieniem.

– Być może w Ameryce policjanci nie mają manier, ale przecież jesteśmy w Anglii – odrzekłem z powagą.

– Ach, masz całkowitą rację! – pisnęła radośnie i ujęła mnie pod rękę. – Pozwolę panu odprowadzić mnie do jadalni, panie Harper. Wiedział pan, że w Ameryce nie mają jadalni? A nawet służby!

Z trudem powstrzymałem się przed wybuchnięciem śmiechem.

– A czy panienka wie, że moja matka jest Amerykanką? – odpowiedziałem pytaniem, przewidując, jakie wrażenie to wyznanie zrobi na podlotku.

– Nie! Mówisz serio?

– Ależ jestem całkowicie poważny. Moja matka, Charlotte Harper, jest...

– A niech mnie dunder świśnie! – wykrzyknęła dziewczynka. – Ty jesteś synem Charlotte Harper? Ależ ja ją uwielbiam! Ubóstwiam! Ona

jest okropnie ładna!

Tym razem zaśmiałem się głośno, wyobrażając sobie, co moja matka powiedziałaaby, usłyszawszy, że jest „okropnie ładna”. Gwoli ścisłości, Charlotte Harper była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie dane mi było poznać, wliczając w to gwiazdy kina, jak choćby Marilyn Monroe. Dorastanie u boku takiej matki nauczyło mnie jednak nie widzieć w tym niczego specjalnego.

– Jeśli będzie panienka chciała, przedstawię ją mojej matce – oznajmiłem, ścisząc głos do szeptu.

– Ależ to oczywiste, Jonathanie! – oświadczyła tonem, w którym w pełni wybrzmiało arystokratyczne pochodzenie. – Spodziewam się, że poznam ją na pańskim ślubie. W końcu będzie pan moim szwagrem.

Omaliem nie zachłysnąłem się na dźwięk tych słów, które mnie zaskoczyły, a jednocześnie podsunęły pewną myśl.

– Rozumiem, że nie wierzy panienka w winę mojej narzeczonej, lady Claire? – zapytałem z lekkością.

– Oczywiście, że nie! – odparła oburzona. – Cóż to w ogóle za idiotyczny pomysł! Ruth nigdy nie zrobiłaby niczego tak okropnie głupiego.

Zatrzymałem się nagle i obróciłem w stronę dziewczynki.

– Ja też tak uważam – powiedziałem konspiracyjnym szeptem – ale muszę przekonać o tym policję.

– Wierzę w ciebie, Jonathanie – zapewniła twardo.

– Niestety, brakuje mi sprzymierzeńców. Lord Thomas jest chyba przekonany, że Ruth zabiła waszego ojca, żeby nie zdążył znów zmienić testamentu.

– George też tak mówi – odpowiedziała szeptem – ale ja wiem, że to nieprawda. Ruth to najmilsza osoba w tej rodzinie. Poza mamą, ale mama nie byłaby w stanie zabić nawet muchy, a co dopiero mówić o ojcu.

- Potrzebuję pomocy, Claire - oznajmiłem, udając bezradność i ignorując ostatnie zdanie. - Nikt nie chce mi powiedzieć prawdy, a bez tego nie poradzę sobie z tą sprawą.

Dziewczynka patrzyła mi w oczy i z każdą sekundą na jej piegowatej twarzy determinacja wydawała się wyraźniejsza.

- Oczywiście, że ci pomogę, Jonathanie - stwierdziła w końcu. - Pomogę ci udowodnić, że Ruth jest niewinna. Inaczej nie poznam Charlotte Harper.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, jak na współników przystało, po czym ruszyliśmy do jadalni, trzymając się pod rękę. Kątem oka zauważyłem George'a stojącego u szczytu schodów i przyglądającego się nam z nieodgadnioną miną. Byłem pewien, że słyszał naszą rozmowę, a dokładnie na tym mi zależało.

*

W jadalni panował gwar zupełnie niepasujący do okoliczności, zdążyłem jednak przywyknąć do myśli, że w Roseworth Manor niewiele rzeczy odbywa się zgodnie z wyobrażonym schematem. Niemal wszystkie miejsca przy stole były już zajęte, brakowało jedynie mnie, Claire i George'a, ale i on pojawił się po chwili i usiadł obok matki. Mnie przypadło krzesło pomiędzy Adalind i Margaret Radcliffe, babką Ruth.

- Niech pan siada, Jonathanie! - zachęcała mnie panna Almond, nie kryjąc entuzjazmu. - Poplotkujemy!

Claire, która usiadła naprzeciwko, skrzywiła się i przewróciła oczami. Nie byłem pewien, czy w reakcji na zachowanie aktorki, czy też wobec konieczności zajęcia miejsca obok Amelii. Po drugiej stronie dziewczynki siedziała lady Agatha, pogrążona w rozmowie z młodą mężczyzną, którego dopiero teraz zauważyłem. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, był przystojny w typowo brytyjski sposób: z wyraźnie zarysowaną linią szczęki, wysokim czołem, pełnymi ustami i doskonale ułożoną fryzurą w kolorze kłosów dojrzałego zboża. Wnioskując po napięciu widocznym na twarzy Evelyn Miller,

sąsiadującej z młodzieńcem po jego lewej stronie, domyśliłem się w nim Ruperta Greya.

– Ładniutki – szepnęła mi do ucha Adalind. – Jak na Anglika.

– Trudno mi to oceniać, panno Almond – odrzekłem także szepsem. – Męska uroda nie jest tematem moich... badań.

– Niech mi pan wierzy na słowo. Proszę tylko spojrzeć na tę małą: wygląda, jakby trawiła ją wielka gorączka. Jestem pewna, że najchętniej złapałaby tego słodziaka za łokieć i zaciągnęła do pokoju. I wcale bym się jej nie dziwiła.

– Co tam szepczecie? – Siedząca obok Adalind Mona Roseworth nachyliła się nad stołem i zlustrowała nasze twarze. – Aha, plotki przy obiedzie? Wspañale! Czyżby Adalind znów śliniła się na widok słodkiego Ruperta?

– Nie bądź głupia, skarbie, on mógłby być moim synem.

– Też mi problem! – prychnęła Mona. – Mój ojciec nie miał skrupułów, żeby związać się z kobietą młodszą od jego córki.

Obie zachichotały, zwracając na siebie uwagę Agathy.

– Miałybyście na tyle przyzwoitości, żeby chociaż zachować pozory ogłady – ofuknęła je, po czym spojrzała na mnie. – Jonathanie, czy miałeś już okazję poznać Ruperta Greya, naszego sąsiada? Rupercie, to Jonathan Harper, narzeczony Ruth.

– Sąsiada? – zdziwiłem się, doskonale pamiętając, że Roseworth Manor jest jedynym domem w promieniu półtorej mili.

– Jak się pan miewa? – Młody mężczyzna skinął głową. – Mieszkam w Trimmingham, niedaleko kościoła Świętego Jana. Nie wiedziałem, że lady Ruth jest zaręczona.

To powiedziawszy, zerknął nieśmiało na Evelyn, która uśmiechnęła się do niego niemal przepraszająco.

– Proszę nie mieć pretensji do panny Miller – pośpieszyłem z pomocą damie – trzymaliśmy to w sekrecie.

– I wybraliście doskonały czas na ogłoszenie – wtrącił się George.

Złośliwy mały gnom musiał czekać na okazję, żeby pokazać swój charakter.

- Miło mi pana poznać - zwróciłem się do Greya, ignorując chłopaka. - Bywałem w Trimmingham w trakcie studiów, ilekroć przyjeżdżałem do Norfolk. To urocze miejsce.

- Studiował pan na Uniwersytecie Anglii Wschodniej?

- Jonathan studiował na Uniwersytecie Oksfordzkim, razem z Ruth i Mary Dalrymple - odpowiedziała Agatha, uprzedzając mnie. - W Norfolk bywał w trakcie przerw trymestralnych i wakacji. Także z Ruth i Mary - dodała, rzucając mi ciepły uśmiech. - Zna pan lady i lorda Dalrymple'ów, Rupercie?

- Niestety nie, lady Radcliffe, nie miałem przyjemności, choć mój ojciec bywa w Seaside Mansion.

Wzmianka o domu moich teściów, z którymi nie widziałem się od śmierci Mary, sprawiła, że poczułem się odrobinę nieswojo, jednak wnoszone do jadalni potrawy szybko odegnały to nieprzyjemne wrażenie. Atmosfera rozluźniła się jeszcze bardziej, gdy przy dźwiękach pobrzękiwania sztućców i mlaskania - co stwierdziłem z zakłopotaniem, przypominając sobie uniwersyteckie motto: „Maniery czynią człowieka” - oddano się konsumpcji znakomitych ryb i ptactwa w towarzystwie duszonych brukserek, pieczonych buraków i najsmaczniejszych pomidorów, jakie w życiu jadłem, wliczając w to wspaniałe kolacje w New College, na które obowiązywały zapisy.

- Mogę pana o coś zapytać, Jonathanie? - Głos Evelyn Miller, delikatny, niemal dziecięcy, rozwił moje wspomnienia o beztroskich studenckich czasach.

- Oczywiście, panno Miller, proszę pytać.

- Sądzi pan, że udowodni niewinność Ruth?

Ledwo wypowiedziała te słowa, a atmosfera w jadalni zmieniła się całkowicie: prowadzone szeptem rozmowy się urwały, sztućce przestały brzęczeć, a spojrzenia wszystkich skoncentrowały się na mojej twarzy. Nawet siedząca obok mnie Margaret Radcliffe, która do tej pory

wydawała się zupełnie niezainteresowana czymkolwiek, odłożyła widelec i odwróciła się w moją stronę.

Brukselka urosła mi w ustach, a na policzki wstąpił rumieniec, co poznałem po nagłym uderzeniu ciepła. Obserwowany przez dwanaście czujnych par oczu z trudem przeżułem i połknąłem zawartość ust, po czym wytarłem je serwetką.

- Ekhm, przepraszam - zacząłem, nieco chrypiąc, i sięgnąłem po wodę. Przełykanie tejże również nie wyszło bezgłośnie, ale było mi już wszystko jedno. - Wydaje mi się, panno Miller, że w tej chwili jest za wcześnie, żeby wydawać wyroki.

- Policja swój wydała - zgasiła mnie Amelia.

- Na razie nic nie jest przesądzone - odparłem, starając się nadać głosowi łagodny wydźwięk, choć przychodziło mi to z trudem.

Niemalże czułem napięcie, jakie zawisło nad stołem, a które udzieliło się nawet służbie. Kątem oka widziałem biały czepek pokojówki, zastygłej nagle w kącie z pustą karafką w dłoni.

- A jednak ją aresztowano - upierała się żona Thomasa. - Gdyby Scotland Yard nie miał podstaw, z pewnością by tego nie zrobili.

- Niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy - odezwała się Mona.

- Albo niewinności - zawtórowała Adalind.

- Jeśli Jonathan nie znajdzie odpowiedzialnego za ten czyn, Ruth zostanie postawiona przed sądem - oznajmiła Agatha.

- Moja córka jest niewinna! - załkała nagle Barbara Roseworth.

- Ależ oczywiście, że jest, ciociu - stwierdziła z naciskiem Evelyn, na co lady Roseworth zareagowała jeszcze głośniejszym szlochem.

- Mamo, nie płacz, proszę... - Thomas zerwał się z krzesła i ruszył do matki. Zanim zamknął ją w silnym uścisku, warknął do mnie: - Masz dwadzieścia cztery godziny, Harper, żeby rozwikłać tę sprawę. Skoro taki z ciebie detektyw, to rób to, co do ciebie należy.

Miałem ochotę wbić mu widelec w któreś z pałających wściekłością oczu, jednak powstrzymał mnie przed tym głos Claire.

- Nie musisz być niemiły, Tom, nie zachowuj się jak... - Urwała nagle, speszona wzrokiem brata. - Jonathan z pewnością znajdzie winnego dużo szybciej.

- Proszę, proszę, jedna siostra zniknęła, ale nasz Jonny już znalazł sobie nową wielbicielek - zakpiła Adalind.

- To raczej nie jest zabawne, panno Almond - wycodziłem, tracąc nerwy.

- Nie? A mnie jednak wyjątkowo bawi. A ty co sądzisz, Mono, kochanie?

- Sądzę, że powinnaś rzadziej popijać whiskey. Claire jest dzieckiem, a pan Harper jest zaręczony z Ruth.

- Nie wszyscy gustują w dojrzałości, skarbie - odrzekła aktorka, odrzucając platynowe włosy na lewe ramię. - Twój papa, niech mu ziemia lekką będzie, także miał skłonności do... młodszych. - Wypowiadając ostatnie słowo, spojrzała wprost w oczy Evelyn, która oblała się pąsem i raptownie odsunęła krzesło od stołu.

- Jest pani arogancka i wredna! - pisnęła. - Rupercie, potrzebuję się przewietrzyć.

Grey niemal podskoczył, kiedy dziewczyna odepchnęła się od stołu i ruszyła w kierunku drzwi. Chłopak wybiegł za nią, po czym objął ją w tali, pozwalając damie swego serca uwiesić się na jego silnym ramieniu. Metaforycznie silnym, bo prawdę powiedziawszy, wyglądał jak chucherko. Był wysoki, nawet bardzo, musiał przewyższać mnie co najmniej o pół głowy, jednak wydawało się, że silniejszy wiatr złamie go jak gałązkę.

Lady Radcliffe spojrzała na aktorkę z jawną naganą.

- Czy to naprawdę było konieczne, Adalind?

Almond wzruszyła ramionami, zupełnie nie przejmując się uwagą kobiety.

- Ja jedynie powiedziałam prawdę, Agatho.

– A jakież to prawda, moja droga? – nie ustępowała arystokratka. – Brzmiało, jakbyś oskarżyła ją o romans z Thadeusem.

Z gardła lady Barbary wyrwał się ryk, o jaki nigdy bym jej nie podejrzewał. Wzdrygnąłem się na ten dźwięk, jednak to był dopiero początek.

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz rzucać te potworne kalumnie pod adresem mojego ojca?! – Thomas Roseworth wypuścił matkę z objęć i z zaciśniętymi pięściami ruszył w stronę Adalind. Zatrzymał się tuż obok mojego krzesła i warknął jak wściekła bestia: – Jeśli natychmiast nie odwołasz tych słów, własnoręcznie wyrzucę cię z tego domu, ty podła, zadufana w sobie szansonistko!

– Szansonistko?! – Adalind także podniosła głos i odsunęła krzesło.

Przez chwilę byłem pewien, że zaraz ruszy na Thomasa i dokona tego, na co ja miałem ochotę.

– Jestem aktorką, ty niedorozwinięta małpo! Uznana i doskonale opłacana aktorką! I w odróżnieniu od ciebie nie potrzebuję pieniędzy tatusia!

– Kochanie, opanuj się – syknęła Mona.

– Powiedz to temu orangutanowi! Jak możesz pozwalać, żeby tak mnie obrażał?! I groził, że wyrzuci mnie z tego domu?

– Nie zwracaj na niego uwagi, skarbie, puściły mu nerwy. Wiesz, że Tom jest niestabilny.

– Thomasie, chyba nie pozwolisz, żeby ta kobieta obrażała cię w twoim własnym domu?! – wtrąciła się nagle Amelia.

– W jego domu? – Adalind roześmiała się w teatralny sposób. – Chciałabym zauważyć, że ten dom należy do Ruth. I tylko ona może mnie stąd wyrzucić. A także ciebie i twojego męża. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to zrobiła.

– Pani jest bezczelna i przekracza wszelkie granice! – warknęła żona Thomasa.

- A pani wyszła za kretyna - ucieła aktorka, doprowadzając lady Roseworth do kolejnego wybuchu płaczu.

- Chyba przesadziłaś, kochanie... - W głosie Mony zadźwięczała rezygnacja.

Obserwowałem to przedstawienie z rosnącym zażenowaniem, a równocześnie czułem ciekawość, dokąd to wszystko doprowadzi. Niezaspokojony głód zupełnie zniknął, ustępując miejsca dociekliwości detektywa. Zerknąłem na Claire - wydawała się przerażona. Zasłoniła uszy dłońmi, przez co wyglądała zupełnie jak małe dziecko. Agatha przytulała ją mocno, a na jej twarzy zastygła wściekłość, której prawdopodobnie da upust, gdy bliźnięta znikną w swoich sypialniach. Puste krzesła po Evelyn i Rupercie przypominały, od czego zaczęła się ta niespodziewana sytuacja. George, w odróżnieniu od siostry, zdawał się doskonale bawić. Rozparł się na swoim miejscu i polował na groszek uciekający mu z talerza, gdy tylko próbował nabić go na widelec. Nie był ani trochę poruszony toczącą się wokół awanturą. Lady Roseworth wciąż łkała, obejmowana przez matkę, która szeptała jej coś do ucha. Amelia niemal mordowała wzrokiem Adalind, a Thomas dyszał mi nad głową jak szykujący się do ataku byk.

- Mono, masz natychmiast zabrać swoją przyjaciółkę z tego domu - wysapał. - Pod nieobecność Ruth to ja jestem tu panem i ja decyduję, kogo goszczę.

- Tom... - próbowała ratować sytuację jego przyrodnia siostra. - Uspokójmy się wszyscy, nie możemy pozwolić dać się ponieść nerwom.

- Natychmiast! - ryknął Roseworth. - Jeśli o mnie chodzi, to ty także możesz się wynosić. Łączył nas jedynie ojciec, a teraz już go nie ma.

Ta uwaga wyraźnie ubodła Monę, która podniosła się gwałtownie, chwyciła przyjaciółkę pod rękę i pociągnęła ją w stronę drzwi. Nim jednak opuściły jadalnię, Adalind odwróciła się do Thomasa, wyciągnęła w jego stronę szczupły palec zakończony różowym paznokciem i lodowatym tonem wycedziła:

- A żebyś wiedział, lordzie Roseworth, że nie mam już najmniejszej przyjemności z przebywania w tym domu. I tak, właśnie to chciałam powiedzieć: twój ojciec był obrzydliwym starym zboczeńcem, który nie potrafił utrzymać rąk przy sobie w obecności młodych dziewcząt. Zdziwiłabym się, gdyby nie okazało się, że jesteś owocem gwałtu!

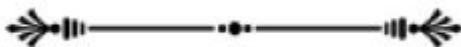
Tego było za wiele nawet dla Agathy, której cynizm i niewyparzony język przewyższał - i to o wiele - mojego ojca.

- Dość! Wstydziłabyś się, Adalind, nawet myśleć takie rzeczy. Ta uwaga była uwłaczająca nie tylko tobie, ale nam wszystkim. Powinnaś niezwłocznie opuścić Roseworth Manor.

- Z rozkoszą! - odbiła piłeczkę aktorka i pociągnęła zszokowaną Monę do holu.

- STOP!!! - wrzasnąłem tak głośno, że groszek na talerzu George'a podskoczył. - Nikt nie opuści tego domu, dopóki z każdym nie porozmawiam! Za chwilę wyjeżdżam do Londynu, ale wrócę wieczorem. Radziłbym nie pozabijać się do tego czasu. Mówię poważnie! - Spojrzałem na Thomasa zaskoczonego moim wybuchem. - Panie Roseworth, będzie pan łaskaw przypilnować porządku pod moją nieobecność.

Z zadowoleniem zarejestrowałem, że w końcu zapanowała cisza. Nawet Barbara przestała płakać, a Claire odjęła dłonie od uszu i wpatrywała się we mnie przerażonym wzrokiem. Zupełnie mi to jednak nie przeszkadzało, ba! miałem to kompletnie gdzieś. Zrozumiałem bowiem, że do tych ludzi należy przemawiać jedynym znanym im językiem: siłą. I traktować ich tak, jak oni traktowali innych - dokładnie w ten sposób, w jaki odnosił się do nich lord Roseworth, którego morderca wciąż znajdował się na wolności.



Rozdział 13

LONDYN, SCOTLAND YARD

Po moim wybuchu nikomu nie wrócił już apetyt i wkrótce w Roseworth Manor znów zapanowała przygnębiająca cisza. Czulem na sobie płochliwe spojrzenia służby, kiedy szykowałem się do drogi, a Bernard starał się schodzić z linii mojego wzroku. Przebierając się, widziałem przygotowany do wyjazdu samochód, zszedłem więc bez słowa na dół, odebrałem kluczyki od lokaja i wyjechałem.

Starałem się uporządkować myśli, które tworzyły w mojej głowie kłębowisko złożone z setek nitek. Wirowały, płątały się, usiłowały zbić w kulę albo przeciwnie: rozpaść na tysiące fragmentów. Niemal nie zauważałem zmieniających się krajobrazów, a gdy dotarłem do Londynu, mętlik w głowie zdawał się jeszcze większy i na niczym spełzły próby wyciszenia go muzyką puszczaną w radiu.

Tuż po przekroczeniu mało gościnnych progów dobrze mi znanej siedziby Scotland Yardu natknąłem się na Milтона Oacklanda, ducha z przeszłości tak odległej, że niemal o niej nie pamiętałem.

– Harper? – zapytał z niedowierzaniem. – Jonathan Harper, to ty?

– Cześć, Miltonie – przywitałem go na tyle ciepło, na ile pozwalały mi wciąż wzburzone emocje. – Mój ojciec chciał się ze mną zobaczyć.

– Twój oj...? Ach tak, oczywiście! Nadinspektor Harper! – Widocznie jemu także było trudno uwierzyć, że łączy nas tak bliskie pokrewieństwo. – Zdaje się, że jest u siebie. Zawołać?

– Nie trzeba, trafię.

Ruszyłem na tyły budynku, gdzie znajdowały się gabinety wyższych rangą oficerów. Przechodząc przez ogromne pomieszczenie, w którym

pracowali szeregowi funkcjonariusze, czułem na sobie zaciekawione spojrzenia. Milton szedł za mną, jakby się bał, że jednak nie znajdzie drogi.

– Słyszałem, że pracujesz w sektorze prywatnym – zażartował, a ja usłyszałem nutę podziwu w jego tonie.

– Mhm, tak jakby.

– Gdybyś kiedyś szukał pracownika... – Przyśpieszył kroku i zrównał się ze mną. – No wiesz, po starej znajomości – wyszeptał.

– Złamałbyś serce swojej matce?

– Ty ojcu złamałeś – odciął się, urażony.

– *Touché*. Praca w policji nie jest dla mnie, mam uczulenie na... czapki – powiedziałem, zauważwszy mundurowego w nakryciu głowy.

Milton parsknął i klepnął mnie w ramię.

– Od początku wiedzieliśmy, że jesteś za dobry tutaj. Ale fajnie byłoby z tobą pracować. Na pewno zrobiłbyś karierę, jak twój ojciec.

– Taaa – westchnąłem i zwolniłem krok. – Słuchaj, Milton, jeśli będę szukał pracownika, dowiesz się pierwszy. A teraz muszę...

– Jonathanie, jesteś wreszcie. – Głęboki bas, który rozległ się przed nami, dosłownie zmroził mi wszystkie komórki w ciele.

Powiodłem wzrokiem za tym dźwiękiem i dostrzegłem niedźwiedzią sylwetkę Jacka Harpera. Milton zdążył się ulotnić.

– Jestem – odparłem, patrząc na ojca. – I nie mam zbyt wiele czasu, muszę wracać do Mundesley.

– Rozumiem, chodź ze mną.

Ruszył w lewo, co przyjąłem ze zdziwieniem, pamiętając doskonale, że właśnie tam znajdowały się pomieszczenia, do których jako dziecko nie było wolno mi wchodzić.

– Prowadzisz mnie do aresztu?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, jednak ta pojawiła się przed moimi oczami zaledwie po kilku krokach.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do cel. Dwóch policjantów siedziało na krzesłach i czytało gazetę, jakby nawet nie chciało im się już udawać, że nudzą się jak mopsy.

- Co to ma znaczyć? - zapytałem coraz bardziej poirytowany.

Naprawdę wezwał mnie tu, żeby... No właśnie, żeby co?

- Koroner przed południem przysłał wyniki autopsji. Ustalił przyczynę zgonu.

- Gratuluje, wreszcie właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Nadinspektor spiorunował mnie wzrokiem, a dwaj znudzeni klawisze podnieśli głowy znad gazet.

- Roseworth nie zginął na skutek postrzału - kontynuował ojciec. - Nie żył już, gdy dostał kulkę w głowę.

- Czyli samobójstwo możecie wykluczyć z niemal stuprocentową pewnością.

Jeden ze strażników parsknął głośno, co jeszcze bardziej zirytowało Jacka.

- Pajacowaniem daleko nie zajdziesz, synu. Sądziłem, że chcesz oczyścić swoją... narzeczoną z podejrzeń.

- Nie widzę, jaki związek z ustaleniami koronera ma Ruth - odparłem, tracąc zupełnie resztki humoru.

- Za chwilę wszystko zrozumiesz.

Kiedy strażnicy otworzyli drzwi, nadinspektor pchnął je i wszedł pierwszy. Ruszyłem za nim, nabierając niedobrych przeczuć. Po kilku krokach poczułem smród uryny i niemytych ciał wymieszany z oparami alkoholu. Im bliżej cel się znajdowaliśmy, tym głośniej się robiło. Najwidoczniej policja metropolitalna miała co robić w ostatnim czasie. Okrzyki wydawane w różnych językach przywołały w mojej wyobraźni mity o wieży Babel i pogrążonej w grzechu Sodomie. Zdecydowanie nie chciałbym nigdy znaleźć się po drugiej stronie krat. Z przerażeniem pomyślałem o Ruth - arystokratce wychowanej w dobrobycie i kąpianej

w kozim mleku, która w tych warunkach musiała czuć się jak w prawdziwym piekle.

Ojciec prowadził mnie ciemnym korytarzem, a echo naszych kroków niesło się w każdą stronę. Staralem się nie widzieć zniszczonych twarzy ludzi patrzących na mnie z nienawiścią i zwierzęcą żarłocznością. Skupiłem wszystkie myśli na Ruth.

– Jest w izolatce – odezwał się ojciec.

Odetchnąłem z ulgą, choć może się to wydawać idiotyczne: jak można poczuć ukojenie na wieść o izolatce? Porównując cichą pojedynczą celę do klatki pełnej załatwiających się pod siebie ludzi – można. I przychodzi to ze zdumiewającą łatwością.

Klucz zgrzytnął w zamku i ciężkie drzwi stanęły otworem. Wewnątrz panował półmrok rozświetlany pojedynczą żarówką. Pod jedną ścianą stała wąska prycza, pod drugą znajdował się metalowy klozet, a obok niego małe umywalka. Poza tym na nic więcej nie było miejsca.

Ruth siedziała na pryczy, oparta o ścianę, z nogami podciągniętymi niemal pod brodę, i czytała książkę. Doprawdy nie wiem, jak udawało jej się cokolwiek widzieć w tej ćmie, jednak nawet nie zareagowała na otwarcie drzwi.

– To było naprawdę konieczne? – zapytałem półgłosem ze złością.

– Dla jej dobra. Niestety, nie mamy tu salonów dla dam – odparł ojciec bez cienia złośliwości. – Jedyne, czego zażądała, to książka, a to życzenie mogłem spełnić.

– Gdzie jest jej prawnik?

– Prawdopodobnie wciąż w Edynburgu, ma się pojawić tak szybko, jak to możliwe.

– W Edynburgu?

Musiałem powiedzieć to odrobinę zbyt głośno, co wyrwało dziewczynę z czytelniczej iluzji.

– Jonny! – Jej piękna, choć blada twarz rozjaśniła się na mój widok. – Jak dobrze, że już jesteś!

– Jak się czujesz? – zapytałam, podchodząc do Ruth i pomagając jej włożyć buty.

– Nie najgorzej – przyznała. – Co tu robisz? Znalazłeś coś?

W jej oczach zapłonęła nadzieja, która mocno mnie zakłuła. Ruth wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która uparcie nie chce wierzyć, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– Panno Roseworth, Jonathan przyjechał na moje wezwanie, musimy porozmawiać.

Głos ojca znów zaskoczył mnie łagodnością, jakiej nie pamiętałem nawet z czasów, gdy sam wierzyłem w białobrodego grubaska wchodzącego do domów przez kominy.

– My? – zdumiała się dziewczyna. – Czy mój prawnik już się zjawił?

– Pan MacFarlaine jeszcze nie dojechał.

Drgnąłem na dźwięk nazwiska, które słyszałem tego dnia po raz kolejny. Świadek powstania ostatniej wersji testamentu lorda Rosewortha był równocześnie prawnikiem Ruth? O tym także nikt nie był łaskaw mnie poinformować.

– Nie wiem więc, czy mogę...

– Zapewniam panią, lady Roseworth, że obecność pani adwokata nie jest w tej chwili konieczna – przerwał jej nadinspektor. – O wszystkim zostanie poinformowany, gdy tylko zjawi się w Mundesley.

– W Mundesley? – Spojrzałem na ojca nie mniej zszokowany niż Ruth. – Dlaczego tam? O co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, Jack Harper wyszedł z celi i kiwnięciem głowy zachęcił mnie i Ruth do tego samego.

Lady Roseworth chwyciła mnie pod rękę i wymaszerowała z godnością, jakiej próżno by szukać u ludzi niższego urodzenia. Pod pachą ścisnęła lekturę, której tytuł wydał mi się wyjątkowo cyniczny w zaistniałych okolicznościach: Próba niewinności. Ruth uchwyciła moje spojrzenie, wcisnęła mi książkę w dłoń i uśmiechnęła się szeroko.

- Lady Agatha Mallowan w jednym z wywiadów powiedziała, że prawda zwykle znajduje się najbliżej oczu - oznajmiła z nutą kpiny. - Jeśli wierzyć temu tytułowi, to najbardziej oczywisty kandydat jest winny zbrodni.

- Masz na myśli siebie? - spytałem, nie kryjąc zaskoczenia.

- A ty?

Nie odpowiedziałem, usiłując zrozumieć, co też mogła przemycić pod tym kuriozalnym wyznaniem. Kilka godzin wcześniej rozpaczliwie zapewniała mnie o swojej niewinności, a teraz rzucała pozornie nieistotne uwagi, choć doskonale wiedziałem, że musiała mieć ku temu powód. Nie znałem twórczości Agathy Christie na tyle, by od razu wyłuskać z pamięci rozwiązanie zagadki z Próby niewinności, właściwie niemal wcale nie interesowałem się jej powieściami, zdecydowanie bardziej doceniając wiedzę Arthura Conana Doyle'a.

- Udamy się do mojego gabinetu - zaordynował nadinspektor. - Czeka tam na nas doktor Riley.

- Andrew Riley? - Ruth uprzedziła moje pytanie, unosząc brwi.

- Właśnie on - odparł krótko ojciec. Zupełnie w jego stylu.

Przemierzając nieprzyjemne kazamaty kwatery głównej Scotland Yardu, porządkowałem myśli i wnioski, dochodząc do jedynej sensownej konkluzji, jaką mogłem wysnuć na podstawie skąpych informacji. Wezwanie mnie i Andrew Rileya, jednego z najznamienitszych anatomopatologów współpracujących z policją metropolitalną, musiało oznaczać, że wyniki autopsji Rosewortha zaintrygowały zarówno lekarza, jak i mojego ojca do tego stopnia, że utrzymywana dotychczas linia oskarżenia gwałtownie zmieniła kierunek. A to z kolei mogło oznaczać jedno z dwojga: albo poszlaki, na których podstawie chciano postawić zarzuty Ruth, przestały mieć znaczenie, albo... Albo zamieniły się w dowody. I choć z całych sił odsuwałem od siebie tę myśl, moja wiara w niewinność dziewczyny chwiała się coraz mocniej.

Dwaj strażnicy wrócili do nudzenia się nad gazetami i ich zblazowanych wyrazów twarzy nie zmienił nawet widok pięknej kobiety opuszczającej areszt. Po zamknięciu masywnych drzwi usiedli na krzesłach, w których musieli już wygnieść siedziska tak bardzo, że ktokolwiek inny czułby się na nich niewygodnie, po czym ostentacyjnie rozłożyli płachty magazynów i ukryli się za nimi. Jeden czy dwóch funkcjonariuszy zerknęło na nas z ciekawością, kiedy przemierzaliśmy korytarz, a po chwili stanęliśmy przed drzwiami gabinetu, który nadinspektor Jack Harper zajmował od ponad dwudziestu lat. I byłem przekonany, że w środku niewiele przez ten czas się zmieniło.

Otwarte z impetem skrzydło uchyliło się niemal na całą szerokość, szczęśliwie zatrzymując się na wiszącym na wieszaku kapeluszu. Niewątpliwie czarna fedora należała do mojego ojca, co poznałem po wpiętej nad rondem malutkiej różyczce – takiej samej, jaką wiele lat temu moja matka nosiła na szyi. Był to symbol ich dawnej miłości, o którym ojciec nigdy nie chciał mówić, ale nieustannie przypinał tę różę do nakryć głowy.

Przy zawalonym papierami biurku siedział niewysoki człowieczek, całkowicie pozbawiony włosów na głowie, a jego pofałdowane zmarszczkami czoło niemal dotykało kartki, której zawartość starał się odszyfrować. Zsuwające się z potężnego nosa okulary niewiele mu pomagały, bo wciąż mrużył oczy, które niegdyś musiały mieć barwę błękitu, teraz były niemal przezroczyste. Odkąd ostatni raz go widziałem, patolog bardzo się postarzał. Jego dłonie pokrywały ciemne plamy, a widoczne na nich żyły wystawały, jakby chciały przebić się przez cienką jak pergamin skórę.

– Ach, urocza panna Roseworth! – wykrzyknął z entuzjazmem, kiedy zauważył nasze wejście. – Czy może powinienem powiedzieć: lady Roseworth.

– Bynajmniej, doktorze, zostanmy przy Ruth – odparła dziewczyna, odwzajemniając ciepły uśmiech.

Medyk podniósł się zza biurka i ruszył w naszą stronę.

- Jonathan! Dzień dobry, chłopcze - zwrócił się do mnie, wycałowawszy wcześniej wypielęgowaną dłoń arystokratki.

- Dzień dobry, doktorze, jak się pan miewa?

- Ach, lepiej nie mówić. - Machnął ręką i przypadkiem strącił z nosa okulary, które zawisły na jego szyi, przymocowane do srebrnego sznurka. - Starość nie radość, mój drogi, ale nie będę narzekał. Moi pacjenci mają gorzej.

Wisielcze poczucie humoru patologa stało się legendą, powtarzaną przez policjantów i koronerów. Przysparzało mu też dużo sympatii, co w jego zawodzie stanowiło raczej rzadkość, jakby praca ze sztywniakami implikowała gburowatość.

Nadinspektor zamknął drzwi i bez słowa podszedł do biurka. Oprócz dwóch krzeseł znajdujących się w gabinecie na stałe zauważyłem trzy kolejne. Jedno podsunąłem Ruth, drugie sam zająłem i odruchowo rozejrzałem się za piątym, które miałyby zająć adwokat dziewczyny, kiedy przypomniałem sobie, że spodziewano się go nie w Scotland Yardzie, tylko w Mundesley. Ale dlaczego?

Ruth sięgnęła po popielniczkę i tym razem bez słowa sprzeciwu pozwoliła mi zapalić sobie papierosa. Ten zresztą też był mój, oczywiście. Zaciągnęła się głęboko i przez chwilę widziałem na jej twarzy ulgę, a zaraz potem przeniosła wzrok na patologa.

- Proszę wybaczyć moją nadgorliwość, nie chciałem zabrznieć arogancko, ale nie mogę przestać się zastanawiać, co ma na celu to spotkanie - odezwała się, werbalizując moje myśli.

- W żadnym wypadku, milady - zapewnił Riley - nie ma w tym ani krztyny arogancji, a pani pytanie jest całkowicie uzasadnione. Spotkaliśmy się tu na życzenie nadinspektora Harpera, ale i to życzenie należy uznać za właściwe w zaistniałych okolicznościach.

- Czyli w jakich? - Nie wytrzymałem, choć doskonale znałem nienaganne maniery medyka. - Mówcie wreszcie wprost.

- Cierpliwości, chłopcze - mruknął ojciec.

- Tak, tak, Jonathanie, cierpliwość to największa z cnót - poparł go staruszek. Wsunął okulary z powrotem na nos i sięgnął po kartkę, którą wcześniej czytał, dotykając jej niemal nosem. - To raport z sekcji zwłok Thadeusa Rosewortha - machnął zadrukowanym arkuszem i położył go przede mną - z którego wynika, że przyczyną zgonu nie było zastrzelenie. Analiza krwi wykazała duże stężenie substancji, których być w niej powinno niewiele, a najlepiej wcale.

Ruth przyłgnęła do mojego ramienia i wspólnie czytaliśmy drobny druk naszpikowany łacińskimi terminami. Żadne z nas nie miało z tym problemu, odebrawszy podobne wykształcenie w New College, jednak część nazw brzmiała dla mnie zupełnie obco.

- Czy to oznacza, że został otruty? - zapytałem, doskonale znając odpowiedź.

- Właściwie podejrzewamy, że był truty od dłuższego czasu - wyjaśnił Riley. - I to z użyciem różnych środków. Ostatecznie przyczyną śmierci była - wyciągnął chudy palec wskazujący i postukał w kartkę w miejscu, gdzie widniały słowa *Physostigma venenosum*. Fasola kalabarska, a konkretniej eseryna.

Ruth wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że poczułem chłód na karku, a ona zakrztusiła się dymem. Wyjąłem jej z dłoni tlącego się papierosa i zgasilem go.

- Co to znaczy? - zapytałem. - Dlaczego ma tak wielkie znaczenie?

- Lady Roseworth? - zapytał cicho ojciec.

Odsunąłem się i spojrzałem na Ruth, która wyglądała, jakby sama miała za chwilę oddać ducha.

- Ja... Mój Boże... Ja... - Podniosła na mnie wzrok, w którym czał się strach tak duży, że udzielił się i mnie.

Nagle poczułem ogromną suchość w gardle, a ręce momentalnie mi się spociły. Serce przyspieszyło niemal tak jak wtedy, gdy przeczytałem liścik od Rosewortha.

- Panna Roseworth cierpi na chorobę, którą leczy się fizostygmą - wyjaśnił Riley, ponieważ Ruth nie mogła wydusić z siebie słowa. - Co

ciekawsze, w organizmie pani ojca znaleźliśmy także ślady zażycia atropiny.

- I bardzo chcielibyśmy poznać pani opinię na ten temat - dokończył nadinspektor, a jego ton bynajmniej nie był ciepły.

- Ruth? - szepnąłem oszołomiony do tego stopnia, że zupełnie nie wiedziałem, co mam myśleć. - Ruth, powiedz coś, proszę. Powiedz, że to przypadek, że ta cała eseryna jest popularna jak... jak cholerne dropsy spangles. - Usiłowałem zajrzeć jej w oczy, ale te wypełniały łzy. - Proszę cię, powiedz cokolwiek, cokolwiek, do cholery!

Po białych policzkach potoczyły się wielkie krople, początkowo kryształowo czyste, z czasem coraz mocniej zabarwione czarnym tuszem. Ojciec odchylił się na krześle i zapalił papierosa. Szeptem niemal wyciśniętym z gardła jeszcze raz poprosiłem dziewczynę o wyjaśnienie, jednak ona nie przestawała płakać. W tej chwili tak bardzo przypominała mi Mary, że zapragnąłem ją przytulić, wchłonąć te łzy własną skórą, zabrać jej ból, choć nie miałem pojęcia, skąd się wziął ani co właściwie oznaczał dla tej piekielnej sprawy.

- Lady Roseworth? - Nadinspektor przerwał ciszę, która wydawała się trwać pół wieczności. - Może pani wyjaśnić, w jaki sposób lek zaliczający się do silnych trucizn mógł znaleźć się w organizmie pani ojca? Według doktora Riley'a stężenie eseryny było tak wysokie, że powaliłoby konia, co oznacza, że lord Roseworth prawdopodobnie zażył całą butelkę roztworu.

Mówił spokojnie, niemal hipnotycznie. Było dla mnie oczywiste, że chce uspokoić Ruth.

Trucizna, która zabiła Roseworth'a, musiała pochodzić z leku przyjmowanego przez Ruth. Oczywiście wciąż nie był to żaden dowód, a w procesach o otrucie udowodnienie winy było niezwykle trudne. Każdy, kto wiedział o jego istnieniu i właściwościach specyfiku, mógł zaaplikować go ofierze, a z pewnością w Roseworth Manor lek przyjmowany przez Ruth nie był tajemnicą. Zastanowiła mnie jednak wzmianka, która tak bardzo poruszyła dziewczynę - ślady atropiny

w ciele zmarłego. Na temat tej trucizny wiedziałem znacznie więcej, jak choćby to, że jej nazwa pochodziła od dawnego zastosowania jako trutki na wilki atakujące wioski. Tyle tylko, że nie była to wiedza powszechna, tak jak z całą pewnością powszechna nie była belladonna. Nie można jej kupić w aptece bez wskazań medycznych.

– W jaki sposób atropina reaguje z eseryną? – zapytałem, patrząc na Riley'a.

– Jedna jest odtrutką na drugą.

– Ruth, czy ktoś w twojej rodzinie jest leczony atropiną?

– Moja matka – odparła głucho, patrząc w jakiś punkt.

– A czy ktoś z twojej rodziny ma wiedzę medyczną?

– Moja matka – powtórzyła tym samym tonem.

– Panno Roseworth, od jak dawna wiedziała pani o tym, że pani matka podtruwa ojca?

Pytanie padło tak nagle, że nawet mnie wprawiło w konsternację.

Tymczasem Ruth ani drgnęła. Utkwiła nieruchomy wzrok w ścianie i oddychała ciężko. Czekaliśmy w napięciu, aż dziewczyna udzieli odpowiedzi, ale wyglądało na to, że ten stupor może trochę potrwać. Sięgnąłem po papierosa, odpaliłem go i przytknąłem Ruth do ust. Rozchyliła je mechanicznie, zaciągnęła się dymem. Wciąż milczała. Dopiero gdy wypaliła do końca, przeniosła na mnie wzrok. Nie było w nim śladu niedawnej rozpaczy, jedynie twardość i determinacja.

– Moja matka odebrała najlepsze wykształcenie medyczne – powiedziała, kierując te słowa tylko do mnie. – Przerwała studia w Cambridge, kiedy urodził się Thomas, ale po wybuchu wojny zgłosiła się jako wolontariuszka do pracy w szpitalu. Kochała ratowanie życia, pomaganie ludziom. Wiele razy mi opowiadała, że pewnego dnia wynajdzie lekarstwo na raka. Ale go nie wynalazła, a on ją odnalazł. Rak jelita.

– *Medice, cura te ipsum*³ – zacytował Riley, kiwając głową.

– Nie możecie jej oskarżyć, zostało jej niewiele życia – oznajmiła twardo, odwracając się do mojego ojca. – I należy jej się spokój chociaż teraz.

– Lady Roseworth...

– Nie, panie nadinspektorze! – podniosła głos, zupełnie nieskłonna do jakichkolwiek negocjacji. – Możecie mnie oskarżyć, nie będę oponować. Ale zostawcie w spokoju moją matkę.

– Ruth – szepnąłem z największą łagodnością – nie rób głupstw. Nikt nie zamierza o nic cię oskarżać.

– Moja matka nie zasługuje na śmierć za kratami! Zbyt długo za nimi żyła, nie rozumiesz tego, Jonathanie? Akurat ty spośród wszystkich ludzi powinieneś rozumieć to doskonale. Czy twoja matka przypadkiem od tego nie uciekła? Od życia, które było gorsze niż śmierć?

Mimowolnie spojrzałem na ojca, czując, jak zalewa mnie fala gorąca. Temat rozwodu był w domu Jacka Harpera największym tabu, nie potrafiłem więc przewidzieć, w jaki sposób zareaguje na tak bezceremonialny afront. Ku mojemu zdumieniu nie zareagował wcale.

– Lady Roseworth, Ruth – powiedział za to miękko i niemal z czułością – nie zamierzam aresztować pani matki.

– Nie? – zapytaliśmy równocześnie, tak samo zaskoczeni.

– Nie. Lady Barbara nie zamordowała pani ojca, wiemy to z całkowitą pewnością. Nikt z doskonałym, jak sama pani powiedziała, wykształceniem nie popełniłby takiego głupstwa jak wlanie w kogoś butelki z zabójczym płynem. Pani matka robiła to... sprytnie, jej plan w końcu przyniósłby efekt i prawdopodobnie lord Roseworth odszedłby którejs nocy we śnie. Mylę się, doktorze?

Riley kiwał głową, drapiąc się po łysym ciemieniu.

– Ma pan rację, nadinspektorze, w rzeczy samej.

– Nie sądzę także – podjął mój ojciec – żeby to pani posłużyła się eseryną. A jednak ktoś to zrobił, a później usiłował zamaskować to strzałem z pistoletu. Pytanie zatem brzmi: kto oprócz pani i lady Barbary miał wystarczającą wiedzę, by to uczynić?

- A motyw? - zauważyła przytomnie dziewczyna. - Nie powinniście szukać motywu?

- Jak na razie jedynie pani ma motyw, który da się wskazać. Pani matka niczego nie zyskała, a brat wiele stracił. O wiele bardziej powinno mu zależeć na przekonaniu ojca do zmiany testamentu, a do tego lord Thadeus musiałby żyć.

- Myli się pan, detektywie - zaprotestowała Ruth i znów spojrzała na mnie, ale tym razem zobaczyłem wyraźnie, jak wstępuje w nią nowa energia. - Jonathanie, to nieprawda, że Thomas stracił. Jeśli ja zostanę oskarżona, to on przejmuje wszystko, co zapisał mi ojciec.

Ten wniosek pojawił się w mojej głowie chwilę wcześniej, właściwie skryształizował się jeszcze w drodze do Londynu - tyle że nie Thomasa posądzałem o tak diaboliczną intrygę.

- Ruth, musisz opowiedzieć z detalami, co działo się tuż przed morderstwem - stwierdziłem, chwytając ją delikatnie za dłonie. - Muszę wiedzieć absolutnie wszystko. Włącznie z tym, co kto jadł na śniadanie. Skup się, dziewczyno, to naprawdę ważne.



Rozdział 14

MUNDESLEY-ON-SEA, ROSEWORTH MANOR

CZTERY DNI WCZEŚNIEJ

Thadeus Roseworth od lat cierpiał na bezsenność, a w ostatnim czasie stan jego zdrowia pogorszył się tak dalece, że wizyty doktora Greystocka stały się niemal codziennością. Lekarz zaglądał do Roseworth Manor przed świtem, zanim w jego gabinecie pojawi się kolejka chorych. Także w niedzielę, dzień zwykle wolny od pracy, zjawił się kilka minut po piątej, korzystając z klucza, który kilka tygodni wcześniej otrzymał od lorda. Wolał nie dzwonić, żeby nie postawić na nogi całego domu tym straszliwym dźwiękiem, jaki wydawał dzwonek do drzwi w rezydencji Roseworthów.

O tak wczesnej porze posiadłość pogrążona była w ciszy, nawet służba nie wstawiała przed szóstą, nikt więc nie przywitał medyka, który skierował się prosto do sypialni pana domu, znajdującej się na końcu korytarza na pierwszym piętrze. Pokonawszy niemal trzydzieści stopni schodów, należało skrócić w prawo i iść aż do końca.

Jak zawsze drzwi do sypialni były zamknięte na klucz, lecz i kopią tegoż doktor Greystock dysponował dzięki zapobiegliwości pacjenta. Lord Roseworth, poza oczywistymi problemami wynikającymi z zaawansowanego wieku oraz toczącymi go chorobami, cierpiał również na łagodną odmianę paranoi, którą lekarz zrzucał na karb arystokratycznych dziwactw. Ludzie z wielkimi majątkami w pewnym momencie tak bardzo uzależniali się od ich gromadzenia, że wszędzie dostrzegali zagrożenia. Z Roseworthem nie było inaczej: mniej więcej dwa lata wcześniej zaczął miewać ataki paniki, a jego zachowanie tak

dalece zaniepokoiło krewnych, że wizyty Greystocka stały się nieodzowną częścią każdego dnia. Mimo niezliczonych prób ustalenia powodów lęków Thadeus nigdy nie zdradził lekarzowi, jakież to demony go nawiedzają, dopiął jednak swego i we wszystkich możliwych drzwiach zamontowano zamki oraz zabezpieczenia przed niepożądanymi oczami oraz rękami każdego mebla, który dało się zamknąć.

Doktor spędził w sypialni Rosewortha dokładnie dwadzieścia siedem minut – nie mniej i nie więcej niż zwykle. Standardowa procedura obejmowała pomiar ciśnienia, cukru na czczo, obdukcję fizyczną i podstawowe badania neurologiczne. Od kilku tygodni Thadeus skarżył się na mdłości, bóle głowy i problemy gastryczne mimo wdrożenia ścisłej diety zaleconej przez lekarza. Greystock podejrzewał chorobę wrzodową, jednak lord uparcie odmawiał wizyty w klinice i poddania się bardziej kompleksowym badaniom; twierdził, że szkoda na niego czasu lekarzy i pieniędzy z kasy państwa, skoro już był bliżej mety niż dalej.

Ruth, której sypialnia sąsiadowała z pokojem ojca, tego dnia także wstała wyjątkowo wcześnie, musiała bowiem pojechać do Londynu. Choć o wiele wygodniej byłoby nocować w domu w Mayfair, to dziewczyna trzymała pieczę nad przygotowaniami do urodzin ojca, w związku z czym nocowała w Mundesley – ku zadowoleniu solenizanta. Ojciec w jej towarzystwie zachowywał się o wiele bardziej cywilizowanie i nawet kłótnie z Thomasem ustały, jakby obecność Ruth spowodowała zakopanie topora wojennego. Oczywiście były jeszcze Mona i jej przyjaciółka Adalind, które za nic miały oceniające spojrzenia domowników, gdy na noc znikwały w jednym pokoju. Ruth zupełnie nie interesowała się sprawami sercowymi – czy też łóżkowymi – przyrodniej siostry; dzieliło je zbyt wiele, by mogły zbudować silną siostrzaną więź, jednak lubiła Monę, a ten typowo amerykański, niefrasobliwy sposób bycia nawet jej imponował. Była pewna, że gdyby to ona przyprowadziła do domu kobietę i oświadczyła,

że będą „dzielić łożę”, ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Tymczasem z Moną było inaczej; Thadeus uwielbiał swoją pierworodną, lecz traktował ją raczej jak miłą przyjaciółkę. Nie wtrącał się, nie naciskał, nie krytykował – pozwalał jej żyć własnym życiem i popełniać błędy. Jakby czuł, że jest jej to winien po niemal czterdziestu latach nieobecności. Niekiedy Ruth zazdrościła Monie tego, że nikt nie próbuje układać jej spraw, a równocześnie była pewna, że siostra zazdrościła dorastania w pełnej rodzinie, w dostatku i uprzywilejowaniu, o jakich ona jedynie mogła marzyć. Choć wcale nie musiała. Kto powiedział, że życie arystokratki jest lepsze od tego, jakie wiodły Mona i jej matka?

W pograżonym we śnie Roseworth Manor panowała cisza, dzięki czemu przez ścianę dzielącą jej sypialnię od pokoju ojca Ruth usłyszała rozmowę – początkowo niewyraźnie, widocznie panowie mówili cicho i spokojnie, a czasami zadźwięczało szkło i coś brzęknęło. Później głosy stały się mocniejsze i dało się rozróżnić słowa.

– Ile razy mam powtarzać, że nie pojedę do żadnej kliniki, doktorze? Zamierzam umrzeć we własnym domu.

– Nikt nie mówi jeszcze o śmierci, lordzie, w panu jest wciąż mnóstwo życia – oponował lekarz nieco płacziwym tonem.

– Przeznaczenia nie zmienimy, a ja i tak dostałem aż nadto. Proszę jedynie przepisać mi coś na te okropne mdłości, z resztą sobie poradzę.

– Jest pan pewien, że nie zamierza tego zgłaszać?

– Dajże już spokój, Greystock, niczego nigdzie nie będę zgłaszać – gderał ojciec, wyraźnie poirytowany. – Do nikogo nie mam pretensji i nie będę rozgrzebywać spraw, wszystko jest w porządku. Mam, na co zasłużyłem, a moje życie było lepsze niż to, o którym śmiałem marzyć. I żeby ci do głowy nie przyszło naruszyć tajemnicę lekarską!

Dyskutowali jeszcze przez chwilę, po czym doktor Greystock pożegnał pacjenta. Ruth usłyszała energiczne kroki zbliżające się i oddalające od jej drzwi, a później wszystko umilkło. Umyła się, włożyła przygotowane ubranie i postanowiła zajrzeć do ojca.

- Wszystko w porządku, papo?

- Ach, Ruth, wejdź, proszę. - Roseworth siedział w łóżku owinięty szlafrokiem i obłożony papierami. - Greystock znów marudził, że powinienem zrobić badania w jego klinice, a wiesz, co ja myślę o szpitalach.

- „Kto tam idzie, już nie wraca o własnych siłach” - zacytowała Ruth z westchnieniem. - Tak, wiem, ale może powinienes jednak to przemyśleć, stary uparciuchu.

Usiadła na brzegu łóżka i cmoknęła ojca w policzek. Rzeczywiście był blady, a może nawet sinoblady; z pewnością nie wyglądał zdrowo. Jego orli nos stał się jeszcze bardziej wydatny, kiedy twarz wychudła.

- Bzdura, wystarczy, że codziennie dają się kłuć temu szarlatanowi - prychnął z rozbawieniem Thadeus, nie odrywając wzroku od arkusza, który trzymał na kolanach. - Jutro nie przyjdzie, oświadczyłem mu, że dziś wieczór zamierzam świętować.

- Cieszy mnie to, papo, jestem pewna, że to będzie niezapomniany wieczór. Zasłużyłeś na prawdziwy bal.

Roseworth odłożył kartkę na bok i oparł się o ścianę. Wyciągnął wychudzoną dłoń, którą Ruth natychmiast objęła i podniosła do ust. Thadeus patrzył na córkę z miłością i smutkiem. Rzadko i tylko gdy byli sami, pozwalał sobie na taką czułość.

- Dobrze z ciebie dziecko, Ruth, lepsze, niż na to zasłużyłem - powiedział łagodnie, a jego głos zdrzął ze wzruszenia. - Powinienem częściej ci to mówić.

- Ciii, tatku, daj spokój. Niczego nie musisz mi mówić.

Kiedy patrzyła na starego, schorowanego człowieka, serce jej pękało. Nie potrafiła zrozumieć, jak jedna osoba może mieć tak wiele różnych twarzy, jak w jednej chwili może być czułym ojcem, a w następnej nieludzkim tyranem, traktującym ludzi jak robaki.

- Chciałbym, żebyś nigdy nie zapomniała, jak bardzo cię kochałem - wyszeptał starzec, a wielka łza stoczyła się po jego policzku, zostawiając

po sobie słony szlak. – I choć są rzeczy, których żałuję, wszystko zrobiłem dla ciebie; dla ciebie, Mony, Thomasa... i całej reszty.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę – Ruth głaskała wysuszoną dłoń ojca, on patrzył na nią z czułością i bólem. W końcu Thadeus drgnął, zamrugał kilka razy, odpędzając niechciane łyzy, odchrząknął i poprosił:

– Mogłabyś wezwać Bernarda, żeby napalił w kominku?

– A nie jest zbyt ciepło na kominek? – zdziwiła się.

– Muszę zrobić porządki w papierach – odparł i spojrzął na walające się wokół niego dokumenty.

Ruth podążyła za jego wzrokiem, zmarszczyła czoło, wzruszyła ramionami i podniosła się z łóżka.

– Nie ma sprawy, sama się tym zajmę – rzuciła i zbliżyła się do kominka. Obok niego stał kosz z polanami ułożonymi w zgrabną piramidkę, zapalki leżały na obmurówce. – Nie patrz tak na mnie, jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty, kobiety też potrafią palić w kominku, papo. Jeździmy samochodami, głosujemy, pracujemy w męskich zawodach i bywamy w nich lepsze niż panowie. – Odwróciła się do ojca, który patrzył na nią z mieszaniną dumy i zaciekawienia. – Niedawno spotkałam Bernarda Bradena z *BBC Light Programme*. Żebyś słyszał, jak wspaniale wypowiadał się o Marjorie Anderson i jej *Godzinie kobiet*, która świetnie sobie radzi na antenie radia. Zaproponował mi nawet wystąpienie w ich audycji.

– Wystarczy mi jedna córka artystka – zaśmiał się Roseworth, biorąc wypowiedź Ruth za żart, jednak jej surowa mina zbiła go z pantałyku. – Czyżbyś ty też chciała występować na West Endzie?

– Absolutnie nie, tatku! – wykrzyknęła dziewczyna, udając przerażenie, po czym roześmiała się wesoło. – Zdecydowanie wolę prowadzić wywiady z aktorami i pisać o premierach w gazecie. Chodzi mi jedynie o to, że czasy się zmieniały, ludzie też i trzeba poszerzyć swoje horyzonty. Może lekarze już nie tylko zabijają i warto jednak pójść do tej kliniki?

Roseworth nagle posmutniał, a Ruth domyślała się powodu zmiany jego nastroju. Kariera medyczna matki, zarzucona na wyraźny rozkaz Thadeusa, od lat stanowiła kość niezgody w rodzinie. I choć żadne z dzieci lordostwa (może z wyjątkiem Claire, której niekiedy brakowało hamulców w wypowiedziach) nigdy nie odważyło się podjąć tego tematu, Ruth doskonale wiedziała, że Barbara głęboko nienawidziła męża za pogrzebanie jej marzeń.

- No i spójrz, jak pięknie się pali - rzuciła radośnie dziewczyna, odegnavszy od siebie złe myśli. - Współczesne kobiety są zarówno zaradne, jak i zadbane, zapamiętaj to sobie, ojczu. Wszystko możemy, niewiele musimy. Ale pracować musimy, dlatego biegnę na śniadanie i pędzę do Londynu, żeby wrócić na czas. Bądź grzeczny!

Ucałowała ojca w czoło i wyfrunęła z sypialni, zostawiając po sobie delikatny piżmowy zapach perfum. Kiedy zamknęła drzwi, oparła się o nie cicho i wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie miała już wątpliwości, że jej podejrzenia miały sens. Ojciec umierał, a na domiar złego był tego świadom. I choć próbował ukryć przed jej wzrokiem strony dziennika, spostrzegawczość i instynkt reporterki jej nie zawiodły. Chwała Bogu, że za chwilę to wszystko zniknie w płomieniach.

Wyprostowała się, poprawiła niesforne kosmyki, po czym ruszyła ku schodom. Nie troskając się, że kogokolwiek obudzi, pobiegła na dół i puściła oko do Bernarda, który już kręcił się między holem a jadalnią.

- Dzień dobry, panno Ruth. Śniadanie czeka. Martha zaparzyła pani ulubioną herbatę jaśminową.

- Dziękuję, mój drogi, dziś tylko dwa jajka i szklanka soku. Nie chcę się zatrzymywać po drodze do Londynu. - Uśmiechnęła się łobuzersko na widok zażenowania lokaja. - Ktoś już wstał?

- Panna Claire i panicz George - poinformował sztywno, co oznaczało, że bliźnięta już zdążyły go zdenerwować.

- Oho, wyczuwam chwilowy brak miłości - zażartowała Ruth.

Ruszyła do jadalni ciekawa, czym tym razem bliźnięta zaszły za skórę Bernardowi. Odkąd potrafiły chodzić i mówić, ciągle mu dokuczały i psociły, wykorzystując fakt, że biedak był wobec nich bezsilny.

Liczącą razem dwadzieścia osiem lat młodzież siedziała na najbardziej oddalonych od wejścia krzesłach po przeciwnych stronach stołu. Ruth postanowiła usiąść u szczytu, pomiędzy nimi, co stało się ich odwiecznym rytuałem, kiedy jadali wspólnie. Było także doskonale przemyślaną strategią zapewniającą bliźniętom brak nadzoru surowego ojca, który nie znosił siedzieć obok czyjegoś łokcia, więc siłą rzeczy zajmował miejsce na przeciwnym końcu stołu. Matka nigdy nie siadała obok męża, zwykle wybierając krzesło obok któregoś z bliźniąt, a Thomas zasiadał jak najbliżej ojca. Tym sposobem niebezpieczeństwo narażenia się na krytykę ojcowską bądź braterską za kruszenie, rozlewanie soku albo zbyt głośne mlaskanie było idealnie minimalizowane.

Ruth cmoknęła każde z rodzeństwa w czoło i usiadła, szurając krzesłem, na co pozwalała sobie wyłącznie pod nieobecność rodziców. Szczególnie matka, dama wychowana przez najlepsze guwernantki w Królestwie, nie znosiła, gdy jej dzieci zachowywały się grubiańsko.

– Jak żyjecie, smarkacze? – rzuciła z szerokim uśmiechem, sięgając po chrupiącą bułeczkę.

– Jak dotąd całkiem nieźle – odparł George.

– Nie możemy narzekać, lady Roseworth. – Claire sparodiowała niski głos Thomasa i zachichotała. – A wasza mość dobrze spała?

– Ach, doskonale, milady, jak suseł po butelce wybornej sherry!

George przewrócił oczami, wyraźnie potępiając dziecinne zachowanie siostr, jednak im zupełnie to nie przeszkadzało. Chichrały się w najlepsze, kiedy do jadalni weszła Martha, pokojówka, niosąc jajka dla Ruth.

– Musisz jechać do Londynu? – zapytała Claire i wygięła usta w podkówkę.

– Niestety muszę, kochanie, zamykamy jutrzejsze wydanie gazety.

– Przecież wcale nie musisz pracować! – dąsała się nastolatka. – Jesteś lady Roseworth, po śmierci papy będziesz baaajecznie bogata!

– Claire! – George spojrział na siostrę ze zgrozą. – Co ty wygadujesz? Jak możesz, przecież ktoś może usłyszeć!

Mówiąc to, patrzył na Marthę, która wydawała się nie zwracać uwagi na toczącą się rozmowę i bez mrugnięcia okiem ustawiała jajka w kieliszkach.

– I co z tego? – zachnęła się jego bliźniaczka. – Przecież papa jest stary, to chyba oczywiste, że niedługo umrze.

– George ma rację, skarbie, nie wolno tak mówić – stwierdziła Ruth łagodnie. – Tacie mogłoby zrobić się przykro, gdyby to usłyszał. A poza tym ja wcale nie czekam na jego pieniądze, jestem samodzielną.

– Tak samo jak Thomas – parsknął chłopak. – Mieszkasz w jego domu, jesz jego jedzenie i jeździsz samochodem, który on dla ciebie kupił. Jesteś tak samo samodzielną jak babcia albo mama.

– Dlaczego musisz być tak złośliwy, George? – Ruth wydawała się urażona i z trudem tłumiała gniew. – Co w tym złego, że dzieci korzystają z majątku rodziców? Ty także!

– Już niedługo – uciął chłopak. – W odróżnieniu od ciebie i Thomasa nie będę miał wielkiego majątku po tatusiu, więc muszę sam zadbać o swoją przyszłość. Ale nie martw się, siostrzyczko, wszystko już zaplanowałem.

– Ach tak? Szalenie jestem ciekawa twoich planów – rzuciła jadownicę, odkrawając czubek jajka.

– E tam, nie ma w nich nic ciekawego – odparła Claire. – George chce zostać inżynierem i budować samochody wyścigowe. Nudy na pudy!

– Bogowie, miejcie w opiece to stworzenie o maleńkim rozumku – westchnął jej brat. – Przypomnę ci tylko, że nie ma takiego zawodu, który ciebie by interesował, więc będziesz musiała znaleźć sobie

bogatego męża albo do końca życia podlizywać się Ruth, tak samo jak cioteczka Agatha.

– Jesteś okropny, George'u Rosewornie! – odrzekła z udawanym oburzeniem jego bliźniaczka.

Claire była jedyną osobą, która potrafiła znosić złośliwości brata i całkowicie ignorować jego zmienne nastroje, tak typowe dla osób obdarzonych nieprzeciętną inteligencją. George od najmłodszych lat wykazywał się matematycznym geniuszem, więc kariera w inżynierii wcale nie brzmiała jak fantasmagoria.

– A jakie ty masz aktualnie plany, smarkulo? – zapytała Ruth ze szczerą ciekawością.

Plany życiowe Claire zmieniały się bowiem tak często jak jej ulubione piosenki w radiu, jeszcze do niedawna marzyła o karierze estradowej, jednak po kilku tygodniach lekcji śpiewu uznała, że to zupełnie nie dla niej. To samo zresztą stwierdził jej tutor.

– Zamierzam zostać kryminologiem.

– O! – Ruth z wrażenia oblała się sokiem, a właściwie wyleciał jej z półotwartych ust. – Tego jeszcze nie było!

– Ty mówisz serio? – George odłożył sztućce i spojrzał na siostrę z powagą. – Claire, to nie jest zawód dla dziewczyny.

– Bo co? Bo niby jesteśmy od was głupsze? To chcesz powiedzieć? – Bliźniaczka zwinęła dłonie w pięści i stuknęła nimi o stół. – Nie zachowuj się jak papa albo Thomas. Myślałam, że akurat ty jesteś inny!

– Jeśli uważasz, że jestem jak oni, to naprawdę jesteś głupia – wyszczał chłopak.

– A ty jesteś... jesteś... zwykłym facetem!

– Uspokójcie się natychmiast! – Ruth podniosła głos, co zdarzało jej się niezwykle rzadko, zwłaszcza wobec bliźniąt. – Claire, z jakiego powodu wybrałaś tak... niestandardową gałąź nauki?

– Czy to nie jest oczywiste? – Dziewczynka zamrugnęła teatralnie, udając zdumienie. – Lubię wiedzieć różne rzeczy. Słyszę różne rzeczy,

widzę różne rzeczy. Jestem spostrzegawcza i dociekliwa.

- I dlatego chcesz zajmować się zbrodnią? - Ruth uniosła kącik ust i mrugnęła do George'a, który właśnie łapał się za czoło.

- Lubię kryminały. Lubię zbierać ślady i wysnuwać wnioski. Lubię słuchać ludzi, a oni lubią do mnie mówić. Często nawet nie wiedzą, że mówią więcej, niżby chcieli. Będzie ze mnie znakomity detektyw.

George przyglądał się siostrze z tajemniczym uśmiechem, jednak nie skomentował. Zamiast tego sięgnął po leżącą obok niego gazetę i zaczął ją przeglądać.

- To niegrzeczne, Georgie - zmitygowała go Ruth. - Należy się dzielić z rodzeństwem.

Chłopak prychnął, odsunął talerz i położył dziennik pomiędzy sobą i siostrą. Claire nie była zainteresowana lekturą, w sypialni czekał na nią wciąż nieprzeczytany egzemplarz „Melody Maker”, w którym ogłoszono konkurs z biletami na trasę koncertową Paula Anki. Jeśli wygra wejściówki, papa z pewnością nie zabroni jej pójść na Wembley!

- Niemcy odmówili Amerykanom wydania archiwów Hitlera - mruknął George, przebiegając wzrokiem nagłówki. - Rząd Macmillana nie ma szans w październikowych wyborach. Prezydent Eisenhower i Chruszczow nie doszli do kompromisu w kwestii niemieckiej. Raczej nie będzie też przyjaźni z Kubą.

- Boże, jakie to nudne! - Claire udawała, że ziewa. - Tylko wojny, polityka, knucie, układy, zamachy. I wszędzie ci komuniści!

- Ciesz się, że urodziłaś się już po wojnie - upomniała ją Ruth. - Żyjesz w spokojnych czasach, konflikty znasz tylko z gazet i telewizji. Całe szczęście, że Churchill nie ma takiej władzy jak Eisenhower, choć i tak wiele już narozrabiał.

- Aktualnie musi się mierzyć z brakiem ropy z Persji - dodał George, przewracając stronę gazety.

- Mógł nie atakować Egiptu - skwitowała Ruth. - O, spójrz, Claire, to mogłoby cię zainteresować. - Odchrząknęła i zaczęła czytać na głos: - „Dwudziestego lipca w miejscowości Sheffield dwudziestodwuletnia

Elizabeth Barlow została znaleziona martwa w wannie w swoim mieszkaniu, które dzieliła z mężem, trzydziestoletnim pielęgniarzem Kennethem. Kobieta była w ósmym tygodniu ciąży. Koroner podejrzewa, że śmierć przez utonięcie nastąpiła wskutek utraty przytomności, której przyczyny nie udało się jeszcze ustalić. Podczas autopsji nie wykryto żadnej trucizny. Jedynym, co zaniepokoiło śledczych, były rozszerzone źrenice i słodki zapach, którym przesiąknięta była piżama denatki. Kenneth Barlow został aresztowany pod zarzutem zamordowania małżonki, kiedy na jaw wyszedł jego wieloletni romans z trzydziestoletnią Jenny Ortman, z którą Barlow ma już dwoje dzieci. Proces zaplanowano na koniec sierpnia”. – Ruth odsunęła się od stołu, chwyciła brodę w dwa palce i spytała, modulując głos: – Co pani na to, pani detektyw?

Dziewczynka zmarszczyła nos, odchyliła się na oparcie i zaczęła myśleć. W końcu stwierdziła:

– Zbyt mało danych, milady, musiałabym zbadać ciało. Jeśli pani Barlow została otruta, bez wątpienia jakiś ślad musiał zostać.

– Przecież nie znaleźli trucizny – zauważył George.

– Z całą pewnością muszą istnieć środki, których nie da się wykryć – upierała się Claire. – Zapytam mamę, ona będzie wiedziała. Mama wie wszystko o truciznach, tak samo jak lady Mallowan.

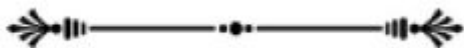
Ruth zerknęła na zegarek i wpadła w popłoch. Zaraz powinna ruszać. Dokończyła śniadanie i pobiegła do sypialni, gdzie zostawiła torebkę. Kiedy zbiegła z powrotem na parter, zauważyła Bernarda zmierzającego do gabinetu.

– Papa już na nogach? – spytała, układając włosy pod toczkiem.

– Tak, milady, poprosił o kawę. Zdaje się, że telefonuje.

– Ach, doskonale. Ucałuj go ode mnie i przekaz, że będę z powrotem jak najszybciej!

To powiedziawszy, wybiegła z domu, wsiadła do samochodu czekającego na nią na podjeździe i odjechała, zostawiając za sobą tumany kurzu.



Rozdział 15

LONDYN, SCOTLAND YARD/AGENCJA HARPERA

- Resztę już znasz - zakończyła opowieść Ruth, równocześnie dopalając trzeciego z rzędu papierosa.

W niewielkim gabinecie stężenie nikotyny zdecydowanie przekroczyło wszelkie normy.

- Wróciłam przed dziewiętnastą, zaniiosłam ciasto do kuchni, przebrałam się, a później odkryłam ciało papy przy biurku w gabinecie zamkniętym od wewnątrz - dodała.

- Co znajdowało się w dokumentach, które lord Roseworth spalił w kominku? - zapytałam, zatrzymując wzrok na ustach dziewczyny. Były spierzchnięte i lekkim drżeniem zdradzały zdenerwowanie Ruth.

- Nie wiem...

- Powiedziałaś, że widziałaś treść któregoś z nich - przerwałam jej obcesowo. - Co takiego w nich było, że Thadeus Roseworth postanowił je spalić, przewidując zbliżającą się śmierć?

Ruth skrzywiła się, słysząc mój ton. A może to wypowiedzenie na głos tego, czego ona nie chciała do siebie dopuścić, sprawiło, że w jej oczach znów pojawiły się łzy.

- Widziałam jedynie kartkę z pamiętnika, który ojciec miał zwyczaj prowadzić od lat - mówiła cichym, zachrypniętym głosem. - Zauważyłam nazwę leku przyjmowanego przez mamę. Była podkreślona i otoczona pętlą. Od razu zrozumiałam, że ojciec się zorientował, co powoduje jego pogarszające się samopoczucie. Wtedy też słowa zasłyszane wcześniej przez ścianę nabrały sensu.

- Dlaczego postanowił je spalić? - Sięgnąłem po papierosa, ale po namyśle zrezygnowałem. - Skoro prowadził je od lat, musiało tam być mnóstwo stron. Pisał na luźnych kartkach?

Ruth zawahała się przed udzieleniem kolejnej odpowiedzi, jakby nagle coś jej się przypomniało lub skojarzyło.

- Nie, to nie były luźne kartki. Te leżące na łóżku, owszem, ale część z nich miała nierówne brzegi, jakby niedokładnie użyto perforacji.

- Czyli wcześniej były częścią jakiegoś brulionu, tak? - doprecyzował nadinspektor.

- Tak, z całą pewnością. Ojciec miał słabość do jednego rodzaju notatników, sprowadzał je z Włoch, zawsze jednakowy model w czarnej, płóciennej oprawie. Podobno wcześniej z takich samych korzystał van Gogh.

- Pani ojciec, van Gogh, mój syn, Hemingway i Picasso - stwierdził kwaśno nadinspektor. - Moleskine - mruknął i spojrzał na mnie niemal oskarżycielsko.

Spozycujący w kieszeni marynarki włoski notatnik ulubionej marki mojej matki nagle zaczął mnie uwierać.

- Jeśli spalił tylko pojedyncze strony, to znaczy, że reszta wciąż istnieje - chwyciłem się brzytwy, jeszcze nie wiedząc, co właściwie chciałem osiągnąć.

- Prawdopodobnie... - Ruth też musiała się zastanawiać nad tym, dokąd zmierzam.

- Niczego takiego nie znaleźliśmy w gabinecie - zastrzegł mój ojciec.

- Ale też nie szukaliście - zauważyłem. - Sądzę, że warto znaleźć te pamiętniki, skoro lord Roseworth prowadził je od dawna.

- Jeszcze jedna rzecz, Jonathanie - odezwała się dziewczyna.

- Och, naprawdę tylko jedna? - pozwoliłem sobie na złośliwość, jednak szybko tego pożałowałem.

- Jestem niemal pewna, że na którejś z kartek zobaczyłam imię Mary - powiedziała, ignorując moją kpinę. - Nie była to kartka z notesu,

raczej papier listowy. Być może chodziło o inną Mary – dodała szybko, jakby dopiero wypowiedziawszy to zdanie na głos, uświadomiła sobie, jak dramatycznie zabrzmiało.

– Być może – stwierdziłem cierpko – jednak dodając do tego pozostawioną dla mnie wiadomość, zdaje się, że ograniczamy liczbę prawdopodobnych Mary do jednej. Ruth, spójrz na mnie – poprosiłem z naciskiem. – Nie musisz taić związków mojej żony z twoją rodziną, one przecież nigdy nie były dla mnie tajemnicą. Thomas powiedział mi o tym, że Mary bywała częstym gościem w Roseworth Manor...

– Co takiego? – Dziewczyna wyglądała na zszokowaną. – To nieprawda! Wiedziałabym o tym!

– Twój brat twierdzi, że wiedziałś.

– Bzdura! Zaprosiłam Mary raz czy dwa, kiedy ty byłeś zajęty sprawami agencji, bo nie chciałam, żeby tkwiła samotnie w weekendy w Londynie. Ale przecież to było dawno temu, na początku waszego małżeństwa.

– Jesteś pewna?

W głowie szumiało mi od natrętnych myśli. Nie chciałem, nie mogłem wyobrazić sobie, że Mary mogła mieć jakiś inny powód do odwiedzania Mundesley niż spędzenie czasu z przyjaciółką. Strzępki rozmowy prowadzonej przy obiedzie nagle wybrzmiały w moich uszach, miałem wrażenie, jakbym znów uczestniczył w tej groteskowej wojnie na słowa. Nie, to niemożliwe... Nie Mary.

Z trudem zapanowałem nad emocjami; widziałem także, że ojciec intensywnie nad czymś się zastanawia, po wymianie dziwnego spojrzenia z doktorem Rileyem. Opuszki palców zaczęły mnie mrowić, a nogi drętwieć – jak zawsze kiedy czułem wzmożone napięcie. Moje ciało szybciej niż umysł szykowało się na kolejną niespodziankę.

– Co teraz będzie się ze mną działo? – zapytała Ruth, popatrując to na mojego ojca, to na patologa.

– Zawieziemy panią do Mundesley – odpowiedział nadinspektor po krótkim zastanowieniu. – Prawnik będzie tam na nas czekał, musimy

jeszcze raz wszystkich przesłuchać, tym razem w jego obecności.

- Zamierzacie przeszukać dom - domyśliła się.

Nie bez kozery uchodziła za jedną z najinteligentniejszych dziennikarek w Londynie. Wiedziałem, że kilka razy proponowano jej zajęcie się reporterstwem śledczym, jednak ona konsekwentnie odmawiała, tłumacząc swoją decyzję niechęcią do „babrania się w krwi i brudach”. Mimo to zawsze uważałem, że mogłaby zrobić wielką karierę detektywistyczną. Podobnie jak Mary, która w odróżnieniu od Ruth nie bała się odwiedzać miejsc zbrodni i fascynowały ją zawile śledztwa.

- Owszem, lady Roseworth, w świetle ujawnionych przez panią faktów wydaje się to nieuniknione. Tym razem nie ograniczymy się do gabinetu pani ojca i niczego nie pominiemy. - Ojciec zerknął na mnie wymownie, dając mi do zrozumienia, że jeśli mnie również przyszedł do głowy ten pomysł, to muszę ustawić się w kolejce.

Oczywiście, że przyszedł, jednak w odróżnieniu od policji ja już wiedziałem, czego szukać. I miałem nawet pomysł, jak to znaleźć. Klucz, wciąż spoczywający w kieszeni marynarki, mógł okazać się bardzo przydatny.

Skinąłem ojcu głową, wciąż pewien, że nie wszystko zostało powiedziane. Ledwo wyczuwalne napięcie nie opadło, jakby zawisło między detektywem i medykiem, którzy nie mogli się zdecydować, czy nadeszła właściwa chwila do wypowiedzenia słów, które i tak musiały paść.

Wiedziony intuicją ponownie spojrzałem na raport sporządzony przez Rileya i uważnie przestudiowałem wszystkie wnioski. Kiedy trafiłem na zaskakującą obserwację patologa, raptownie podniosłem wzrok i napotkałem wyczekujące spojrzenie medyka. Niemal niezauważalnie kiwnął głową, jakby wiedział, co tak bardzo mnie zaskoczyło.

- Ruth? - odezwałem się, przelknąwszy z trudem, bo gardło zaciskało mi się jak imadło. - Mogłabyś powtórzyć treść artykułu, który

przeczytałaś Claire?

- Co? - Nie rozumiała. - Dotyczącego morderstwa tej młodej dziewczyny?

- Tak, dokładnie tego. Nie było tam mowy o słodkim zapachu na ciele?

- Chyba była - odrzekła odrobinę niepewnie. Marszczyła nos, jak zawsze gdy się nad czymś zastanawiała. - Tak, jestem pewna, że tak właśnie brzmiało zdanie: „Jedynym, co zaniepokoiło śledczych, był słodki zapach i...”

- I rozszerzone źrenice - dokończył za nią Riley.

- Ale jaki to ma związek z... z czymkolwiek?

- Dokładnie taki, że ciało twojego ojca też wydzielало słodki zapach - powiedziałem, podsuwając jej kartkę.

Ruth spojrzała z mieszaniną niedowierzania i paniki na żółty papier. Powiodła wzrokiem za moim palcem, który trzymałem dokładnie w miejscu, gdzie Riley zanotował prawdopodobną przyczynę zaobserwowanego zjawiska.

- Insulina? - wyszeptala. - Przecież mój papa nie był cukrzykiem.

- I właśnie dlatego uważamy, że insulina spowodowała u niego coś na kształt zapaści - powiedział łagodnie mój ojciec. - Pani bratowa jest diabetyczką, tak przynajmniej wynika z jej kartoteki prowadzonej przez doktora Greystocka.

- Amelia... - Ruth pobladła tak bardzo, że odruchowo objąłem ją ramieniem, gdyby miała zemdleć. - Amelia by tego nie zrobiła. Po co? Dlaczego? To niemożliwe... Ja...

Zabrakło jej tchu i mój ojciec natychmiast podniósł się z krzesła i nalał wody do szklanki, którą następnie podsunął dziewczynie pod białe jak płótno usta.

- Niech się pani napije i oddycha głęboko - poradził Riley z troską.

- Trzymacie jeszcze jakieś ciekawostki w zanadrzu? - wycedziłem jadownicę, patrząc ojcu prosto w oczy. - Może od razu ustalmy listę

chorób mieszkańców Roseworth Manor i leków, jakie przyjmują, żeby uniknąć kolejnych zaskoczeń. Może Thomas spożywa arsenik, żeby się wzmocnić? A lady Radcliffe jest uzależniona od morfiny? No i nie zapominajmy o Amerykankach, one z pewnością też coś biorą, sprawdziliście? Czy może dopiero na miejscu zamierzacie wytoczyć kolejne armaty?

Nadinspektor nie wyglądał na poruszonego moim wybuchem, przeciwnie: zachowywał się jak zawsze, gdy chciał mi pokazać, jak niemądrze postępuję.

- Panno Roseworth, jest pani pewna, że nikt z pozostałych domowników nie słyszał rozmowy, którą nam pani przytoczyła?

- W jadalni była jedynie Martha, Bernard kręcił się po holu i salonie, reszta spała.

- A czy jest możliwe, żeby ktoś zszedł na dół i zachowywał się tak cicho, że nie zauważyła pani jego obecności?

- To... to oczywiście jest możliwe, chociaż schody trochę trzeszczą. Dlaczego pan pyta?

- Co pani myśli o tym, że ktoś mógł usłyszeć, jak pani czyta ten artykuł, i wpaść na pomysł dokonania „morderstwa doskonałego”?

- Nie sądzi pan, nadinspektorze, że właściwe zinterpretowanie tego artykułu wymagałoby zaawansowanej wiedzy medycznej? - odbiła piłeczkę niemal ze złością. - Ani ja, ani bliźnięta nie mieliśmy pojęcia, że insulina może zostawić jakikolwiek zapach. Ani o tym, że nie da się jej wykryć w ciele. Bo tak właśnie jest, prawda? - To pytanie skierowała do Riley'a, patrząc na niego niemal błagalnie.

- Zgadza się, lady Roseworth, insulina ulega całkowitemu rozkładowi w ciągu maksymalnie trzech godzin - potwierdził medyk. - Jeśli więc iniekcję wykonano odpowiednio wcześniej, a podejrzewam, że właśnie tak było, to w chwili gdy ciało lorda Roseworth'a trafiło na stół, nie było już po niej śladu. Poza, rzecz jasna, rozszerzonymi źrenicami i słodkawym zapachem wyczuwalnym w zgięciach łokci i w pachwinach.

Ruth, o ile w ogóle było to możliwe, wyglądała na jeszcze bardziej wstrząśniętą. Jej szczupłe ramiona drżały, broda się trzęsła, a białka oczu zaczerwieniły się niemal jak u królików hodowlanych. Jeszcze bardziej niż wcześniej chciałem ją przytulić, przycisnąć do siebie, żeby uspokoić, lecz instynkt kazał mi przeczekać. Nikt o zdrowych zmysłach nie byłby w stanie przyjąć tylu ciosów bez jakiegokolwiek skutku. Musiałem dać Ruth czas na ochłonięcie.

Odsunąłem się od biurka i wstałem z krzesła. Spodnie zdążyły już przykleić się do moich ud, jednak ani trochę nie dbałem o wygląd; w tej chwili co innego zaprzętało moje myśli. Wypiłem duszkiem szklankę wody i ostrożnie nacisnąłem klamkę w drzwiach gabinetu.

- Muszę pilnie zatelefonować - oznajmiłem, nawet się nie obracając. - Spotkajmy się przy wyjściu, zdaje się, że na razie skończyliśmy.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłem prosto do pomieszczenia, w którym pracował mój dawny przyjaciel. Musiałem pilnie wykonać połączenie międzynarodowe, pomyślałem więc, że Korona może tym razem mi je zasponsorować. Znalazłem Milтона Oacklanda przy jednym z biurek i pstryknąłem go w ucho.

- Co?! - krzyknął przestraszony, ale na mój widok uśmiechnął się szeroko. - Ach, to ty. Już wychodzisz?

- Za chwilę. Potrzebuję telefonu, skąd mogę zadzwonić?

Milton rozejrzał się konspiracyjnie i mrugnął do mnie, po czym wstał, poprawił mundur i ruszył w stronę przeszklonych pomieszczeń, w których - jak się domyśliłem - prowadzono przesłuchania. Tuż przed drzwiami skręcił gwałtownie w lewo i zniknął mi z pola widzenia za ścianą. Kiedy postąpiłem kilka kroków za nim, dostrzegłem przymocowany do ściany aparat telefoniczny.

- Tu nikt cię nie podsłucha - szepnął z zadziornym uśmiechem. - Tylko nie gadaj za długo, żeby dyżurny się nie zainteresował.

Kiedy echo jego kroków zupełnie ucichło, wybrałem numer i cierpliwie czekałem na połączenie. Naliczyłem dwanaście sygnałów,

zanim po drugiej stronie rozległ się głos, którego nie słyszałem od tygodni.

- Cześć, Charlotte - powiedziałem cicho, z trudem panując nad wypełniającym mnie wzruszeniem. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

W Londynie była godzina siedemnasta, w Los Angeles dopiero rozpoczynał się dzień.

- Jonny? O mój Boże, Jonny, synku, martwiłam się o ciebie!

Gładki jak najgładszy jedwab głos mojej matki sprawiał mi równocześnie radość i ból. Przełknąłem łzy wzruszenia, odchrząknąłem i starając się brzmieć jak najbardziej bezbarwnie, rzuciłem:

- U mnie w porządku. Potrzebuję twojej pomocy.

Każda inna matka mogłaby się pogniewać za brak czułości, zainteresowania jej życiem, za interesowność i bezpośredniość, ale nie Charlotte. Gdybym miał wskazać to, co najbardziej cenilem w swojej matce, byłyby to brak jakichkolwiek matczynych instynktów. Nigdy nie próbowała sterować moim życiem, nigdy nie naciskała, nie ingerowała w wybory i ani razu z jej ust nie padło przekłete „A nie mówiłam?”. Te same cechy zapewne wskazał mój ojciec na sądowej mównicy, kiedy walczył o opiekę nade mną, jednak on postawił je na przeciwnej szali.

- Mów, zobaczę, co da się zrobić.

Nie było to zadanie przerastające możliwości Charlotte Harper, jednej z ulubionych modelek Christiana Diora, który linię New Look stworzył, inspirując się sylwetką mojej matki. Przynajmniej tak głosiły legendy, które krążyły w środowisku modowym, choć Charlotte nigdy się do tego nie ustosunkowała. Nie była próżna, bynajmniej. I z pewnością nie była winna tego, że „Bóg stworzył ją idealną”. Tak twierdził z kolei Arthur Burberry, czego osobiście byłem świadkiem podczas jej ostatniego pokazu w Londynie.

- Zdaje się, że wiem, kogo muszę zaprosić na kawę - powiedziała radośnie, wysłuchawszy mojej prośby. - Daj mi kilka godzin, synku, uważaj tę sprawę za załatwioną. Kocham cię, Jonthanie.

Oczywiście nie odpowiedziałem, gdyż z emocji głos ugrzązał mi w gardle. Charlotte i tego musiała się spodziewać, gdyż rozłączyła się, nie czekając na moją reakcję. Do diabła! Ja też ją kochałem. I powinienem mówić jej to częściej. Stałem jak palant, gapiąc się na ścisiskaną w dłoni słuchawkę, i wymyślałem sobie od najgorszych, choć nie znałem takich słów, jakimi mógłbym określić swój idiotyzm.

Odwiesiłem słuchawkę, odetchnąłem głęboko, wykonałem jeszcze jeden krótki telefon, tym razem do agencji, i ruszyłem do dyżurki, po drodze puszczać oko do Milтона, który najpewniej uważał, że właśnie zdobył pierwsze punkty w grze o zmianę kariery. Mój ojciec i Ruth już na mnie czekali, a niewysoki doktor Riley w kapeluszu na głowie rozmawiał z nieznanym mi policjantem.

– Jedziesz z nami? – rzucił nadinspektor, kiedy zbliżyłem się do nich.

– Nie, pojedź z Ruth, ja muszę jeszcze zajrzeć do agencji. Przyjechałem twoim samochodem, jeśli nie masz nic przeciwko – oznajmiłem Ruth z przeprasającym uśmiechem.

– Bynajmniej, skarbie, przecież jesteśmy narzeczeństwem – odparła i uśmiechnęła się promiennie. Po niedawnej bladości na jej pięknej twarzy nie został nawet ślad.

– W takim razie szerokiej drogi i do zobaczenia za kilka godzin – pozdrowił mnie ojciec, ani trochę niezaskoczony moją odpowiedzią. Nałożył fedorę na głowę i podał ramię dziewczynie. – Milady?

Ruth chwyciła go nieśmiało, a ja dopiero teraz zauważyłem, jaka jest smukła i krucha. Nadinspektor wyglądał przy niej jak niedźwiedź, który jednym machnięciem łapy mógłby złamać ją jak zapałkę.

Myśl o zapałce znów przywołała nurtujące mnie pytanie o to, dlaczego Roseworth spalił gromadzone od lat notatki. Co takiego zapisał w pamiętnikach, że nie chciał, by znaleziono je po jego śmierci? Czy naprawdę chodziło tylko o to, że podejrzewał własną żonę? Z jakiegoś powodu nie chciałem w to uwierzyć.

Opuściłem Scotland Yard w chwili, gdy samochód ojca wjeżdżał na skrzyżowanie, i wsiałem do bentleya. Przynajmniej tutaj nie musiałem

się obawiać o to, że ktoś może go ukraść lub zniszczyć. O tej porze ruch był duży, sznury samochodów ciągnęły do domów, na szczęście agencja znajdowała się niedaleko, zaledwie dwie przecznice na wschód.

Po niespełna dwóch kwadransach wbiegałem schodami na poddasze, gdzie mieściło się moje biuro i mieszkanie zarazem. Zdyszany, jakbym przemierzył sprintem cały dystans z Victoria Embankment, otworzyłem drzwi i stanąłem w progu, niemal słysząc, jak moja szczeka uderza o podłogę. Musiałem złapać się futryny, żeby nie upaść z wrażenia.

– Co pan tutaj robi? – wychrypiałem.

– Panie Harper, niech pan usiądzie! – Joyce Hardcastle zerwała się z krzesła i ruszyła mi z pomocą.

Oczywiście nie mogłem pozwolić, by to wścibskie chucherko ugięło się pod moim ciężarem. Zebrałem resztki sił, oderwałem się od drzwi i ruszyłem w stronę biurka, przy którym siedział niespodziewany gość.

Sam Archer wychylił głowę zza ścianki dzielącej „biuro” na dwa pomieszczenia.

– O, dobrze, że jesteś. Spóźniłeś się, a ja zaraz muszę ruszać w teren – powiedział z typowym dla niego brakiem szacunku dla szefa.

Niektórzy ludzie nigdy się tego nie nauczą.

– Odwołaj wszystkie zlecenia – powiedziałem. – Obdzwoń klientów i przepraszaj za zwłokę. Potrzebuję cię natychmiast w Szkocji.

Sam i panna Hardcastle wymienili porozumiewawcze spojrzenia, które wcale mi się nie spodobały.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem sekretarkę ostrym tonem.

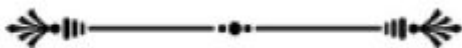
– Lord Dalrymple powiedział to samo, panie Harper.

– Przepraszam?

– Powiedziałem, że musisz pojechać do Szkocji, Jonathanie, żeby się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Mary.

Głos człowieka, z którym nie rozmawiałem od dnia, gdy jego jedyna córka, a moja ukochana żona spoczęła w zimnym grobie, ścisnął mnie

za serce z taką mocą, że przed oczami pojawiły mi się gwiazdy, a po chwili wszystko zalała gęsta fala ciemności.



Rozdział 16

LONDYN, AGENCJA HARPERA

- Niech pani trzyma mu głowę wyżej, Joyce, żeby nie połknął języka.

Głos Sama Archera powoli przedzierał się spomiędzy szumów, pisków i dźwięków, których nawet nie potrafiłem nazwać. Powieki wciąż miałem ciężkie, jakby ktoś położył na nich monety dla Charona. Poczulem delikatny dotyk na karku, a sekundę później moja głowa uniosła się nad powierzchnią, na której leżałem.

- Może zbyt mocno uderzył o podłogę? - Panna Hardcastle wydawała się szczerze zmartwiona. - Niech pan zwinie ręcznik w rulon, podłożymy mu pod kark.

- Harper jest twardzielem, nic mu nie będzie, panno H. - odparł Sam i usłyszałem jego oddalające się ciężkie kroki, które po chwili znów się zbliżyły.

- Może tak, może nie, ale zemdlął - stwierdziła moja asystentka beznamiętnym tonem. - Lepiej dmuchać na zimne, tak sądzę.

- To niech pani podmucha mu na czoło i przestanie się martwić - pouczył ją Archer. - Panie Dalrymple, może będzie lepiej, żeby przyszedł pan innym razem.

- Lordzie Dalrymple - poprawił go wyniosłym tonem człowiek, którego obecność zaskoczyła mnie do tego stopnia, że straciłem przytomność. - Dziękuję, panie Archer, wolałbym jednak zaczekać, aż pan Harper odzyska świadomość. To sprawa niezwyklej wagi i nie możemy dłużej zwlekać.

Słuchając szorstkiego głosu Dalrymple'a, zastanawiałem się nad niezwykle istotnym zagadnieniem. Czy stanowisko teścia jest

dożywotnie, czy może ta funkcja wygasa z chwilą zakończenia małżeństwa dzieci? Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, a i teraz zrobiłem to nieświadomie, kierowany nagłym skojarzeniem.

Podjąłem kolejną próbę uniesienia powiek i tym razem, z niewysłowionym trudem, osiągnąłem połowiczny sukces. Otworzyłem oczy na ułamek sekundy i natychmiast zacisnąłem je z powrotem, oślepiony jaskrawym światłem.

– Panie Harper? – Joyce Hardcastle pochyliła się tak nisko nad moją twarzą, jakby sprawdzała policzkiem, czy na pewno oddycham. – Panie Harper, jest pan z nami?

Czułem, że nie było szans na zmuszenie oczu do ponownego rozchylenia na pastwę ostrych promieni. Włożyłem więc całą siłę w poruszenie głową, wywołując przy tym niezamierzony efekt mdłości.

– Niech mu pan da coś do picia – rozkazał lord Dalrymple, czym zdziwił mnie niemal tak bardzo jak swoją niespodziewaną wizytą. – Harper, może pan wykonać jakiś gest? Skrzywić się, otworzyć usta, cokolwiek?

Otwarcie ust wydawało mi się zbyt ryzykowne, bo mogłyby z nich wyjść słowa, których później bym żałował. Zacisnąłem więc mocniej powieki i wykrzywiłem usta w podkówkę – taki przynajmniej miałem zamiar.

– W porządku – powiedział mój teść i zdawało mi się, że usłyszałem w jego głosie ulgę. – To nie porażenie, mięśnie reagują symetrycznie. Jonathanie, proszę unieść ręce, najpierw jedną, później drugą, a na koniec obie równocześnie.

Wykonałem polecenie, a następnie Dalrymple kazał mi zgiąć nogi w kolanach i dotknąć nosa palcami wskazującymi dłońi.

– Pan jest lekarzem? – zapytała surowym głosem panna Hardcastle.

– Neurologiem – odparł Dalrymple. – Tak gwałtowna utrata przytomności może być objawem poważnych chorób układu nerwowego, nie należy tego ignorować. Jak pan się czuje, Harper?

Sam przyniósł wodę i usiłował wlać mi ją do ust łyżeczką do herbaty. Zadanie okazało się trudniejsze, niż można było sądzić, moje wargi bowiem zaciskały się bez udziału woli. Kiedy jednak kilka kropeł dostało się do środka, przełknąłem i zebrałem w sobie wszystkie siły, żeby powiedzieć:

– Jakbym dostał czymś ciężkim w głowę.

– Czy takie sytuacje zdarzały się wcześniej? – dopytywał doktor Dalrymple z zawodową powagą. – Miewał pan zawroty i bóle głowy, drętwienie kończyn, zaburzenia widzenia?

Dopiero teraz, gdy pytanie zostało zadane wprost, uzmysłowiłem sobie, że rzeczywiście z każdym z tych objawów mierzyłem się w ostatnim czasie. A dziś doszło do kumulacji, co przypisywałem stresowi związanemu z odkryciem nieznanymi mi dotąd faktów dotyczących mojej żony.

– Chciałbym pana przebadać, Jonathanie – stwierdził medyk, kiedy potwierdziłem jego domysły. – To może być skutek szoku, ale także coś dalece groźniejszego. A teraz niech pan spróbuje otworzyć oczy. Archer, proszę wyłączyć światło, żeby nie oślepią Harpera.

Głośne kroki Sama odbijały się echem w mojej głowie, a po chwili powieki same mi się rozluźniły, kiedy w pomieszczeniu zapanował łagodny półmrok. Okna w agencji były nieduże, naturalnego światła było więc zbyt mało i niemal cały rok używaliśmy oświetlenia. Otworzyłem ostrożnie oczy i zamrugałem kilka razy. Świetliste punkciki zniknęły, a wzrok powoli przystosował się do otoczenia.

Dziwne to było uczucie spoglądać na trzy zawieszony w powietrzu twarze, wpatrujące się we mnie z matczyną troską, medyczną uwagą i lękiem, jakiego nigdy nie widziałem u Sama. Musiałem ich nieźle wystraszyć, a ta myśl odrobinę mnie zawstydziła. Na szczęście mogłem liczyć na dyskrecję swoich pracowników, jeśli zaś chodzi o Dalrymple'a – cóż, zawsze pozostawała tajemnica lekarska. Gdyby wiadomość o tym epizodzie rozniosła się po Londynie, moja agencja mogłaby stracić reputację.

- Już czuję się lepiej - oznajmiłem i uniosłem się lekko na łokciach. - Wszystko w porządku, nic mi nie jest.

Sam pomógł mi usiąść i podtrzymywał mnie na wypadek, gdybym „znów miał wywinąć jakiś numer”. Panna Hardcastle podała mi szklanekę z wodą, którą piłem małymi łykami. Zawroty głowy minęły, oddychałem równo i spokojnie.

- Mimo wszystko nalegam, żeby pan pozwolił się przebadać - odezwał się Dalrymple, wyraźnie uspokojony. - Jeśli nie chce pan mojej pomocy, to doktor Greystock także jest świetnym specjalistą.

- Doktor Greystock? Lekarz lorda Rosewortha?

- I całej rodziny Thadeusa, ten sam - potwierdził. - Jesteśmy partnerami, prowadzimy wspólnie klinikę.

Właściwie nie powinienem czuć się zaskoczony, w końcu moi teściowie także mieszkali w Norfolk, a pionierski na świecie państwowy system ochrony zdrowia nie dbał o „prowincję”, wskutek czego pacjenci z mniejszych miejscowości, oddalonych od dużych ośrodków miejskich, mogli liczyć jedynie na szpitale ochotnicze - których wciąż brakowało - albo na prywatne placówki.

- Przemyśle to - odparłem - najpierw muszę jednak pilnie zająć się dokończeniem śledztwa.

Twarz mojego teścia momentalnie zmieniła wyraz, a w oczach błysnęła złość.

- Skoro już o tym mowa, to powinniśmy poważnie porozmawiać - oznajmił i pomógł mi wstać. Nie wyglądał na tak silnego, ale jego krzepa okazała się wcale nie ustępować osiłkowatemu Samowi. - Przyjechałem od razu, gdy dowiedziałem się o liście, który zostawił ci Thadeus.

Już miałem zapytać, skąd się dowiedział, kiedy wtrąciła się panna Hardcastle:

- Siostra Bernarda pracującego w Roseworth Manor jest pokojówką lady Dalrymple. Zapewne także Bernard poinformował lorda o pana wyjeździe do Londynu.

– To prawda. – Jego lordowska mość skinął głową, a kącik jego ust uniósł się odrobinę. – Jeśli chcesz mieć sekrety, musisz pozbyć się służby. Oni wszyscy plotkują.

– Proszę wybaczyć, milordzie, ale nie rozumiem, do czego pan zmierza – odrzekłem szczerze. – Jakie znaczenie ma dla pana niezrozumiała wiadomość od umierającego człowieka?

– Pan wybaczy, Jonathanie, ale wiadomość jest niezrozumiała tylko wtedy, gdy jej adresat nie potrafi osadzić jej we właściwym kontekście – zripostował.

– A pan potrafi? – Nie udało mi się zapanować nad głosem i wyraźnie zabrzmiała w nim nuta złościwości.

– Myślę, że wiem, od czego zacząć.

– Od wyjazdu do Szkocji, jak mniemam? – Skrzywiłem się na wspomnienie ostatnich słów, jakie usłyszałem, zanim na mój świat spadła plaga ciemności.

– Zgadza się. Za chwilę sam pan to dostrzeże, tylko najpierw pomożemy panu podnieść się z podłogi.

Zerknął na Archera i po chwili obaj podźwignęli mnie na nogi. Oczekali kilka sekund, trzymając mnie mocno za przedramiona, na wypadek gdybym jednak wciąż nie był w stanie ustać o własnych siłach. Kiedy było już jasne, że nic mi nie zagraża, lord Dalrymple pociągnął mnie lekko w stronę stolika i odsunął krzesło.

– Panno Hardcastle, możemy prosić o herbatę z dużą ilością cukru? – zapytał nader grzecznie, choć wszyscy mieliśmy świadomość, że jest to polecenie wydane przez lekarza.

Nawet gdyby w agencji nie było cukru, biedna Joyce musiałaby biec po niego do sąsiadów. Lord tymczasem usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

– Jeśli przekazana mi informacja jest prawdą, Thadeus Roseworth zostawił panu, teoretycznie obcemu mu człowiekowi, osobisty list – mówił cicho, wolno i zaskakująco miękko, jak do pacjenta, któremu przekazuje miazdzącą diagnozę. – Abstrahując od tego, że był pan

mężem Mary, nigdy nie zawarł pan bliższej znajomości z lordem, myślę się?

– Nie, ma pan rację, znaliśmy się zaledwie z nazwiska.

– Musiało więc pana zastanowić, dlaczego właśnie panu zostawił ten liścik. Nie mnie, nie mojej małżonce: rodzicom Mary, osobom, które zna od dekad, z którymi żył w przyjaźni, tylko panu.

– Oczywiście, milordzie, jednak nie doszedłem do żadnych wniosków, a jedynie nasunęło mi się jeszcze więcej pytań – odparłem nieco poirytowany. – Pan wybaczy, ale nie jestem w stanie odszukać w pamięci choćby jednej rzeczy, która mogłaby połączyć Mary i lorda Rosewortha poza oczywistym dalekim pokrewieństwem, ale przecież to naturalne wśród arystokratów.

– Ma pan rację, Jonathanie, i tu pojawia się powód mojej wizyty – odparł, kiwając głową.

Stukot obcasów panny Hardcastle zapowiedział jej nadejście, obaj więc milczeliśmy, czekając, aż sekretarka ustawi filiżanki na stoliku i wróci do swojego biurka. I tak będzie podsłuchiwała, ale przynajmniej zachowa pozory.

– Wsypałam cztery łyżeczki cukru, doktorze.

– Znakomicie, panno Hardcastle, jest pani aniołem.

Musiałem przyznać, że postawa mojego teścia, jego życzliwość, uprzejmość i łagodność zaskoczyły mnie nie mniej niż nieoczekiwana wizyta w biurze detektywistycznym, którego szczerze nienawdził, upatrując w mojej pracy powodu śmierci własnej córki. Moje od początku napięte stosunki z Dalrymple'ami nieodwracalnie się pogorszyły po wypadku Mary. Oni doszukiwali się w tym odwetu gangsterów, którego przypadkową ofiarą padła moja żona, choć brakowało ku temu jakichkolwiek przesłanek. Byłem pewien, że nic nigdy nie zrehabilituje mnie w ich oczach i już zawsze będę tym, przez którego stracili dziecko.

Zamoczyłem usta w piekielnie słodkim napoju, ale dzielnie przełknąłem. Nie chciałem sprawić przykrości pannie Hardcastle,

faktycznie była aniołem. Niekiedy zastanawiałem się, czy przypadkiem nie traktuje mnie jak syna, którego straciła w trakcie wojny. Chłopak miał wtedy zaledwie siedemnaście lat, a jego śmierć odcisnęła na Joyce głębokie piętno.

- Dziękuję, panno Hardcastle. - Uśmiechnąłem się z wdzięcznością. - Lordzie Dalrymple, co miał pan na myśli, mówiąc, że muszę się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Mary? I jak miałbym dowiedzieć się tego w Szkocji?

Dalrymple poprawił się na krześle i nerwowo potarł czoło. Kątem oka zauważyłem, że Sam zastygł z gazetą, mającą świadczyć o tym, że zajmuje się czymś innym, tyle tylko, że trzymał ją do góry nogami. Panna Hardcastle ścierała kurz z biurka z taką intensywnością, jakby chciała wypolerować je na błysk.

Lord odchrząknął, znów skupiając na sobie całą moją uwagę, upił łyk herbaty i splótł dłonie na kolanach. Wyglądał na zdenerwowanego, ale jego spojrzenie zdradzało determinację.

- Kiedy dowiedzieliśmy się z Lilian o śmierci Mary, początkowo winiliśmy pana - przyznał z rozbijającą szczerością. - Policja twierdziła, że to był wypadek, ale zbyt wiele rzeczy mnie niepokoiło, bym zaakceptował to rozwiązanie. Wynająłem nawet prywatnego detektywa, który śledził pana przez kilka tygodni, jednak niczego nie znalazł.

Byłem świadom tego, że mam ogon, jednak w tamtym czasie zupełnie mnie to nie obchodziło. Facet z pewnością się nudził, wysiadując godzinami na cmentarzu albo pod kamienicą, w której mieściła się agencja. Nie spodziewałem się jednak po lordzie takiej determinacji i podważania ustaleń śledczych, z którymi ja także się nie zgadzałem. Wypadek, w którym zginęła Mary, był zbyt dobrze wyreżyserowany, zbyt wiele rzeczy się nie kleiło. Jak choćby pusta londyńska ulica w samo południe, gwarantująca brak świadków.

- Proszę mówić dalej - poprosiłem najbardziej beznamiętnym tonem, na jaki w tamtej chwili mogłem się zdobyć.

- Wielokrotnie rozmawiałem także z prowadzącym śledztwo – podjął mój teść, patrząc przepraszającym wzrokiem.

Nie było w tym jego winy, że sprawą śmierci Mary zajął się nie kto inny, jak mój ojciec, to jednak niczego nie zmieniało. Nawet najlepszy detektyw w kraju nie był w stanie ustalić sprawców, motywu ani znaleźć świadków zdarzenia. Otwierająca okno właścicielka apteki zapamiętała jedynie czarne auto oddalające się z nadmierną prędkością. To ona zadzwoniła na policję, kiedy wyrzała na ulicę i zauważyła ciało kobiety leżące na jezdni w kałuży krwi.

- Nadinspektor Harper twierdził, że robią wszystko, co w mocy Scotland Yardu. Śmierć arystokratki, a w dodatku jego synowej, miała najwyższy priorytet. Przesłuchano właścicieli zakładów usługowych w całej okolicy, rozpytywano ludzi, rozmawiano z właścicielem gazety. Nikt nie powiedział niczego, co mogłoby rzucić na sprawę inne światło.

To wszystko było mi doskonale wiadome, prawdopodobnie podążaliśmy z nadinspektorem tymi samymi szlakami i rozmawialiśmy z tymi samymi ludźmi. I podobnie jak mój ojciec, ja także nie dowiedziałem się niczego, co mogłoby dać mi choć cień szansy na ustalenie, kto zabił moją żonę. Nie było wątpliwości, że samochód nie hamował, policja przyjęła wersję o wtargnięciu przez Mary na jezdnię prosto pod koła. Ale czy w takiej sytuacji kierowca nie zatrzymałby się i nie próbował uratować jej życia? Czy ktoś, kto nieumyślnie spowodował wypadek, nie poczułby się w obowiązku zawiadomienia policji i wezwania karetki?

- A mimo to pan nie zmienił zdania? – zapytałem raczej z przyzwyczajenia, doskonale wiedząc, że w innym wypadku lord Dalrymple nie siedziałby teraz przede mną.

- Nie, nie zmieniłem. Możliwe, że zacząłem godzić się z tą myślą, jednak kilka tygodni temu wydarzyło się coś, co znów obudziło moją intuicję. Poznał pan Ruperta Greya? – zapytał, a ja skinąłem głową. – Ten młody człowiek, siostrzeniec pastora z parafii Świętej Mary, zgłosił się do doktora Greystocka z dolegliwościami żołądkowymi. To zupełnie

nieistotna kwestia, okazało się, że to niegroźny rotawirus, jednak pewnego dnia spotkaliśmy się w poczekalni, a ponieważ doskonale znam jego rodziców, zagadnąłem o to i owo. Ku mojemu zdumieniu dowiedziałem się, że planował zaręczyny z podopieczną Rosewortha, jednak Thadeus na samo wspomnienie o tych planach wpadł w szał i wyraził absolutny zakaz. – Znów spojrzał na mnie ze zmieszaniem, a ja doskonale rozumiałem, że powodem tego był sprzeciw wobec mojego małżeństwa z ich córką, którego Mary nie uszanowała. – Zdziwiło mnie to, ponieważ doskonale pamiętałem, że Thadeus nigdy nie przywiązywał dużej wagi do arystokratycznego pochodzenia, wręcz wielokrotnie ganił mnie i lady Dalrymple za to, jak potraktowaliśmy pana...

– Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z wypadkiem – stwierdziłem, tuszując żal niegrzecznością.

– Pan Grey, kiedy wyraziłem swoje zaskoczenie, powiedział, że jego i jego wybranek także zdumiała postawa Rosewortha, ponieważ ten wielokrotnie przedstawiał wasze małżeństwo jako przykład „końca idiotycznej oligarchii”. Musi pan przyznać, Jonathanie, że to dość dziwna deklaracja, skoro wyszła z ust arystokraty.

– Lordzie Dalrymple... – Nie miałem ochoty na polityczne dysputy.

– Tak, tak, zaraz wszystko pan zrozumie – zapewnił mnie przeproszającym tonem. – Od słowa do słowa Rupert Grey powiedział mi, że Mary w ciągu kilku tygodni przed śmiercią wielokrotnie odwiedzała Roseworth Manor, co stanowiło dla mnie ogromne zaskoczenie, bo przecież ani razu nie pojawiła się wtedy w rodzinnym domu. Ponadto, zakładając, że rzeczywiście nie towarzyszył jej pan w tych wizytach, wydało mi się to dziwne i niepokojące. Nawet w trakcie studiów nie jeździła do Mundesley częściej niż raz na kilka miesięcy. Chyba musi się pan ze mną zgodzić.

Owszem, mogłem, jednak interesowało mnie coś jeszcze.

– Zdaje się, że panna Evelyn przebywa w Roseworth Manor zaledwie od kilku miesięcy – zauważyłem. – Skąd więc pan Grey miałby wiedzę

na temat tego, co działo się przed jej przyjazdem?

– Ach... – westchnął ciężko Dalrymple i pokręcił głową. – Jak już mówiłem, służba plotkuje. W domu, w sklepie, w kościele. Młody Grey nie należy do arystokracji, więc kiedy rozeszły się pogłoski o tym, że ostrzy sobie zęby na młodziutką przyszłą lady, ruszyła lawina. Jane, jedna z byłych służących Roseworthów, powiedziała mu, żeby jak najszybciej się oświadczył i zabrał dziewczynę od wuja, bo ten ma „lepkie ręce”. I rzecz jasna opowiedziała o samotnych wizytach Mary.

– Jane? – Jak przez mgłę przypomniałem sobie opowieść współpasażerki z pociągu. – A czy ona przypadkiem nie pracowała w Roseworth Manor w czasie wojny?

– Tak właśnie było – przyznał zaskoczony. – Teraz pracuje u nas, ale przyjaźni się z Gladys, która służy u Roseworthów od ponad dziesięciu lat.

Przyznaję, że od próby wyobrażenia sobie powiązań między służbą i rodzinami znów poczułem zawroty głowy, w końcu jednak uznałem, że panna Hardcastle na pewno wszystko zanotowała i sporządzi mi klarowną ściągawkę. Tymczasem wciąż nie otrzymałem odpowiedzi na kluczowe pytanie.

– Zakładam, że skoro pojawił się pan tutaj, znalazł pan teorię o wiele bardziej interesującą niż lepkie ręce Rosewortha – powiedziałem bez uszczypliwości. – Czego miałbym szukać w Szkocji? I skąd wziął się ten pomysł?

Sam nawet już nie udawał, że nie podsłuchuje, co właściwie mnie cieszyło, to on miałby bowiem – o ile powód Dalrymple’a okaże się sensowny – jechać do Szkocji. Ja musiałem jak najszybciej wrócić do Norfolk i przesłuchać kilka kłamliwych osób.

– Wspomniałem panu, że policja nie ustaliła niczego, czego mogłaby się uchwycić, wliczając w to pracę Mary. Z całą pewnością pan, jako jej małżonek, doskonale wie, jak bardzo ambitna była ta dziewczyna, a co za tym idzie, jak mocno angażowała się w swoją pracę.

Jego lordowska mość zamilkł i przełknął ślinę.

Patrzyłem, jak jego grdyka porusza się w górę i w dół, i zastanawiałem nad tym, jaką bombę ten człowiek zamierza na mnie zrzucić.

- Po spotkaniu z młodym Greyem poszedłem do wydawcy gazety, w której pracowała Mary. Straszliwy bufon, jeśli mogę być szczery. Początkowo nie chciał ze mną rozmawiać, ale wtedy zażądałem zwrotu wszystkich notatek i rzeczy należących do mojej córki. Zagroziłem mu policją, gdyby odmówił. Poskutkowało.

- Ale wie pan, że w rzeczywistości to tak nie działa? - upewniłem się, uśmiechając mimowolnie.

- Najważniejsze, że on nie wiedział. - Lord mrugnął do mnie, wyraźnie z siebie zadowolony. - Notatek nie odnalazł, pewnie po takim czasie zostały zniszczone, ale powiedział mi, że Mary pracowała nad projektem, o którym nikomu nie chciała mówić. Nawet jemu nie wyjawiała, co ją tak zainteresowało, miała jedynie powiedzieć, że „jeśli udowodni prawdę, Szkocja będzie wstrząśnięta, a sir Conan Doyle przyśle jej zza grobu wielki bukiet kwiatów”.

- O mój Boże, to może lepiej, że nie udowodniła - wyrwało się pannie Hardcastle. - Kwiaty zza grobu to byłby istny horror!

Poza wieloma zaletami Joyce Hardcastle miała jedną słabostkę: bała się wszystkiego, co w jakikolwiek sposób dotykało życia pozagrobowego. Samo wspomnianie o duchach wywoływało u niej gęsią skórę, a na przejście w nocy obok cmentarza nikomu i pod żadnym pozorem nie dałaby się namówić.

Parsknąłem na to oświadczenie, Sam także śmiał się w kułak, a lord Dalrymple powstrzymywał się przed wesołością, mimo że ramiona całe mu się trzęsły. Trwało to jednak krótką chwilę, która pozwoliła rozładować napięcie, jednak ani trochę nie zmniejszyła powagi sytuacji. W myślach gorączkowo poszukiwałem nitek dających się połączyć w logiczny wzór, za którym powinienem podążać w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o śmierć Mary. Nagle zobaczyłem w głowie supełek, po nim drugi i kolejny.

- Sam! - odezwałem się głośno. - Natychmiast się pakuj i jedź do Edynburga.

- To już zdążyłem wykoncypować - mruknął wielkolud. - Czego konkretnie mam szukać?

- Nie czego, Sam, tylko kogo. Chcę, żebyś dowiedział się wszystkiego na temat Gregory'ego Pullmana, notariusza, oraz niejakiego Henry'ego MacFarlaine'a. Pogrzeb także w informacjach o rodzinie Roseworthów, do dziesięciu pokoleń wstecz.

Sam zapisał na kartce nazwiska, panna Hardcastle zrobiła to samo. Sam ruszył po swoje rzeczy, gotów natychmiast rozpocząć zadanie.

- Aha, jeszcze jedno - rzuciłem, podnosząc się z krzesła. - Sprawdź, czy przypadkiem Roseworth nie miał kontaktów z Conanem Doyle'em. Na wszelki wypadek.

- Gdzie mam raportować? - zapytał, zatrzymując się przed drzwiami.

- Do panny Hardcastle - powiedziałem. - Telefon w Roseworth Manor nie jest bezpieczny.

- Mowy nie ma! - zaperzyła się asystentka, a ja dopiero teraz zauważyłem, że ona także szykuje się do wyjścia. - Jeśli pan myśli, że puszczę pana w takim stanie w podróż samochodem, to jest pan w wielkim błędzie, panie Harper. Mam rację, doktorze?

- Przecież już czuję się dobrze - mruknąłem oszołomiony.

- Zgadza się. Nie powinien pan prowadzić samochodu, to zbyt ryzykowne - poparł ją lekarz.

- Otóż to - stwierdziła z satysfakcją. - Jadę z panem. Sam będzie raportował szyfrem, tu ma pan legendę i numer telefonu do Mundesley.

To powiedziawszy, podreptała do Archera i wcisnęła mu w ogromną dłoń niewielką kartkę. Osilek spojrział na nią i uśmiechnął się szeroko.

- Ale z pani sprycula - pochwalił. - Uważaj na siebie, Harper. Do widzenia, panie Dalrymple, panno Hardcastle.

Chwilę po tym, jak zamknął za sobą drzwi, jego dudniące kroki rozległy się na schodach, jakby zbiegało po nich stado słoń. Odwróciłem się do Dalrymple'a i wyciągnąłem dłoń.

- Dziękuję - powiedziałem, mając na myśli zarówno pomoc medyczną, jak i przedstawienie mi nowych faktów.

- Nie ma pan za co mi dziękować, Jonathanie, to ja jestem winien przeprosiny. Niech pan rozwiąże tę sprawę. - Odwzajemnił uścisk i po raz pierwszy, odkąd go poznałem, był wobec mnie serdeczny. - I proszę zająć się zdrowiem.

Kiedy zostaliśmy we dwoje, spojrzałem na pannę Hardcastle i pokręciłem głową.

- Ostrzegam panią, że ta rodzina to nie są mili ludzie - oznajmiłem.

- Panie Harper - odparła, wkładając na dłonie rękawiczki - pan nie ma pojęcia, z jakimi ludźmi musiałam się użerać. Na pańskim miejscu martwiłabym się raczej o nich.

Może to zaskakujące, ale w tamtej chwili właściwie dokładnie tak pomyślałem. I nie chciałbym znaleźć w skórze tego, kto nieroztropnie zdrze z Joyce Hardcastle.



Rozdział 17

MUNDESLEY-ON-SEA, ROSEWORTH MANOR

Panna Hardcastle okazała się znakomitym kierowcą, co nigdy nie przyszłoby mi do głowy. W zasadzie ani razu nie zastanawiałem się nad tym, upatrując w niej jedynie profesjonalnej asystentki o nienaganych manierach, skostniałych poglądach, kiepskim wyczuciu mody i odrobinę zbyt ciętym języku. Tymczasem prowadziła samochód jak zawodowiec, doskonale przewidywała możliwe zachowania pozostałych kierowców, a prędkość nie robiła na niej wrażenia.

- Zastanawia się pan pewnie, gdzie nauczyłam się prowadzić samochód - odezwała się, odczytując moje myśli, jak to już nieraz robiła.

- Zaskakuje mnie pani umiejętnościami.

- Jeszcze nieraz pana zaskoczę, panie Harper - odparła z powagą i bez krztyny pychy. - Wojna zmusza ludzi do szybkiego uczenia się i przystosowania do warunków, jakich nigdy nawet sobie nie wyobrażali. Ja musiałam nauczyć się prowadzić samochód, kiedy zostałam wolontariuszką w szpitalu w Oksfordzie. Wozilałam jedzenie, artykuły higieniczne, a zdarzało się, że i rannych. Takie to były czasy, panie Harper, nikomu nie życzę.

Mimo wielu różniących nas z ojcem kwestii byłem mu wyjątkowo wdzięczny za uchronienie mnie przed okropieństwami wojennej zawieruchy. Dzięki jego znajomościom i staraniom niemal nie zauważyłem, co działo się na niebie, oddalony od Londynu o setki mil, bezpieczny i szczęśliwy pod skrzydłami dalekich krewnych. Wiedziałem jednak, choć potrzebowałem czasu, aby to pojąć, że nie wszyscy mieli

tyle szczęścia. Przez długie miesiące po podpisaniu traktatów pokojowych w piwnicach zrujnowanych domów odnajdowano ciała ofiar w zawalonych budynkach i tunelach. Niektóre z nich zginęły od ran, niektóre z wyziębienia i głodu. Ojciec opowiadał mi o tym, a głos drżał mu za każdym razem, gdy wspominał o odnalezionym ciele dziecka.

Głos panny Hardcastle wyrwał mnie z zadumy.

- Panie Harper?

- Tak? Przepraszam najmocniej, zamyśliłem się.

- Dobrze, że tylko tyle, już się bałam, że zaraz znowu pan odleci. Pytałam, co udało się już panu ustalić w sprawie zabójstwa lorda. To jednak nie ta ruda?

- Co takiego? - W pierwszej chwili zupełnie nie zrozumiałem pytania, jednak szybko spłynęło na mnie olśnienie. - Ma pani na myśli Ruth? Myślała pani, że to ona zabiła własnego ojca i wynajęła detektywa, żeby to odkrył? - zdumiałem się.

- A bo to ona pierwsza? - Joyce wzruszyła ramionami, ani na moment nie odrywając wzroku od jezdni. - Wie pan, zdarzało się, że żona zabiła niewiernego męża, po czym zalewała się łzami, twierdząc, że odkryła zwłoki, gdy wróciła z pracy. Mężowie mordowali, żeby móc w spokoju ułożyć sobie życie z kochanką. Córki na pewno też nie są święte: na przykład chciały wyjść za chłopca, którego nie akceptował ojciec. Ludzie, panie Harper, są skłonni do wszystkiego, kiedy zawładnie nimi żądza.

- Żądza - powtórzyłem jak echo. - Sądzi pani, że w tej sprawie motywem była żądza?

- Ludzie mordują tylko z kilku powodów i każdy z nich wiąże się z pragnieniem zdobycia czegoś: miłości, pieniędzy, wolności. Jest jeszcze zbrodnia w afekcie, ale w tym wypadku chyba o niej nie mówimy?

- Wątpię, panno Hardcastle, biorąc pod uwagę ustalenia policji. Po pierwsze, lord Roseworth już nie żył, gdy go postrzelono. Po drugie,

został otruty, i to kilkoma różnymi specyfikami.

Ta informacja wywarła wrażenie na mojej asystentce, obecnie pełniącej funkcję szofera. Oderwała wzrok od przedniej szyby i spojrzała na mnie powiększonymi od ciekawości oczami. Opowiedziałem jej o przebiegu rozmowy w Scotland Yardzie, a ona słuchała w milczeniu, co jakiś czas kiwając lub kręcąc głową.

- Czyli insulina, eseryna i atropina - podsumowała. - A później jeszcze kulka w głowę. Nie wiem, czy pan się ze mną zgodzi, ale wygląda to na egzekucję. Wie pan, oglądałam niedawno film o gangach z Birmingham, *peaky blinders*, słyszał pan o nich?

- Co nieco, ale nie interesowałem się aż tak bardzo.

- Nic nie szkodzi, w sumie to bardzo brzydka rzecz. Zmierzam do tego, że w każdym dużym mieście, zwłaszcza w tak niejednorodnych społecznie ośrodkach jak Londyn czy Birmingham, istniały i wciąż istnieją grupy przestępcze. Strzał w głowę to dość często spotykana wśród ich członków forma kary. Za zdradę, sprzeniewierzenie się zasadom grupy, granie na dwa fronty.

- Tylko co wspólnego z ulicznymi gangami mógłby mieć obrzydliwie bogaty arystokrata? - zastanawiałem się na głos, odnotowując w pamięci słuszną uwagę panny Hardcastle.

- Miejmy nadzieję, że Sam szybko się tego dowie - skwitowała, po czym poprosiła: - Niech mi pan opowie o tych ludziach, chcę wiedzieć, na co się szykować.

Kiedy zaczynałem opowiadać, do Mundesley została nam jeszcze godzina drogi. Ostatnie zdania wybrzmiały w akompaniamencie chrzęszczącego pod kołami żwiru na podjeździe Roseworth Manor.

Panna Hardcastle zgasiła silnik, jednak zanim wysiedliśmy z samochodu, zapytała:

- Czy jest pan absolutnie pewien, że ci wszyscy ludzie mówią panu prawdę i żadne z nich nie przyczyniło się do śmierci lorda?

- Przeciwnie, panno Joyce - odparłem ze stanowczością. - Jestem pewien, że żadne z nich nie mówi mi prawdy.

Nasz przyjazd śledziło kilka par oczu – czułem to niemal każdym centymetrem skóry. Gdy wspinaliśmy się po schodach prowadzących do głównego wejścia, zauważyłem, że firanka w salonie sąsiadującym z gabinetem Rosewortha poruszyła się delikatnie. Ponieważ nikt nie otworzył nam drzwi, postanowiłem odwdziżyć się podobną złośliwością.

– Jest pani gotowa na szok dźwiękowy? – zapytałem pannę Hardcastle z łobuzerskim uśmiechem. – No to proszę!

Przyprawiająca o gęsią skórę i ból głowy melodia popłynęła z głośnika, a ja nie umiałem powstrzymać uśmiechu na myśl, jak bardzo cierpią wszyscy w środku. Miała rację Ruth, twierdząc, że przez ten dźwięk nic innego się nie przebiję. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, dlaczego nikt nie usłyszał wystrzału z pistoletu.

– Do stu piorunów, niech ktoś to wyłączy!!! – wrzasnął mój ojciec, otworzywszy drzwi, i w tej samej chwili dzwonek zamilkł. – Panno Hardcastle? – zdumiał się na widok towarzyszącej mi kobiety. – Co pani tu robi?

– Dzień dobry, nadinspektorze – odparła z uśmiechem. – Tak się składa, że pański syn potrzebował kierowcy, a ja mam doskonałe kwalifikacje.

– Z całą pewnością, mogę za nie ręczyć – odrzekł, wciąż odrobinę zaskoczony. – Jonathanie, nie wiedziałem, że potrzebujesz szofera.

Zignorowałem tę złośliwą uwagę i postąpiłem do przodu, zmuszając ojca do cofnięcia się w głąb holu. Powinienem był puścić przodem swoją towarzyszkę, obawiałem się jednak, że ona się nie ruszy, dopóki Jack będzie stał na straży.

– Musimy pogadać – rzuciłem, odwieszając fedorę na wieszak. – Prawnik już jest?

Ojciec skinął głową i pomógł pannie Hardcastle wyswobodzić się z rękawiczek, które przykleiły się do jej skóry. Było stanowczo zbyt ciepło na rękawiczki, lecz niektóre kobiety wciąż uznawały odkryte dłonie za zbyt frywolną nagość.

- Chodźmy do gabinetu – zaproponował. – Joyce, lady Roseworth na pewno się panią zajmie, proszę tu chwilę poczekać.

Ruszyliśmy znajomym korytarzem, na którego końcu znajdował się gabinet lorda. Drzwi były otwarte, a pod oknem, tyłem do nas, stała Ruth. Usłyszawszy kroki, odwróciła się i uśmiechnęła. W jej oczach błyszczwały łzy.

- Ruth... – Podszedłem do dziewczyny i objąłem ją mocno, pozwalając jej się uspokoić. – Co się stało? Dlaczego płaczesz?

- Nic się nie stało, to... to ten gabinet, wspomnienia... – zaszlochała, wtulając się mocno w mój bark.

Nie potrafiłem znaleźć słów pocieszenia, więc tylko delikatnie głaskałem ją po głowie.

- Panno Roseworth, czy mogłaby pani zapewnić herbatę pannie Hardcastle, która przyjechała z Jonathanem? – zapytał łagodnie mój ojciec.

- Tak, tak, oczywiście! – Ruth odsunęła się ode mnie i otarła łzy rękawem bordowej sukienki. – Gdyby mnie pan potrzebował, będę u siebie. Proszę dzwonić, w domu można się łączyć między aparatami.

Ta informacja bardzo mnie zaskoczyła.

- Czy to znaczy, że więcej niż dwa aparaty są podłączone do tego numeru?

- Tak, Jonny, każdy z nas ma aparat w swojej sypialni, żebyśmy nie musieli zbiegać na dół.

- Bliźniaki też? – upewniłem się.

- Tak, one też. A dlaczego pytasz?

- Nie sądziłem, że w jednym domu potrzeba aż tyle telefonów – próbowałem się wykręcić.

Złapałem spojrzenie ojca, który przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi.

Ruth rozłożyła ręce i pożegnała nas uśmiechem, po czym wyszła i zamknęła drzwi. Jack nie zwlekał ani chwili.

– O co chodzi z tymi telefonami?

Nie odpowiedziałem od razu. Chciałem jeszcze raz sformułować tę myśl, żeby sprawdzić, czy nie zgubiłem jej sensu. Podeszedłem do okna i oparłem się o parapet.

– Telefony współdzielone mają to do siebie, że każda rozmowa może zostać podsłuchana – wyjaśniłem, na co ojciec pokiwał głową. – Biorąc pod uwagę opowieść Ruth o przebiegu poranka w dniu śmierci Rosewortha, zastanawiam się, czy ktoś mógł podsłuchać rozmowę lorda. Jestem niemal stuprocentowo pewny, że nie dzwonił z pozdrowieniami do ukochanej krewnej, ale przekazywał istotne informacje osobie, która w naszej sprawie może okazać się kluczowa.

– Myślisz, że dzwonił do Greystocka?

– Raczej stawiałbym na kogoś, komu ufał dużo bardziej. Jak choćby ten jego przyjaciel wspomniany w testamencie.

Nadinspektor zadumał się głęboko, o czym świadczyły zmarszczone czoło i przymrużone oczy. W końcu cmoknął głośno i stwierdził:

– Sprawdzimy to połączenie, za chwilę zadzwonię do Southenby'ego. Ale co innego, zdaje się, chciałeś mi przekazać, czyż nie?

W pierwszym momencie zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, co też zamierzałem powiedzieć, w końcu jednak pamięć zadziałała, jak powinna.

– Dzwonek do drzwi! – wykrzyknąłem z satysfakcją. – Dzwonek do drzwi mógł zagłuszyć dźwięk wystrzału.

– Masz rację – zgodził się po namyśle ojciec. – Myślę, że strzał z armaty też mógłby przebić. Według zeznań jedyną osobą, która dzwoniła do drzwi, był... – Przerwał, żeby zerknąć do swoich notatek, ale ja dokończyłem:

– Rupert Grey, narzeczony Evelyn Miller. Zjawił się chwilę przed dwudziestą.

– A według panny Roseworth chwilę później ona sama odkryła ciało ojca. Raczej nie zdążyliby strzelić i zniknąć w tak krótkim czasie.

– Prawdopodobnie nie – przyznałem. – Tyle że nie jest powiedziane, iż to był jedyny dzwonek do drzwi tego dnia.

Nadinspektor nie zdążył zadać kolejnego pytania ani wyrazić wątpliwości, gdyż drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie i do pomieszczenia wpadła Claire. Ignorując policjanta, pobiegła wprost do mnie i rzuciła mi się na szyję.

– Dziękuję, dziękuję! Wiedziałam, że uratujesz Ruth! – piszczała mi do ucha.

Poczułem się bardzo nieswojo, bo choć wyglądała jak dziecko, była przecież w wieku odpowiednim do aranżowania małżeństwa.

– Ależ... nie ma... za co – wydyszałem, odsuwając ją od siebie na odległość ramion.

– Oczywiście, że jest! Jesteś wielkim detektywem, nie to co policja – prychnęła, obrzucając nadinspektora pogardliwym spojrzeniem. – Koniecznie przyjdź do mnie i George'a za chwilę, mamy dla ciebie nagrodę.

Posłała mi buziaka i wybiegła z gabinetu, zostawiając mnie i ojca w stanie umiarkowanego stuporu. Zaczynałem się przyzwyczajać do czających się za każdym rygmem niespodzianek.

– Muszę porozmawiać z prawnikiem – poinformował ojciec. – Później chciałbym przesłuchać ich wszystkich razem.

– Razem? – zdumiałem się po raz kolejny.

– Sądzę, że mógłbym ich sprowokować.

Pokiwałem głową, choć wątpilem w powodzenie tego eksperymentu. Ja sam zamierzałem udać się teraz do bliźniaków, z którymi i tak miałem do pogadania.

Ruszyłem na górę, lecz w połowie drogi zawróciłem, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszczą się pokoje dzieci. Pukanie do wszystkich drzwi wyjątkowo mi się nie uśmiechało. Na szczęście Bernard pojawił się znikąd i wskazał mi drogę. Wbiegłem więc po schodach, pokonując po dwa stopnie, i musiałem przystanąć na szczycie, ponieważ znów zakręciło mi się w głowie.

Pokoje bliźniąt znajdowały się obok siebie, po przeciwnej stronie korytarza niż sypialnia lorda Rosewortha. Pomyślałem z przekąsem, że też wołałbym, żeby od ojca dzieliło mnie dobrych kilka jardów. Stałem pod drzwiami i nasłuchiwałem. Przez niewielką szparę doleciała do mnie muzyka. Początkowo nie rozpoznałem melodii, ale po chwili usłyszałem magnetyczny głos Jerry'ego Lee Lewisa, który u szczytu błyskotliwej kariery wywołał skandal, poślubiając swoją trzynastoletnią kuzynkę. Zanim jednak to nastąpiło, zdążył zdobyć światowe uznanie i zasłynąć z ekscentrycznych występów scenicznych, a rozgłośnie radiowe nieustannie puszczały śpiewane przez niego *Whole Lotta Shakin' Going On* czy *Great Balls of Fire*. Mary oszalała na punkcie jego głosu i błagała mnie, żebym zabrał ją do Stanów na koncert muzyka.

Przełknąłem ślinę i zapukałem do drzwi.

- Kto tam? - usłyszałem dziewczęcy głosik Claire.

- Jonathan.

W pokoju zapanowało poruszenie, przez chwilę słyszałem dyskusję prowadzoną scenicznym szeptem, aż w końcu drzwi się otworzyły. W progu stał George, który bynajmniej nie wyglądał na uszczęśliwionego moim widokiem. W odróżnieniu od swojej siostry, która w dwóch susach znalazła się przy mnie, chwyciła za rękę i wciągnęła do środka.

- Nie przejmuj się nim, jest w fazie buntu - rzuciła, wskazując głową na George'a.

- Nie chciałbym przeszkadzać - zapewniłem, jak nakazywała kurtuazja.

- Absolutnie nie przeszkadzasz! Chcemy ci z George'em podziękować za to, co zrobiłeś dla Ruth.

Zerknąłem na chłopaka, który wciąż stał przy drzwiach z rękami splecionymi na piersi.

- A co takiego zrobiłem?

- Jak to co? Uwolniłeś ją od tych paskudnych podejrzeń! Wiedziałam, że sobie poradzisz! Jesteś doskonałym detektywem, nie to co ci ohydni policjanci – tokowała dziewczynka, ściskając moją dłoń.

- Claire... - Chciałem wyprowadzić ją z błędu, ale George wszedł mi w słowo.

- Wątpię, żeby zrobił to dla ciebie – mruknął.

- Jasne, że nie tylko dla mnie, przecież on kocha Ruth!

- Albo jej pieniądze.

Tego było już za wiele. Ten chłopak zaczynał działać mi na nerwy.

- Nie znasz mnie, a wydajesz takie opinie – rzuciłem do niego. - Gdybym polował na majątek waszej siostry, zwodziłbym ją tak długo, aż wyszłaby za mnie w więzieniu, a wówczas mógłbym swobodnie dysponować wszystkimi pieniędzmi. Tak z pewnością byłoby łatwiej.

George spojrział na mnie z niedowierzaniem, przez co jego szczupłą twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

- No właśnie, gamoniu, nie mierz innych swoją miarą – zrugła go Claire. - Jonathan obiecał pomóc i pomaga. Na tym właśnie polega lojalność wobec rodziny. Co zawsze powtarzał tatuś? „Jeśli zrobicie coś złego, nie bójcie się przyjść do rodziny, ona jest od tego, żeby was chronić”.

- Chodziło mu raczej o stłuczenie sąsiadom szyby piłką – powątpiewał Georgie.

- A jakie to ma znaczenie? – Claire wzruszyła ramionami. - Rodzina to rodzina i cokolwiek się wydarzy, zawsze będziemy rodziną.

Igła na gramofonie przeskoczyła po skończonym utworze i włączyła się piosenka Johnny’ego Casha. Widocznie Georgie gustował w rock and rollu, o czym mogła świadczyć też wisząca na ścianie gitara. Podeszedłem do niej i przyjrzałem się bliżej – wyglądała jak nowa, prawdopodobnie nie była zbyt często używana. Następnie przeniosłem wzrok na ustawione w równych rzędach płyty – chłopak zgromadził sporą kolekcję. Poza współczesnymi królami rocka znalazłem klasyków jazzu i bluesa. Całkiem niezły zbiór. Przesunąłem wzrokiem po niskich

półkach, na których równiutko ustawiono książki, i dostrzegłem metalowy kosz na śmieci. Moją uwagę zwróciły kawałki papieru toaletowego zabarwione na czerwono.

George również tam spojrzął i jak gdyby nigdy nic wyjaśnił:

– Claire ma problemy z krzepliwością krwi, czasami nagle krew leci jej z nosa.

Spojrzałem na dziewczynę, która skinęła głową, uśmiechając się przy tym. Nie wyglądała na przeżytą, ale choroba krwi mogła tłumaczyć bladość jej skóry.

– Dobrze więc – odezwałem się, ponownie patrząc na bliźnięta – chciałbym odebrać swoją nagrodę.

Piegowata twarz Claire rozpromieniła się w mgnieniu oka i dziewczynka usiadła na łóżku. George zajął miejsce obok niej.

– Zdradzimy ci coś, co może pomóc w rozwiązaniu tej sprawy – zaczęła, zniżając głos do szeptu, przez co musiałem podejść bliżej. – Ale nie możesz nikomu powiedzieć, że wiesz to od nas, bo będziemy mieli prze-gwiz-da-ne.

Udałem, że zastanawiam się nad tym ultimatum, po czym z powagą skinąłem głową i zasznurowałem usta.

– Ufam ci – oznajmiła Claire. – Georgie też ci ufa, tyle że on nikomu nie ufa z natury. Mamusia się bała, że jest zapóźniony umysłowo, ale okazało się, że jest również genialny, więc mu wybaczymy. Podobno to taka amerykańska choroba, z którą da się funkcjonować.

Nie skomentowałem, choć cisnęły mi się na usta różne riposty. Byłem bowiem ciekaw, jakim sekretem zamierzają się ze mną podzielić, zanim będę miał do nich pytania.

– Tamtego dnia, kiedy umarł tatuś, słyszeliśmy kłótnię – powiedziała w końcu. – Thomas i Amelia krzyczeli na tatusia, a później Thomas wybiegł wściekły i pobiegł na górę. Amelia jeszcze chwilę została, ale też wyszła, tylko nie poszła za Thomasem.

– A dokąd?

Serce biło mi coraz szybciej, wreszcie coś się działo.

– Poszła zatelefonować do pana Pullmana.

– Skąd to wiecie?

– Widzieliśmy – odpowiedzieli chórem, a George dodał:

– Widzieliśmy, jak wybiegła, a później poszliśmy do kuchni i podsłuchiwalismy.

– Doprawdy? I co podsłuchaliście? O czym rozmawiali?

– Amelia chciała się upewnić, że tatuś zmienił testament „na korzyść Ruth”.

– I pan Pullman jej to powiedział? – zapytałam, ciekaw, jak notariusz wyjaśniłby złamanie tajemnicy zawodowej.

– Niestety nie – powiedziała z żalem Claire. – Kazał jej zapytać tatusia, bo jemu nie wolno zdradzać sekretów klientów.

Przynajmniej tyle dobrego.

– I co działo się później?

– Potem przyszła ciocia Agatha, nakryła nas w kuchni i dostaliśmy burę, bo podobno Evelyn nie mogła nas znaleźć, a mieliśmy mieć łacinę. Nie nasza wina, że ona się spóźniła, mogła nie wychodzić na randkę przed lekcją – oznajmiła dziewczynka i wyduła usta w wyrazie dezaprobaty.

– Wcale nie wyszła na randkę, tylko ją skończyła – poprawił ją George. – Widziałem, jak Rupert wymykał się przez trawnik. Pewnie zaspali, a ojciec na pewno wściekłby się, gdyby wiedział, że on nocował u Evelyn.

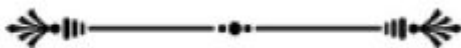
– A co się później działo między Thomasem i waszym tatą? – zapytałam, odchodząc nieco od tematów intymnych relacji. – Pogodzili się?

– Tego nie wiemy. – Claire wzruszyła ramionami. – Żadne z nas nie widziało papy aż do wieczora.

– A jak to się stało, że nikt nie usłyszał strzału? – zadałem to pytanie najmniej zobowiązującym tonem, jaki udało mi się wykrzesać.

Bliźnięta popatrzyły na siebie porozumiewawczo, niemal niezauważalnie skinęły głowami, po czym George odpowiedział:

- My słyszeliśmy.



Rozdział 18

– Słyszeliście wystrzał i nie powiedzieliście o tym policji?! – Tym razem nie udało mi się ukryć złości. Czy te dzieciaki zdawały sobie sprawę z powagi sytuacji? Czy byli świadomi, że gra toczy się o ludzkie życie? – Która to była godzina? Gdzie wtedy byliście? Kto jeszcze mógł go słyszeć? Gdzie byli pozostali domownicy? – wyrzucałem z siebie pytania jak automat, coraz bardziej przerażając Claire, która zbladła już do tego stopnia, że za moment mogłaby zniknąć.

– Dopiero dzisiaj uświadomiliśmy sobie, że to był wystrzał – powiedział George, który w przeciwieństwie do siostry wyglądał na zupełnie niewzruszonego. – Wtedy myśleliśmy, że strzelił gazik w samochodzie ciotki Agathy, ten złom często robi takie rzeczy.

– Więc może jednak to był samochód lady Radcliffe?

– Nie, na pewno nie – zaprzeczył stanowczo. – Ciocia Agatha nie ruszała się samochodem tamtego dnia, bo od rana piła, a nigdy nie wsiada za kierownicę po alkoholu.

– W takim razie dlaczego przyszło wam do głów, że wyjeżdżała samochodem?

– Bo pokłóciła się z tatusiem, a zawsze gdy się z nim pokłóci, jedzie „przewietrzyć umysł” – tłumaczyła Claire, chyba nieświadomie mówiąc mi zbyt wiele.

– Ale tamtego dnia nie pojechała?

– Nie, była już podpita, tak nam powiedziała – wyjaśniła Claire. – Zapytaliśmy ją o to po twoim wyjeździe i powiedziała, że nie pojechała na przejażdżkę, tylko poszła na spacer plażą i spotkała tam Monę i Adalind.

– Wróciły wszystkie trzy – dodał George. – Widziałem przez okno w bawialni, bo Evelyn za karę kazała nam pisać odmianę łacińskich czasowników.

– O której godzinie słyszeliście wystrzał i jak wiele czasu minęło od kłótni Agathy z waszym ojcem?

– Minął może kwadrans – odparł George. – Nie patrzyliśmy wtedy na zegarki.

– Jak rozumiem – postanowiłem podsumować – po tym, jak ciotka Agatha nakryła was podsłuchujących telefonującą Amelię, ona sama udała się do lorda Rosewortha, z którym się pokłóciła. Czy tak? – Gdy bliźnięta skinęły głowami w idealnej koordynacji, ciągnąłem: – Kwadrans później usłyszeliście strzał, który wzięliście za huk gazika odjeżdżającego samochodu, jednak Agatha nie pojechała na przejażdżkę, tylko poszła na spacer, z którego wróciła wraz z Moną i Adalind Almond?

Znów skinęły, a ich poważne miny świadczyły o tym, że podoba im się systematyzowanie faktów.

– Pamiętacie, która mogła być godzina, kiedy wracały ze spaceru?

Tym razem pokręcili głowami przecząco. Żadne z nich nie interesowało się czasem, w końcu mieli wakacje, a lekcje łaciny i innych języków stanowiły dla nich przykrą konieczność.

– Mamusia powinna wiedzieć – przypomniała sobie nagle Claire. – Zaraz po powrocie ciocia Agatha miała ją zawieźć na umówioną wizytę u doktora Greystocka, ale w rezultacie musiała to zrobić Mona, bo ciocia nie prowadzi po pijaku. Mamusia nie była zadowolona, chyba miała żal do cioci Agathy. Pamiętasz, Georgie?

Jej brat wyglądał, jakby przeszukiwał labirynty pamięci, aż w końcu pokiwał głową, choć bez przekonania. Widocznie w odróżnieniu od siostry nie interesował się aż tak bardzo uczuciami krewnych.

Rozmowa z dziećmi okazała się o wiele bardziej owocna, niż początkowo zakładałem, i w końcu miałem punkty zaczepienia, które dawały mi możliwość krzyżowej weryfikacji zeznań. Co prawda, nie

spodziewałem się, że mieszkańcy Roseworth Manor ukryją przed policją tak istotne kwestie jak kłótnie z ofiarą morderstwa, ale po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak ograniczone powinniśmy mieć zaufanie do ludzi.

- Chciałbym was zapytać o coś jeszcze - odezwałem się po krótkim milczeniu. - Pewnie nie pamiętacie, kiedy dokładnie wróciła Ruth tamtego wieczora, gdy zginął wasz ojciec?

Po raz pierwszy Claire i George nie spojrzeli na siebie przed udzieleniem odpowiedzi. Dziewczynka rozglądała się po suficie, stukając palcem wskazującym w górną lewą jedynekę, a chłopak zawiesił wzrok na gitarze.

- Jakoś wieczorem... - powiedział, lecz nie brzmiał na przekonanego.

- Chyba po Rupercie - dodała Claire - ale pewności nie mam. Mamusia nie pozwoliła nam wychodzić z pokojów.

- Czy poza Rupertem ktoś inny dzwonił wtedy do drzwi? - dążyłem, starając się nie wzbudzać ich czujności.

- Rupert nie dzwonił - odparła natychmiast dziewczynka.

- Jesteś pewna?

- Na własne uszy słyszałam, jak Evelyn dawno temu powiedziała mi, że „jeszcze raz użyje tego diabelskiego dzwonka i to będzie ostatni raz, kiedy ją zobaczy”. I wciąż ją widzi, więc wiadomo, że nie dzwonił.

- Widocznie coś mi się pomyliło - zmitygowałem się, czując na sobie podejrzliwy wzrok George'a, i szybko zmieniłem temat na taki, który wydał mi się bezpieczny. - Ruth opowiadała mi o jakiejś arcyciekawej sprawie kryminalnej, o której czytaliście w gazecie.

Zgodnie z moim przewidywaniem twarz dziewczynki rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Już dawno ją rozwiązałam! - pochwaliła się z wyraźną dumą. - Bułka z masłem. Ty na pewno też od razu byś na to wpadł.

– Na to, że użyto insuliny? – rzuciłem jakby nigdy nic, kątem oka obserwując twarz George’a.

Unikał mojego wzroku, choć być może po prostu zupełnie nie interesowała go ta historia.

– Mówiłam? Ty wszystko wiesz! Jonathan Harper, Wielki Detektyw – powiedziała grubym głosem i zaklaskała.

– Niestety, wciąż nie rozwiązałem sprawy śmierci waszego taty – stwierdziłem ze smutkiem.

– Nie przejmuj się, Wielki Detektywie, niektóre sprawy nie dają się tak łatwo rozwiązać – odparł George takim tonem, że nie wiedziałem, czy usiłuje mnie pocieszyć, czy sugeruje, że w ogóle nie powinienem próbować rozwikłać tej zagadki.

– Tak czy siak, będziemy cię kochać i uważać za wielkiego detektywa – zapewniła dziewczynka i nagle pochyliła głowę, gdy z jej nosa wypłynęła strużka krwi.

George rzucił się do biurka, na którym leżała sterta papierowych serwetek, i pomógł siostrze zatamować krwawienie. Zdziwiła mnie sprawność i opanowanie, z jakim oboje podchodzili do poważnego problemu.

Upewniwszy się, że kryzys został zażegnany, podziękowałem bliźniętom, zostawiając ich bujających się w rytm przeboju Roya Orbisona, i ruszyłem do salonu, gdzie spodziewałem się zastać mojego ojca. Owszem, zastałem, choć w sytuacji daleko odbiegającej od wyobrażeń. Nadinspektor detektyw Jack Harper siedział przy owalnym stole wraz z siedmiorgiem innych osób i bezceremonialnie rznął w karty. Na środku blatu leżała kupka farthingów i kilka szylingów. Ruth, Mona, Adalind, Agatha, Margaret, panna Hardcastle i nieznanymi mi mężczyźni, w którym domyśliłem się adwokata rodziny, MacFarlaine’a, wraz z moim ojcem doskonale się bawili, jakby niedawna wizyta Ruth w areszcie w ogóle nie miała miejsca, a sprawa śmierci Thadeusa Rosewortha została rozwiązana. Zaczynałem się zastanawiać, czy to ja tracę zmysły – co przecież nie było zupełnie

niemożliwe, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia – czy może wszyscy pozostali ulegli zbiorowemu szaleństwu.

– Dobrze się bawicie? – rzuciłem, zatrzymując się na środku pokoju.

– Znakomicie. Czekaliśmy na ciebie, Jonathanie – odparła Ruth.

– Panno Hardcastle, pani też dała się uwieść hazardowi? – Jej udział w tej imprezie wydawał mi się nawet bardziej zaskakujący niż w przypadku ojca, który lubił od czasu do czasu wyjść na brydża z kolegami.

– Mówiłam, że jeszcze wiele kart mam do odkrycia.

– Przynajmniej coś się dzieje – odezwała się Adalind. – Pan inspektor zabronił nam wyjeżdżać, a lord Roseworth wydawał się bardzo wściekły na widok powrotu siostry-dziedziczki. Niech pan żałuje, że tego nie widział, oscarowa rola!

– To w ogóle nie jest zabawne, kochanie – bąknęła Mona. – Kto wie, czy Thomas nie wpadnie nagle na pomysł otrucia Ruth? Tak bardzo jej nienawidzi, że wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Mono! – Ruth poczerwieniała gwałtownie i wyglądała na wzburzoną. – Jak w ogóle możesz mówić takie rzeczy o własnym bracie?

– Sądzę, że więzi krwi nie mają tu żadnego znaczenia – odparła tamta. – Ruth, słoneczko, wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Cała reszta jest nieistotna.

– Rodziny się nie wybiera – odezwała się niespodziewanie lady Margaret, babka Ruth.

Jej głos usłyszałem po raz pierwszy. Wyobrażałem go sobie jako ledwo słyszalny szept, brzmiący jak mruczenie wariata, tymczasem był mocny, niski i z powodzeniem mógł uchodzić za seksowny.

– Wbrew temu, co wkłada się do głów współczesnym młodym pokoleniom, rodziny nie można ani wybrać, ani odrzucić. Ona zawsze w nas pozostanie, choćby w genach – zauważyła.

Nie wiedziałem, czy te słowa kierowała do kogoś konkretnego, czy może do mnie. Nieodgadniony wyraz twarzy kobiety sugerował, że

starsza pani myślami dryfuje gdzieś poza rzeczywistością.

Spojrzałem na ojca, który zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na toczącą się przy stole rozmowę, jednak ja doskonale wiedziałem, iż chłonie wszystko jak wysuszona ziemia. Ten szczywany lis postanowił zabawić się w dobrego glinę i złamać opór Roseworthów przed policją. Być może była to słuszna metoda, choć wątpiłem, żeby udało mu się zdobyć ich zaufanie na tyle, by zupełnie przestali grać. Bo w to, że cały czas grali, nie wątpiłem ani trochę.

– Skoro jesteście zajęci, pójdę się przebrać – oznajmiłem, co zostało przyjęte z całkowitą obojętnością, jakby moja obecność nikogo nie obchodziła. Równie dobrze mógłbym rozebrać się do naga i zatańczyć; rezultat byłby taki sam.

Wróciłem do holu, wymieniłem skinienie głowy z Bernardem i wspiałem się na schody. Tym razem jednak doskonale wiedziałem, do których drzwi powinienem zapukać.

– Proszę! – Łagodny głos lady Barbary rozległ się, gdy tylko dotknąłem knykciami drzwi. – Ach, to pan, proszę, proszę, niech pan wejdzie.

Ubrana w kwiecisty peniuar lady Roseworth leżała na szezlongu i czytała książkę. W pokoju unosił się zapach dymu tytoniowego, a na stoliku obok leżanki stała niemal pełna popielniczka. Stałem w progu i rozejrzałem się z ciekawością. Pomieszczenie miało kształt kwadratu i było dwukrotnie większe niż sypialnia George'a, którą niedawno opuściłem. Najwięcej miejsca zajmowało ogromne łóżko, po którego obu stronach piętrzyły się stosy książek. Pod oknem stało potężne biurko, na nim maszyna do pisania. Zdziwiłem się nieco, bo dotychczas nikt nie wspomniał o literackim zacięciu lady Barbary. Obok maszyny ujrzałem bukiet nieco zeschniętych róż, które kilka dni wcześniej musiały wyglądać imponująco.

Poza wejściowymi znajdowały się tam dwie pary drzwi, z których jedno z pewnością prowadziły do garderoby, drugie do łazienki. W Roseworth Manor większość pokoi miało własną łazienkę,

a niektóre – jak sypialnie bliźniąt – wspólną znajdującą się pomiędzy nimi.

– Napije się pan czegoś? – zapytała uprzejmie gospodyni.

– Bardzo pani dziękuję, może odrobinę wody.

Barbara zgrabnie podniosła się z szezlonga i lekkim krokiem podeszła do niewielkiego kredensu, na którym stało kilka karafek i dzbanek z wodą.

– Jak pan widzi, nie ma tu zbyt wiele do oglądania – rzuciła, nalewając płyn do szklanki. – Równocześnie wystarczająco, żebym nie musiała zbyt często opuszczać pokoju.

– Nie lubi pani swojej rodziny? – Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Pan za swoją raczej też nie przepada, o ile mi wiadomo – odparła bez złośliwości. – Wie pan, jak to zwykle się mówić: w domu i w szkole nie ma demokracji. Ja dodałabym jeszcze: ani miłości.

– To dość zaskakujące wyznanie, lady Barbaro – zauważyłem, odbierając szklankę z jej rąk: drobnych, zakończonych smukłymi palcami jak u pianisty albo... chirurga. – Dlaczego zrezygnowała pani z kariery medycznej? – zapytałem, powodowany impulsem.

– O tym też już pan wie? Doskonały z pana detektyw. Cóż, lord Roseworth był zdania, że miejsce matki jest w domu, przy dzieciach. Liczyłam na to, że gdy Ruth i Thomas będą wystarczająco duzi, będę mogła wrócić do zawodu. Doktor Greystock chciał zrobić ze mnie współpracowniczkę.

– Ale pojawiły się bliźniaki – domyśliłem się.

– A teraz jest już za późno na wszystko – dokończyła. – Dziękuję, że oczyścił pan Ruth z podejrzeń. To dobra dziewczyna i bardzo kochała Thadeusa. Z wzajemnością, on świata poza nią nie widział i niemal oszalał z wściekłości, kiedy oświadczyła mu, że zamierza pracować w gazecie.

– Dlaczego tak mu się to nie podobało?

– Chyba uważał, że to zbyt niebezpieczny zawód. On zawsze widział w Ruth swoją małą księżniczkę, a przecież to jest mądra i zaradna kobieta.

– I odważna – dodałem, całkowicie zgadzając się z oceną Barbary. – Ale w końcu się z tym pogodził?

– Nie jestem o tym przekonana. Powołanie Ruth do zarządu w fabrykach było złośliwością typową dla mojego męża. W ten sposób upewnił się, że córka nie będzie miała czasu na dyrdymały, jak to określał, bo praca dla jego imperium to niemal służba.

– Ach tak... – Tego rzeczywiście nie wziąłem pod uwagę i jeśli było prawdą, niemal całkiem pozbawiało Ruth motywu. Wiedziałem, ile znaczy dla niej jej kariera, jak bardzo kochała dziennikarstwo. Nigdy z własnej woli by go nie porzuciła. – Lady Barbaro, chciałbym zapytać o dzień, w którym zginął lord Roseworth.

– Proszę pytać, choć wszystko już powiedziałam pana ojcu.

– Wie pani, że to mój ojciec? – zdziwiłem się.

Poza Ruth i Agathą nikt dotychczas nie zwrócił na to uwagi.

– Nazwisko Harper nie jest aż tak popularne – odparła rozbawiona – a poza tym jesteście niemal identycznie zbudowani. Pan ma oczy matki i jej łagodne rysy twarzy, ale podobieństwo w sylwetce do ojca jest uderzające. To ciekawe, że dzieci tak bardzo przypominają rodziców, prawda?

Po raz kolejny tego dnia złapałem się na myśli, że dokonałem błędnej oceny. Najpierw wobec lady Margaret, którą miałem za otepiałą staruszkę, choć była niewiele starsza od mojego ojca, a teraz Barbary, którą wyobrażałem sobie jako zamroczoną narkotykami bezwolną marionetkę. Tymczasem miałem przed sobą kobietę o bystrym umyśle, doskonałym zmysle obserwacyjnym i niepośledniej inteligencji. Nic dziwnego, że Ruth była tak bystra. W dodatku teraz, zainspirowany błyskotliwą uwagą, dostrzegłem podobieństwo między babką, matką i córką. Lady Barbara wciąż mogła uchodzić za piękność, figurę miała filigranową, idealnie proporcjonalną, długie włosy związane w luźny

kok nad karkiem niegdyś musiały być kasztanowe. Jedyne oczy miały różne, a więc Ruth musiała odziedziczyć ich rzadki kolor po ojcu. Za to Thomas miał zielone oczy matki, teraz widziałem to wyraźnie. Po kim bliźnięta miały ciemnoorzechowe?

Miękki głos przywrócił mnie do rzeczywistości.

– O co chciał pan zapytać?

– Tego dnia, kiedy zginął lord Roseworth, planowała pani wizytę u doktora Greystocka. Miała tam panią zawieźć lady Radcliffe, ale ostatecznie zrobiła to Mona. Czy to się zgadza?

– Tak, oczywiście. Agatha od rana sączyła to swoje brandy. Powiedziała mi, że zupełnie zapomniała o mojej wizycie, coś bardzo ją zdenerwowało i musiała to rozchodzić, ale zanim to zrobiła, wypila o jeden kieliszek za dużo.

– Która mogła być godzina, kiedy lady Agatha wróciła ze spaceru? Jest pani w stanie to sobie przypomnieć?

– Na pewno musiało być przed wpół do pierwszej, bo na trzynastą miałam wizytę. Może kilka minut wcześniej.

– Słyszałem też, że tego dnia Thomas poróżnił się z ojcem i doszło do ostrej sprzeczki – powiedziałem, starając się brzmieć delikatnie. – Mówił pani o tym?

– Thomas? Nie, on nie zwykł dzielić się ze mną swoimi problemami – stwierdziła niemal kwaśno. – Odkąd ożenił się z Amelią, odsunął się ode mnie. Thadeus mi powiedział – wyszeptala i spojrzała na mnie wielkimi szmaragdowymi oczami – że ktoś ujawnił zmiany w jego testamencie i Thomas zrobił mu awanturę.

– Lord Roseworth pani powiedział? – Nie mogłem w to uwierzyć, znając podejście zmarłego do małżonki. – I jak to skomentował?

– W całkowicie typowy dla siebie sposób – odrzekła, wzruszając ramionami, i sięgnęła po papierosa. – Zapali pan?

Z radością przystałem na tę propozycję. Nagle poczułem potrzebę wydmuchania dymu dla uspokojenia myśli.

– Przekazał mi – kontynuowała lady Barbara – że Thomas i Amelia zażądali od niego „odwołania tego szaleństwa”, po czym oczywiście uznał, że to moja wina, bo wychowałam pantoflarza, który ślepo słucha swojej zachłannej żony. Thadeus nie znosił Amelii, od samego początku widział w niej chciwą hienę, a ponieważ Thomas nie chciał przyjąć jego argumentów, uznał go za głupca i spisał na straty. Myśli pan, że dlaczego Thomas wciąż z nami mieszka? Tylko dlatego, że w innym wypadku Thadeus straciłby nad nim kontrolę.

– Czyli po śmierci ojca Thomas teoretycznie może się wyprowadzić?

– Teoretycznie tak, w praktyce musiałby dostać zgodę Ruth, no i pieniądze. Jako zarządzający fabryką oboje stali się posiadaczami pakietu obligacji, które prawdopodobnie warte są miliony, jednak ani jedno, ani drugie nie może się ich pozbyć bez zgody współwłaściciela. Jednym słowem ojciec...

– Zrobił ich na szaro – dokończyłem. – Uroczy człowiek.

Lady Barbara spojrzała na mnie i roześmiała się tak radośnie, że i mnie uniosły się kąciki ust.

– To chyba ostatni epitet, jaki przyszedłby mi do głowy pod jego adresem – dodała, wciąż chichocząc.

– A jakie przyszłyby od razu?

– Zrędlivy, kontrolujący, zaborczy, antypatyczny, okrutny, bezwzględny, chytry – wymieniała jednym tchem, jakby całą tę litanię zawczasu sobie przygotowała. – Nie tego pan się spodziewał?

– Rzeczywiście, trochę mnie pani zaskoczyła – przyznałem, odwiedzając się szczerością. – Dlaczego go pani nie zostawiła? Wiele małżeństw decyduje się na rozwód, a przecież pani ma własne pieniądze. Dalrymple'owie zawsze dbali o bezpieczeństwo dzieci. Pani matka także.

– Ach, oczywiście! – Znow się roześmiała. – Gdyby *maman* nie miała pieniędzy, Thadeus raczej nie pozwoliłby jej tu mieszkać, znalazłby jakiś dom spokojnej starości i pozbył się kłopotu. Problem w tym, panie

Harper, że lord Roseworth nie chciał słyszeć o rozwodzie. Od lat usiłowałam go do tego przekonać, jednak konsekwentnie odmawiał.

– Przecież już raz się rozwiódł.

– I właśnie dlatego nie mógł sobie pozwolić na kolejny skandal. Wie pan, mimo postępu czasu nasze społeczeństwo wciąż jest skostniałe. Większość nadętych arystokratów najchętniej odebrałaby kobietom prawo do głosowania, już nie mówiąc o buncie przeciwko dekolonizacji Azji – tłumaczyła. – I niech pan tylko spróbuje coś powiedzieć o uwolnieniu Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Wie pan, co mój świętej pamięci małżonek powiedział na wieść, że niejaka Margaret Thatcher zamierza startować w nadchodzących wyborach powszechnych? – Zawiesiła głos, po czym dopowiedziała: – Że świat się skończy, kiedy kobiety zaczną decydować o tym kraju. Rozwody pośród tych bufonów uznawane są za słabość charakteru, ujma na honorze. Poza tym mało kto pamiętał, że mój mąż miał wcześniej rodzinę, to dobrze strzeżony sekret. Dopiero teraz, po jego śmierci, dziennikarze dokopali się do tej informacji, ale przecież to stare dzieje.

Słuchając tych słów, zdałem sobie sprawę, że Barbara bezwiednie poruszyła kwestię, która od kilku chwil próbowała przebić się do mojej świadomości. Przeszłość lorda Thadeusa Rosewortha była bardzo mało znana, tak jakby ten człowiek urodził się dopiero po powrocie ze Stanów Zjednoczonych. Cała moja wiedza na ten temat pochodziła od Ruth, a przecież ona także nie znała wszystkich szczegółów.

– Co pani o tym wiadomo? – zapytałem, chwytając się doskonałej okazji.

– O jego poprzednim życiu? Kompletnie nic. Nigdy nie był chętny, by o tym opowiadać, a o Monie dowiedziałam się w dniu ślubu. Słyszał pan zapewne, jak wyglądała aranżacja naszego małżeństwa? – spytała, rozbawiona widokiem moich uniesionych aż po linię włosów brwi. – Nie słyszał pan? To niech pan posłucha.

I słuchałem. O tym, jak zaledwie siedemnastoletnia Barbara została postawiona przed faktem oddania jej ręki trzydziestoosmioletniemu

Thadeusowi, człowiekowi bajecznie bogatemu. Nawet wówczas niewiele było o nim wiadomo, a jedynym, co interesowało ojca Barbary, była liczba posiadanych przez przyszłego zięcia akrów ziemi i wielkość domu, w jakim zamieszka córka. Transakcji dokonano błyskawicznie, a jedynie dzięki zapobiegliwości lady Margaret przed ślubem spisano intercyzę, która zabezpieczała fundusz powierniczy dziewczyny, ustanawiając go wyłącznie jej własnością. Tego, że Thadeus spędził sporo czasu w Ameryce, młodzianka małżonka domyśliła się po jego akcencie, którego przez kilka lat nie udało mu się pozbyć. Na jej pytania zawsze odpowiadał zdawkowo, twierdząc, że tamto życie zostawił bezpowrotnie za sobą. Nigdy też nie poznała żadnego członka jego rodziny, a z czasem przestała pytać, domyślając się, że stoją za tym jakieś tragiczne wydarzenia.

Dzwonek do drzwi odezwał się dokładnie w tej samej chwili, w której lady Roseworth oświadczyła, że po raz pierwszy spotkała pasierbicę, gdy ta przyjechała na zaproszenie Ruth i wzięła udział w przyjęciu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin przyrodniej siostry.

- Zęby mnie bolą od tego diabelskiego gongu - wycedziła Barbara, krzywiąc się niemal nieludzko. - Thadeus kazał go zamontować, żeby zawsze słyszeć w gabinecie, że ktoś przychodzi. Tamten pokój świetnie izoluje dźwięki w obie strony - dodała. - Spodziewamy się gości?

Byłem ciekaw, kto mógł zjawić się bez zapowiedzi. Z pewnością nie był to nikt bliski rodzinie, bo ci przecież nie używali dzwonka.

Pomogłem wstać mojej gospodyni, która również wyraziła chęć udania się do salonu. Byłem pewien, że się przebierze, tymczasem ona jedynie poprawiła włosy i ciasniej zawiązała pasek szlafroka.

- Jestem we własnym domu - parsknęła śmiechem na widok mojej zdumionej miny - i w dodatku nikt już nie może mi powiedzieć, co mi wolno, a czego nie. Idziemy?

Podąłem jej ramię, stwierdzając z niemalym zaskoczeniem, że ta kobieta nagle zaczęła przypominać mi matkę. Charlotte także nie

znosiła, kiedy ktokolwiek próbował wpływać na jej zdanie, mówić, co i jak ma robić, dlatego też nie wytrzymała życia u boku ojca. Ona jednak postawiła na swoim, dostała rozwód. Lady Roseworth zaś była w o wiele gorszej sytuacji. I znalazła inne rozwiązanie.

Nim otworzyłem drzwi, zatrzymałem się gwałtownie i odwróciłem w stronę kobiety.

- Lady Roseworth, policja wie o tym, że truła pani męża - powiedziałem.

- Ach tak? Cóż poradzić, nie ma zbrodni doskonałej.

- Nie jest pani zmartwiona?

- Bynajmniej, doskonale znałam ryzyko. Jednak uważam, że było warto, i gdybym musiała, zrobiłabym to jeszcze raz. Aresztujecie mnie?

Przez kilka sekund zastanawiałem się nad tym, czy powinienem powiedzieć jej prawdę. W końcu pokręciłem głową.

- Ruth powiedziała o pani chorobie, przykro mi.

- Czyli to akt łaski dla umierającej kobiety? - zażartowała.

- To nie atropina zabiła pani męża, udowodnienie pani winy jest zatem niemalże niemożliwe.

Oczy kobiety rozszerzyły się, jakby właśnie zakropiono je atropiną.

- Jak to: nie atropina go zabiła?

- Patolog stwierdził, że śmierć nastąpiła wskutek zatrucia eseryną - poinformowałem - atropina jedynie powodowała przykre dolegliwości.

- Eseryną? Jest pan pewien?

- Tak wynika z raportu. Dlaczego pani tak zbladła?

Ścisnąłem mocniej jej rękę, bo wyglądała, jakby za chwilę miała się przewrócić.

- Czy pan wie, że atropina i eseryna działają na siebie wzajemnie jak antidotum?

Rzeczywiście coś podobnego powiedział Riley, jednak moja wiedza dotycząca chemii i farmakologii była zaledwie podstawowa, żeby nie powiedzieć: zbyt mała.

- Co pani przyszło do głowy? - zapytałem, zrozumiawszy, że ta wiadomość ma dla Barbary kolosalne znaczenie.

- Jeżeli ktoś wiedział, że w organizmie Thadeusa znajduje się atropina, mógł uznać, że użycie eseryny zniesie skutki belladony - wyjaśniła, drżąc na całym ciele. - I jeśli błędnie obliczył dawkę, a przecież nie mógł wiedzieć, ile trucizny znajduje się we krwi Thadeusa, zupełnie niechcący mógł przedawkować i... i...

- I go zabić - dokończyłem.

Tak, to było prawdopodobne i możliwe rozwiązanie. Pozostawało jednak pytanie: kto poza Barbarą mógł mieć taką wiedzę medyczną i wiedział o tym, że lord Roseworth był truty przez żonę?

Odpowiedź nasunęła mi się niemal natychmiast.

- Tego dnia lorda odwiedził doktor Greystock - powiedziałem, siłą się na spokój, choć wszystko się we mnie gotowało. - Ruth słyszała wymianę zdań między nimi. Pani mąż był świadom, że padł ofiarą otrucia, a doktor namawiał go, by zgłosił to służbom.

- Ach, Thadeus z pewnością odmówił? - domyśliła się kobieta. - Mówiłam panu: nic się nie liczyło, tylko zachowanie pozorów. Brudy należało prac w własnym domu, a problemy zamiatać pod dywan i upychać w szafach. Ale myli się pan: doktor Greystock by go nie zabił - dodała, zrozumiawszy moją teorię. - To wspaniały lekarz i jeśli to on chciałby użyć eseryny, przyszedłby do mnie i zapytał o dawkę.

Nie mogłem w to uwierzyć.

- Tak po prostu by przyszedł i zapytał, ile trucizny podała pani jego pacjentowi?

- Właśnie tak by zrobił. Doktor Greystock i ja... przyjaźnimy się od wielu lat, właściwie od dnia, kiedy objął posadę lekarza w naszym hrabstwie. Proszę mi wierzyć, że to nie on.

Patrzyłem jej w oczy jeszcze przez chwilę, ale nie dostrzegłem w nich niczego poza szczerością. Kiedy dotarli do nas odgłosy kłótni, ruszyliśmy na dół. Tuż przed schodami niemal zderzyliśmy się z bliźniętami, które także musiały zaalarmować krzyki. Ktoś -

ewidentnie płci męskiej – zdawał się wygłaszać pretensje w niezbyt parlamentarny sposób. Puściliśmy dzieci przodem i zeszliliśmy zaraz za nimi. Nieświadomy, że to robię, przyglądałem się pałakowatym nogom Claire i szczupłej, niemal chudej, budowie George’a, tak różnej od Thomasa. Oboje mieli też ciemne włosy, choć żadne z rodziców nie mogło się takimi pochwalić. Wiedziałem, że niektóre cechy dziedziczy się co kilka pokoleń, jednak Roseworth miał urodę typowego Szkota, a lady Barbara wyglądała jak wszystkie kobiety z rodziny Dalrymple’ów, wśród której nie potrafiłem przypomnieć sobie nikogo o ciemnych włosach i niemal czarnych oczach.

Kiedy znaleźliśmy się na dole, odgłosy awantury stały się już całkiem wyraźne. Udało mi się rozróżnić wyraźnie poirytowany głos Ruth, męski nieznan mi dyszkant i tubalny bas mojego ojca, który starał się przekrzywić oboje.

– Co tu się dzieje?! – krzyknąłem, żeby mnie usłyszeli.

Ruth i wysoki, przystojny młodzieniec odwrócili głowy w moją stronę.

– To on?! – wrzasnął mężczyzna, pokazując na mnie palcem. – To ten łotr, który ukradł to, co do mnie należy?!

– Nikt niczego ci nie ukradł, Christopherze! – syknęła Ruth. – Poza tym ja nie jestem rzeczą!

– To ty jesteś narzeczoną lady Roseworth, o którym trąbi cała okolica? – ryknął do mnie typek, niegrzecznie ignorując Ruth.

– Być może – odparłem, szykując się do ewentualnej obrony. – W czym problem, kolego?

– W czym problem? W czym problem?! – Jego twarz pokryła się purpurą, a nozdrza niebezpiecznie chodziły. – Ano w tym, kolego, że nie kradnie się cudzych narzeczonych!

Zdębiałem. Właściwie to wszyscy zgromadzeni w salonie zastygli ze wzrokiem utkwionym w rozpalonym wściekłością obliczu.

– Co pan wygaduje? – zapytałem, odzyskawszy głos. – Ruth ani słowem nie wspomniała, że jest zaręczona.

– Bo nie jestem! – wykrzyknęła, a jej głos przeszedł niemal w pisk. – Ten idiota coś sobie wymyślił, a teraz przychodzi tu robić awantury. Powinno się go zamknąć!

– Jak możesz tak mówić, Ruth? – Tym razem przez twarz mężczyzny przemknął grymas bólu. On naprawdę czuł się zraniony! – Przecież... byłaś tam, razem ze mną. Twój ojciec... ustaliliśmy... Ja... Ruth, do cholery! Masz zostać moją żoną!

– Bynajmniej nie zamierzam!

– Wszystko zostało ustalone, zgodziłaś się, powiedziałaś... powiedziałaś, że uszanujesz wolę papy – upierał się tamten, ale już z wyraźnie mniejszą determinacją.

– Niczego takiego sobie nie przypominam i nie zostanę twoją żoną – skwitowała całkiem uspokojona. – Wyjdę za Jonathana, bo go kocham, a on kocha mnie.

To powiedziawszy, podeszła do mnie i uwiesiła mi się na ramieniu.

Atmosfera wciąż była gęsta, a szok zawisł nad naszymi głowami. Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż w końcu młodzieniec całkiem opadł z sił, nogi się pod nim ugięły i rozszochał się jak małe dziecko. Bernard wykazał się refleksem, podstawiając mu pod siedzenie krzesło, ale cała scena wyglądała tak absurdalnie, że z trudem mogłem zaakceptować jej prawdziwość.

– Ruth, możesz to wyjaśnić? – poprosiłem szeptem. – Kim jest ten człowiek?

– To Christopher Talbott – powiedziała natychmiast Claire. – Od dawna stara się o rękę Ruth. W końcu udało mu się przekonać tatusia i ma się z nią ożenić.

– Nie wygaduj bzdur, Claire! – oburzyła się jej starsza siostra. – Nikt z nikim nie będzie się żenił!

– Jak to nie? Przecież tatuś wyraźnie ci powiedział, że jeśli nie wyjdiesz za Christophera, to możesz zapomnieć o zarządzaniu fabrykami – upierała się dziewczynka, a ja poczułem, jak Ruth zadrżała.

– To nieprawda, Claire! Dlaczego kłamiesz?!

– Kiedy to było? – zwróciłem się do nastolatki.

– Dzień przed tym, kiedy zginął tatuś. Christopher przyniósł piękne kwiaty i tatuś zawołał Ruth do gabinetu. Trochę się kłócili, ale w końcu Ruth się zgodziła, wyszła z kwiatami, a tatuś został jeszcze w gabinecie z Christopherem i podpisywali jakieś papiery.

Przypomniałem sobie o koszu z kwiatami stojącym na biurku lady Roseworth i odruchowo zerknąłem na nią. Uchwyciwszy moje spojrzenie, skinęła głową i spuściła wzrok.

Mój ojciec po raz pierwszy zabrał głos.

– Ilu w końcu ma pani narzeczonych, milady?

Ruth wyglądała, jakby chciała się zapaść pod ziemię. Po białych policzkach spływały łzy, choć znając ją, pewnie płakała ze złości.

– Tak naprawdę? Żadnego – wyszczała. – Nie mam i nie chcę mieć żadnego narzeczonego. I na pewno nigdy nie pozwolę na to, żeby ktokolwiek decydował o moim życiu. Wybacz, mamo.

Lady Roseworth uśmiechnęła się smutno i wyciągnęła rękę w stronę córki. Ruth złapała ją, po czym przytuliła do policzka.

– Lady Ruth, panie Talbott, Jonathanie – powiedział nadinspektor – chciałbym porozmawiać z państwem na osobności.

Zanim udałem się do gabinetu, chwyciłem Claire za ramię i ukucnąłem, by znaleźć się na linii jej wzroku.

– Powiedz mi, mój Watsonie, skąd wiesz, o czym twój tata rozmawiał tamtego dnia z Christopherem i Ruth? – zapytałem szeptem.

– Bo podsłuchiwałam, ale nie mów nikomu.

– Absolutnie! Detektyw nigdy nie zdradza swoich metod i źródeł.

– I następnego ranka też się kłócili – dodała konspiracyjnym szeptem. – Po tym, jak doktor Greystock wyszedł, Ruth była u tatusia i bardzo się na siebie pogniwali.

– O Christophera?

– Uhm. – Energicznie pokiwała głową. – Ale też o jakiś list.

Przyglądałem się jej w milczeniu, mocno trzymając za ramiona, i usiłowałem dostrzec oznaki kłamstwa. Jej szczupła blada twarz była poważna i skoncentrowana.

- Claire - rzekłem w końcu z naciskiem - zastanawia mnie, w jaki sposób mogłaś podsłuchać tatę, Ruth i Christophera, skoro gabinet świetnie izoluje dźwięk.

Tym razem trafiłem celnie. Zbyt długo szukała odpowiedzi, aż w końcu powiedziała coś o podsłuchiwanie przez drzwi. Wiedziałem, że to nie mogła być prawda, bo Roseworth miał fioła na punkcie dyskrecji. Udałem jednak, że uwierzyłem, a nawet zagrałem podziw.

Kiedy opuszczałem salon, uchwyciłem spojrzenie lady Radcliffe, która przez cały czas nie odezwała się ani słowem. To spojrzenie spoczywało nie na mnie, lecz na Claire, która zupełnie nieprzejęta zaistniałą sytuacją usiadła do stołu i zajęła się liczeniem monet znajdujących się w stawce przerwanej przez najście Talbotta rozgrywki.



Rozdział 19

- Skończ to absurdałne przedstawienie, Christopherze, i powiedz prawdę! - syczała Ruth do Talbotta, a gdyby spojrzenie mogło zabić, młodzian już dawno byłby martwy.

Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie. Mój ojciec wspierał się o biurko, więc wyglądaliśmy jak dwaj bramkarze.

- To ty powiedz prawdę i przyznaj, że zgodziłaś się za mnie wyjść!

- Nie w tym życiu! - warczała dziewczyna. - Choćbyś teraz na moich oczach zamienił się w szacha Persji, nigdy bym za ciebie nie wyszła!

- Jak rozumiem, nie istnieje żadne potwierdzenie ustaleń między państwem? - Ton mojego ojca wydał mi się odrobinę rozbawiony.

- Nie istnieją, bo żadnych ustaleń nie było! - upierała się Ruth, wściekła jak osa. - Christopher dostał kosza, ale z jakiegoś powodu zrozumiał go na opak.

- Czyli spotkanie miało miejsce? - dopytywał nadinspektor.

- Widziałem ten kosz z kwiatami - wtrąciłem. - Wylądował u lady Barbary, więc skłaniam się ku wersji Ruth.

- Dziewczynka mówi co innego - zauważył Jack.

- Kłamie - powiedzieliśmy równocześnie ja i moja udawana narzeczona.

- Kłamie? Dlaczego miałyby kłamać?

- Tego jeszcze nie wiem - odparłem - ale z całą pewnością nie mogła podsłuchać żadnej rozmowy, która odbyła się w tym gabinecie przy zamkniętych drzwiach. A nie sądzę, by ktokolwiek zostawił uchylone drzwi w domu, gdzie ściany mają uszy. Ruth, czy Claire już wcześniej robiła takie rzeczy?

– Masz na myśli kłamstwo? Owszem, jak każdy dzieciak, ale zwykle były to niewinne rzeczy w stylu wypierania się, że zwinęła ciasteczko albo stłukła szklankę. Nigdy nie zmyślała, a przynajmniej ja o niczym takim nie wiem.

– A pan, panie Talbott? – zwróciłem się do gościa, który wyglądał jak kłębek nerwów.

– Co ja?

– Dlaczego pan kłamie? Czyżby chciał pan wykorzystać to, że nieżywi nie mogą się bronić?

W odpowiedzi spuścił oczy na czubki butów, a dłonie zacisnął w pięści.

– Ja wcale nie kłamię – szedł w zaparte. – To ona teraz wszystko przeinacza. Powiedz prawdę, Ruth! Przecież wiesz, jak było! Mieliśmy ogłosić zaręczyny na przyjęciu! Przecież... przecież wszystko ustaliliśmy.

– Milcz, Christopherze! – warknęła Ruth. – Nie pogrążaj się bardziej.

– I dlaczego spiskuje pan z dziewczynką? – Ja także nie miałem dla niego ani trochę litości. – Czym ją pan przekupił, żeby wygadywała te bzdury?

Tym razem milczał, ale wiedziałem, że jego opór wkrótce minie. To nie był typ zatwardziałego przestępcy, tylko zakochany bez pamięci bęcwał, który w dodatku został złapany za rękę w trakcie próby kradzieży cukierka.

– Jak pan sobie życzy, odpowie pan na posterunku – rzuciłem, wzruszając ramionami. – Zostawiam pana w rękach najlepszego detektywa w kraju, ja muszę coś pilnie zrobić.

Ojciec skinął głową, zadowolony z przebiegu sytuacji, i puścił Ruth wolno. Wyszliśmy razem, jednak żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Nie chciałem od razu napadać na Claire, musiałem uspić jej czujność, wiedziałem jednak, z kim powinienem się rozmówić jak najszybciej.

- Panno Hardcastle – przerwałem prowadzone szeptem rozmowy w salonie – czy ma pani ochotę na spacer?

Joyce Hardcastle sprawiała wrażenie, jakby czekała na to zaproszenie niemal tak niecierpliwie jak Christopher Talbott na przyjęcie oświadczyn przez Ruth. Z tą drobną różnicą, że jej nadzieja została spełniona bez uciekania się do kłamstw i knowań.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami, prowadzącymi prosto na plażę, a już w połowie drogi oboje zdjęliśmy buty. Upewniwszy się, że jesteśmy odpowiednio daleko i nikt za nami nie podąża, zreferowałem asystentce finał zaskakującej wizyty Talbotta i swoje podejrzenia odnośnie do Claire.

- Mała ewidentnie kłamie, panie Harper – skwitowała Joyce. – Na moje oko z nią jest coś nie tak. Która czternastolatka interesuje się truciznami i morderstwami?

- Zapewne nie ma ich zbyt wielu – potwierdziłem – jednak to jeszcze nie jest zbrodnia. O wiele bardziej intryguje mnie to, że kłamstwo przyszło jej z taką łatwością. A co, jeśli w innych kwestiach również kłamała?

- To możliwe. A co jeszcze mówiła?

Opowiedziałem o informacji na temat strzału, który usłyszały bliźniaki.

- I nikt poza nimi tego nie zarejestrował? – upewniła się panna Hardcastle. – To raczej wątpliwe, chyba że znajdowałiby się pod oknem gabinetu. Ale wtedy mogliby nie tylko usłyszeć, ale i zobaczyć mordercę. Według głównej teorii uciekał przez okno, bo drzwi gabinetu były zamknięte od środka.

- Strzał padł po śmierci, co z tego może wynikać?

Joyce zamyśliła się na kilka minut. Nie przeszkadzała mi ta cisza; morze szumiało, mewy krzyczały w oddali – to była całkiem przyjemna odmiana po głośnym Roseworth Manor.

- Moim zdaniem – odezwała się w końcu panna Hardcastle – najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem jest upozorowanie

zabójstwa kojarzonego z gangami. Sam pan przyznał, że to wygląda jak egzekucja.

– To by oznaczało, że Roseworth miał jakieś porachunki z gangami – powątpiewałem.

– Na to także mam teorię, tylko nie chciałabym pana urazić.

Zatrzymałem się gwałtownie i spojrzałem jej w oczy. Była tak wysoka, że nie musiałem szczególnie mocno opuszczać głowy.

– Dlaczego miałyby mnie pani urazić?

– Bo mężczyźni zawsze są bardzo przeczuleni na punkcie swoich kobiet, a raczej na punkcie swojego wyobrażenia o kobietach – odparła beznamiętnie, jakby informowała mnie o cenie cukru. – Mam teorię, która wiąże pana żonę, lorda Rosewortha i gangsterów, ale czy to w ogóle jest do udowodnienia? Nie mam pojęcia, to pan jest detektywem – zakończyła, rozkładając ręce. – To co, mówić?

W tamtej chwili chciałem udusić przemądrzałą pannę Kabanos, a równocześnie szalenie pragnąłem usłyszeć tę teorię, choć wiedziałem, że wcale mi się nie spodoba. Kto jednak powiedział, że życie ma nam się podobać?

– Zamieniam się w słuch – wyszeptałem i ruszyliśmy dalej.

Joyce Hardcastle opowiedziała mi historię, od której zjeżyły mi się włosy na całym ciele.

*

Kiedy wróciliśmy do Roseworth Manor, po Christopherze Talbotcie nie było już śladu, a mój ojciec rozmawiał z lady Barbarą. Prawdopodobnie przekazywał jej te same informacje, które wcześniej uzyskiwała ode mnie. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

W salonie nie zastaliśmy nikogo, Bernard poinformował nas o rozmowie prowadzonej w gabinecie, udaliśmy się więc – ja do bawialni, moja asystentka do pomieszczeń służbowych – na poszukiwanie osób, z którymi zamierzaliśmy się rozmówić. Panna Hardcastle wpadła na pomysł rozpytania służby, zapewniając mnie, że

zna niezawodny sposób na rozwiązanie im języków. Wolałem nie wiedzieć, co to za sposób, ale podejrzewałem, że na rewersie nosi wizerunek Elżbiety II. Miałem również nadzieję, że teoria, jaką wysnuła w sprawie śmierci Rosewortha panna Hardcastle, okaże się jedynie mrzonką nadpobudliwego umysłu fanki kryminalów. Wydawała mi się tak absurdalna, że skutecznie wypierałem ją z głowy.

W bawialni zastałem Agathę, na co właśnie liczyłem, a także Thomasa i Amelię, których obecność również znakomicie wpisywała się w mój plan. Podszedłem do kanapy i opadłem na nią ciężko jak człowiek, który właśnie stracił resztkę sił.

- Trudny dzień - odezwała się lady Radcliffe. - Tyle emocji dawno nie przeżyliśmy.

- Nie wygląda pani na szczególnie tym zdegustowaną - zauważyłem.

- Bo wcale nie jestem! Wreszcie coś się dzieje!

Zerknąłem na Thomasa, który przewrócił oczami, a siedząca obok niego Amelia skrzywiła się, przez co jej niezbyt urodziwa twarz wyglądała wprost odpychająco.

- Wiedział pan o testamencie wcześniej, prawda? - rzuciłem i czekałem na reakcję arystokraty.

Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Ze stoickim spokojem popijał drinka i patrzył na ścianę wytapetowaną w ohydne żółte paski.

- Wiedział pan i nawet pokłócił się o to z ojcem, są na to świadkowie - ciągnąłem, właściwie nie wiedząc po co. - A pani, Amelio, wydzwaniała do notariusza. Co chciała pani w ten sposób osiągnąć?

W odróżnieniu od swojego męża lady Roseworth nie potrafiła zapanować nad twarzą. W jej spojrzeniu pojawiła się nawet nie wrogość, tylko wręcz nienawiść.

- Czy pan w ogóle ma pojęcie, jakie to uczucie mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, którym się gardzi? - wysyczała jak prawdziwa żmija. Nawet oczy zwięziły jej się w małeńkie szparki.

- Mogli państwo się wyprowadzić, przecież nikt was tu siłą nie trzymał - odrzekłem.

- Ciekawe dokąd, panie mądralo, skoro mieszkanie w Mayfair okupuje cudowna córeczka tatusia.

- O, naprawdę uważa pani, że w Londynie nie ma domów do wynajęcia? Albo do kupienia? - kpiłem, napawając się rosnącą wściekłością tej próżnej, leniwej i bezczelnej kobiety.

- Dopóki mieszkałem w Roseworth Manor, ojciec wypłacał mi dużą pensję i nie musiałem ponosić wydatków na mieszkanie - odezwał się w końcu Thomas. - Gdybym się stąd wyprowadził, nie miałbym za co utrzymać siebie i Amelii.

- Więc wolał pan cierpieć i zmuszać do tego żonę, której pański ojciec nienawdził, niż odejść, znaleźć sobie pracę i zacząć żyć na własny rachunek? Prędzej czy później otrzymałby pan swoją część spadku.

- Pan żartuje? - Roześmiał się niemal histerycznie. - Gdybym się wyprowadził, Ruth dostałaby wszystko. Myśli pan, że dlaczego wciąż przyjeżdżała do Mundesley i udawała kochającą córeczkę? Tego człowieka nie dało się kochać, panie Harper.

- Stary, wredny, obrzydliwy, złośliwy dziad! - wyrzuciła z siebie Amelia. - Zasłużył na to, co go spotkało. Szkoda tylko dzieci, które traktował jak zło konieczne.

- Mówiła pani, że Ruth była jego oczkiem w głowie.

- Bo była - odezwała się Agatha. - Thomas też był, dopóki nie postawił na swoim, czyli ożenił się z Amelią. Od tamtej pory Thadeus traktował go jak człowieka gorszej kategorii.

- Bo nie polubił synowej?

Trudno mi było w to uwierzyć. Cokolwiek bym mówił na temat własnego ojca, mimo wielu, bardzo wielu dzielących nas różnic, nawet kiedy uparłem się poślubić dziewczynę z wyższych sfer, nigdy nie dał mi odczuć, że jestem kimś gorszym.

- Bo nienawdził mnie od samego początku. Nigdy nic mu nie zrobiłam, znosiłam jego zrzęczenie, wredne docinki, złośliwości i nieustanną krytykę. A on mnie nienawdził.

Jeszcze raz przyjrzałem się uważnie Amelii Roseworth. Kiedy się nie krzywiła, nie wrzeszczała i nie nadymała jak indor, wyglądała całkiem zwyczajnie. Ani ładna, ani brzydka, zupełnie pospolita. To samo zresztą mógłbym powiedzieć o Monie. I kiedy tak się zastanawiałem, nagle zauważyłem podobieństwo pomiędzy obiema kobietami. Podobne łuki brwiowe, ten sam kształt ust. Może nie były identyczne, ale na tyle podobne, żeby komuś, kto dobrze znał twarz jednej, ta druga z nią się kojarzyła.

- Ja chyba się domyślam powodu tej nienawiści - powiedziałem z uśmiechem. - Nie ma pan wrażenia, Thomasie, że pańska żona przypomina pana przyrodnią siostrę?

- Tak, nawet mówiłem o tym Amelii - stwierdził zaskoczony.

- Wydaje mi się, że Mona jest podobna do matki, a to oznacza, że pani, Amelio, przypominała Thadeusowi jego pierwszą małżonkę - wyjaśniłem. - Być może budziła w nim tak silne uczucia, że kiedy patrzył na panią, wciąż coś się w nim odzywało.

Usłyszałem chichot lady Radcliffe, która kręciła głową.

- Wielkie nieba, a to dopiero! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że syn ma identyczny gust jak ojciec. Ach, te geny!

- Z panią też chciałbym porozmawiać, lady Agatho - stwierdziłem poważnie, z zadowoleniem widząc, że napięcie z twarzy Roseworthów zniknęło.

- O czym konkretnie, Jonathanie?

- O tym, o co pani kłóciła się z Thadeusem tamtego dnia. I chciałbym także ustalić, która to mogła być godzina.

Sądziłem, że spróbuje się wyłgać, jednak lady Radcliffe zachowywała się, jakby było jej wszystko jedno.

- Było na pewno przed południem, bo gdy spotkałam się z Moną i Adalind, usłyszałam bicie dzwonów. Poszłam do Thadeusa z prośbą o pożyczkę, ale mi odmówił.

- Nie mówiła ciocia, że potrzebuje pieniędzy! - Thomas niemal podskoczył na fotelu.

- Wcale nie potrzebuję, to nie dla mnie – prychnęła seniorka. – Nie żebym była zaskoczona, wszak ten stary sknerus tak bardzo bał się trwonienia pieniędzy, że nawet pensa nie trzymał w domu.

- Jeśli nie dla pani, to dla kogo? – Ta kwestia zainteresowała mnie może bardziej, niż powinna.

- Dla Mony. No co tak się gapiacie? Dziewczyna chciała wyprodukować film, potrzebowała pięćdziesięciu tysięcy funtów, które szybko by się zwróciły. Nawet jej odmówił. Własnej córce!

- Dlaczego więc miał nie odmówić pani?

- Bo go zaszantażowałam – odparła bez cienia skruchy.

- Czym?! – zapytaliśmy wszyscy troje.

- Powiedziałam mu, że jeśli nie da mi tych pieniędzy, to rozpowiem wszystkim służącemu jego najpilniej strzeżony sekret.

- A jaki to sekret?

Czy ona mogła być bardziej irytująca?

- Nie mam pojęcia, blefowałam. Dałam mu dwadzieścia cztery godziny, ale jak widać, nie udało mi się niczego wyegzekwować.

- Czy lord Thadeus uległ szantażowi? – zapytałem, tknięty nagłym podszeptem intuicji. – Zgodził się dać pani te pieniądze?

- Owszem, zgodził się – odrzekła ostrożnie Agatha i nagle otworzyła szeroko oczy. – Myśli pan, że on sądził, że ja naprawdę znam jakiś jego wielki sekret? I bał się, że go rozplotę po okolicy?

- Tak właśnie podejrzewam.

- Ale... ale to by znaczyło... – Thomas pomału dochodził do właściwych wniosków.

- Że twój tatuś był paskudnym kłamczuszką – dokończyła za niego Agatha. – I musiał zrobić coś tak brzydkiego, że było warte zapłacenia mi pięćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów.



Rozdział 20

Zaczynałem odnosić wrażenie, że zupełnie niechcący uruchomiłem lawinę. Jakbym w najmniej odpowiednim momencie podniósł jeden kamyczek, poszukując pod nim klucza do rozwiązania zagadki. Trucizny, szantaże, sekrety, kłamstwa – a kto wie, co jeszcze skrywała ta piekielna rodzina? Rozplątując jeden supeł, dochodziłem do dwóch kolejnych; to było niemal jak walka z hydrą, której głowy odrastają pomnożone. Na domiar złego wszystko, co dotychczas udało mi się ustalić, mogło równie dobrze być kłamstwem. Brakowało mi dowodów, solidnych faktów, wokół których mógłbym zbudować logiczną teorię.

Opuściwszy salonik, udałem się do pokoju Ruth, jednak nie zastałem jej tam. Nie było jej także w bawialni na parterze, więc zajrzałem do biblioteki. Strzał okazał się trafiony – zastałem ją pogrążoną w lekturze w głębokim fotelu, który kilka godzin wcześniej zajmowało jej rodzeństwo.

– Ruth? – zagadnąłem cicho, nie chcąc jej wystraszyć.

– Hm? – Podniosła na mnie nieobecny wzrok i uśmiechnęła się ciepło. – Cześć. Ukryłam się tutaj. To zawsze był mój azyl, nikt poza Claire nie zagląda do biblioteki, a ona ostatnio woli myszkować po domu.

– I podsłuchiwać albo konfabulować – dodałem cierpko. – Rozmawiałaś z nią?

– Nie – zaprzeczyła natychmiast. – Claire i George są... wyjątkowi. Bardzo wrażliwi, czasem zupełnie nieprzewidywalni, ale na pewno nie mieli niczego złego na myśli. Ot, wybujała wyobraźnia.

– Ruth, nie możesz usprawiedliwiać takich rzeczy – próbowałem łagodnie tłumaczyć, ale przerwała mi ze złością.

– To tylko dzieci! W dodatku dzieci z problemami, nienadające się do nauki w dużych grupach. Od urodzenia byli słabi, rozwijali się wolniej niż rówieśnicy, a jeszcze choroba Claire...

– To hemofilia? – zapytałem.

– Tak, zaczęła się, gdy Claire była malutka. Zdarzało się, że moja siostra wyglądała, jakby wiecznie była poobijana, a to były wylewy podskórne. Mama wciąż się bała, że dojdzie do zakrzepicy, chucha na nią i dmucha. Wszyscy obchodzimy się z nimi jak z jajkiem, to nasze małe kochane krasnale.

– Być może naprawdę nie miała niczego złego na myśli, jednak jej słowa mogły być brzemiennie w skutkach – stwierdziłem łagodnie. – Powinnaś z nią porozmawiać.

– Dobrze, ale chodź ze mną – poprosiła. – Ona cię uwielbia, jest w ciebie zapatrzona i wciąż powtarza, że chce być detektywem tak jak ty.

Zgodziłem się, choć niechętnie. Byłem przekonany, że w mojej obecności Claire znów zacznie grać, w końcu nawet złapana na kłamstwie nie przyznała się do konfabulowania. Nabierałem podejrzeń, że z tą dziewczynką jest zdecydowanie coś nie tak. Zresztą o George'u mógłbym powiedzieć to samo, a jego świdrujący zimny wzrok przyprawiał mnie o gęsią skórkę.

– Poczekaj tu na mnie – powiedziałem, układając w głowie plan działania. – Muszę zamienić kilka słów z Moną i wrócę do ciebie razem z Claire.

Nie tyle z Moną, ile z Adalind miałem do pogadania i liczyłem na to, że chociaż ona powie mi prawdę. Ruszyłem prosto do ich sypialni, dedukując jej lokalizację spośród pokojów, w których jeszcze nie byłem. Lady Margaret musiała być blisko córki, a Evelyn tuż obok bliźniąt, zostawał zatem pokój położony naprzeciwko sypialni Ruth. Zapukałem trzykrotnie, ale nikt się nie odezwał. Z wnętrza dochodziły łagodne dźwięki muzyki i nawet przez drzwi byłem w stanie wyczuć delikatny

aromat wanilii, który otaczał Adalind. Po kilkunastu sekundach otworzyła mi uśmiechnięta aktorka.

- Zastanawialiśmy się, kiedy pan do nas wpadnie - przywitała mnie. - Mono, kochanie, pan Harper chciałby wejść.

- Niech wchodzi, śmiało - usłyszałem nieco przytłumiony głos kobiety, po czym domyśliłem się, że jest w łazience.

Adalind otworzyła drzwi szerzej i gestem zaprosiła mnie do środka. Musiałem przyznać, że już w pierwszej chwili pokój zrobił na mnie przyjemne wrażenie. Być może była to zasługa słodkiego, romantycznego zapachu, a może lawendowych ścian i kolorowych poduszek, które walały się niemal wszędzie. Na wielkim łóżku z baldachimem leżały ich całe sterty.

- Podoba się panu? - zapytała Mona, wychodząc z łazienki.

Miała na sobie gruby męski szlafrok, a włosy owinęła ręcznikiem. Nie wyglądała na skrępowaną moją obecnością, zresztą dlaczego miałyby tak się czuć? Była w wieku, kiedy kobieta doskonale wie, czego chce, i już dawno przestała przejmować się bzdurnymi konwenansami. Tym bardziej że mężczyźni zupełnie jej nie interesowali.

- Jest bardzo klimatycznie - stwierdziłem zgodnie z prawdą. - Widać od razu artystyczne zacięcie i wysmakowany gust.

- Och, pochlebca! - zachichotała Adalind i puściła mi oko. - Jest pan zapewne jednym z nielicznych mężczyzn, którzy potrafią dostrzegać detale i docenić styl. Dlatego pana lubię, Jonathanie.

- Doprawdy? - zapytałem nieco kpiącym tonem i podszedłem do stojącego przy łóżku krzesła. - A ja sądziłem, że to przez wzgląd na moją sławną matkę.

- To też - odparła Mona. - Z pewnością przez to stał się pan bardziej interesujący, ale Ada ma rację: jest pan wyjątkowym mężczyzną. Mało który przedstawiciel pańskiej płci potrafiłby zachować cierpliwość, przebywając w tym domu.

Zupełnie nieświadomie Mona skierowała rozmowę na interesujące mnie tory, dzięki czemu nie musiałem burzyć swojego

wyidealizowanego obrazu. Przeszedłem do rzeczy.

– Panno Roseworth, czy przyjechała pani do Anglii tylko z powodu zaproszenia na urodziny ojca?

Kobieta zmierzyla mnie taksującym spojrzeniem, wyjmując papierosa ze srebrnego puzderka, bardzo podobnego do tego, jakie miała Ruth.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała po chwili. – Przyjechałam po to, by prosić ojca o sfinansowanie produkcji filmu. Niestety, nie spełnił mojej prośby, ale to zapewne pan już także wie.

– A czy wiedziała pani o zapisanym jej legacie?

– Tak, wiedziałam. – Tym razem odpowiedź padła natychmiast. – Ojciec powiedział mi o nim w dniu swoich urodzin. Próbowałam go wtedy przekonać, żeby usunął zapis z testamentu i dał mi te pieniądze już teraz, ale nie chciał o tym słyszeć.

– Jak pani sądzi, dlaczego tak się upierał?

– Mój ojciec był dziwnym człowiekiem, panie Harper. Sądzę, że nikt nie był w stanie nadążyć za jego tokiem rozumowania, a on sam rzadko dzielił się swoimi myślami z innymi.

– Więc gdyby nie umarł, wróciłaby pani z niczym? – zadałem ostatnie pytanie, nie owijając w bawełnę.

– Tak właśnie by było. Ale jeśli uważa pan, że zabiłam ojca dla tych pieniędzy, to jest pan w błędzie. Zdo byłabym je tak czy owak.

– Och, tego jestem pewien – stwierdziłem z uśmiechem. – Istotnie w tym domu dba się o najbliższych i w pani przypadku nie jest inaczej. Ciekawi mnie jedynie, dlaczego teoretycznie obca osoba tak bardzo chciała pani pomóc, że posunęła się nawet do szantażu.

Mona zbladła i z wrażenia upuściła papierosa. Podniosła go natychmiast, zanim wypalił dziurę w puszystym dywanie, a następnie zgasiła w popielnicze.

– Więc i o tym pan wie... – wyszeptała ustami białymi jak kreda. – To prawda, Agatha zaoferowała mi pomoc. Ale nic nie wiem o żadnym

szantażu!

- Wierzę, że pani nie wie - odparłem. - Za to sędzę, że pani partnerka miałyby na ten temat coś do powiedzenia.

Adalind nie odezwała się ani słowem, odkąd zacząłem rozmowę z Moną, jednak cały czas czułem na sobie jej uważne spojrzenie. Zgodnie z moimi przewidywaniami nie pokazała po sobie zaskoczenia, a jedynie rozluźniła się i przywołała na usta uśmiech. Nie był to wystudiowany grymas, jaki widziałem u niej najczęściej. Wokół jej oczu pojawiły się promieniste zmarszczki, a cała twarz wyrażała radość. I ulgę.

- No cóż, ktoś w końcu musiał to zauważyć - stwierdziła, nagle pozbywając się amerykańskiego akcentu. - Jak się pan zorientował?

- W tym, że nie jest pani rodowitą Amerykanką, czy w tym, że to pani poradziła lady Radcliffe użycie szantażu?

- Bystry z pana detektyw - pochwaliła mnie. - Co mnie zdradziło?

- Była pani zbyt teatralna, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Wszystko było „zbyt”. Zbyt ostentacyjne, frywolne i zbyt niewiarygodne, nawet jak na aktorkę. Zbyt platynowe włosy, zbyt modne stroje, od razu wydawało mi się, że to rola. Zapewne pani nazwisko także jest zmyślane?

Kobieta złożyła dłonie i zaklaskała w nie, obdarzając mnie szerokim uśmiechem.

- Imponuje mi pan, panie Harper. Nazwisko jest prawdziwe, choć należało do mojej matki, naprawdę nazywam się Simmons. I, choć mało kto wie, że dawniej zajmowałam się dziennikarstwem, naprawdę jestem aktorką.

- I moją partnerką - dodała Mona, spoglądając na kobietę z czułością.

- Zdradzi mi pani, co takiego wie o Thadeusie Roseworcie? - Nie było sensu dłużej udawać, wszystkie karty już zostały odkryte.

- A nie wolałby pan wiedzieć, co wiem na temat śmierci pańskiej żony? - zapytała głosem tak poważnym, że poczułem nieprzyjemne

mrowienie na karku.

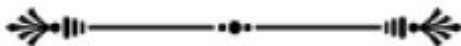
- Ado, skarbie, co to ma znaczyć? - Mona wydawała się równie zszokowana jak ja. - Co ty wiesz na temat śmierci żony pana Harpera?

- Możliwe, że wszystko - odparła panna Simmons. - Nie wiem tylko, czy pan Harper jest gotowy na poznanie prawdy.

- Absolutnie jestem - stwierdziłem stanowczo, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Jednak nie byłem.

Absolutnie nie byłem.



Rozdział 21

Aparat telefoniczny w sypialni to kaprys, ale bardzo ułatwiający życie, zwłaszcza w domu o rozmiarach letniej rezydencji królowej. Przekonałem się o tym, kiedy na nocnej szafce obok łóżka Mony odezwał się sygnał przypominający nadawanie alfabetem Morse'a.

– Tak? – rzuciła i nasłuchiwała przez chwilę, po czym powiedziała: – Tak, jest tutaj, chwileczkę. – Zasłoniła mikrofon dłonią i zwróciła się do mnie: – Panie Harper, telefon do pana. Chce pan odebrać?

– Do mnie? – zdziwiłem się.

– Tak, to chyba pańska matka.

Rzuciłem się na aparat, jakby za chwilę miał zniknąć w niebycie, co musiało wyglądać co najmniej desperacko. W tamtym momencie chciałem jedynie jak najszybciej wrócić do tak nagle przerwane go tematu.

– Halo?

– Witaj, Jonny, szalenie trudno cię znaleźć! – Radosny głos Charlotte zadziałał jak balsam na wzburzoną duszę. – Na szczęście twój partner był jeszcze w biurze i powiedział mi, gdzie cię szukać.

– Partner? Przecież ja nie mam part... Cholera jasna, Sam! – warknąłem wściekły. – Przecież powinien być w drodze do Szkocji. Mniejsza o to – przywołałem się do porządku. – Rozumiem, że masz dla mnie wieści?

Słuchałem w skupieniu, co chwilę to kiwając, to kręcąc głową, i starałem się zapamiętywać wszystkie szczegóły. Okazało się, że status celebrytki wiele ułatwiał i otwierał jeszcze więcej drzwi. W ciągu zaledwie jednej doby Charlotte dowiedziała się więcej niż nadinspektor Scotland Yardu przez tydzień.

- Jesteś wspaniała, mamó! - rzuciłem na koniec, zanim padło:

- Kocham cię, synku.

Odłożyłem słuchawkę na widełki i spojrzałem niewidzącym wzrokiem na wpatrzone we mnie kobiety. Musiałem mieć nietęgą minę, bo żadna z nich nie odważyła się odezwać.

- Czy ten telefon ma wyjście na zewnątrz? - zapytałem głosem, który ja sam ledwo poznałem.

- Tak, przez zero - poinformowała Mona.

Podniosłem słuchawkę, wybrałem zero, a po nim ciąg cyfr poprzedzony kierunkowym do Londynu. Po trzech sygnałach odebrał Sam.

- Agencja Harpera.

- Sam, to ja.

- O, cześć, szefie, twoja mamusia dzwoniła. Złapała cię?

- Tak, dzięki, ja właśnie w tej sprawie. Jakim cudem wciąż jesteś w Londynie?

- Eeee, no właśnie... Jak by ci to...

- Najlepiej wprost - przerwałem mu.

Musiałem zabrzmieć groźnie, bo Sam natychmiast przestał pajacować.

- Wróciłem do biura, bo zostawiłem papierosy, i wyobraź sobie, że to było niezwykle zrzędzenie losu - trajkotał. - Do pociągu miałem trochę czasu, więc pomyślałem, że przejrzę jeszcze raz akta sprawy tego całego Dickinsa. Coś mi świtało, że on kiedyś mieszkał w Edynburgu.

- Jak miliony ludzi. I co z tego? - niecierpliwiłem się.

- No więc zadzwoniłem do niego i zapytałem, czy nie słyszał przypadkiem o żadnych Roseworthach. A co mi szkodziło, co nie?

Mruknałem dość nieuprzejmie, nie mając ochoty na dywagacje.

- Ekhm, no tak, i wyobraź sobie, szefie, że nikogo takiego nie kojarzył, a facet zajmuje się heraldyką. Zadzwonił do swojego kumpla,

jakiegoś specja od tych wszystkich hrabiów i baronów, i okazało się, że owszem, byli tacy, potem ich nie było, a teraz znowu są.

- Sam, co ty bredzisz? - warknąłem, czując, jak płoną mi policzki.

- Hehe, o to samo zapytałem Dickinsa, a on mi na to: „Panie Archer, tu nie ma nic śmiesznego, nielegalne nabywanie tytułów szlacheckich wciąż ma się dobrze. Wystarczy kupić ziemię i już jest się baronetem”.

- Chcesz powiedzieć, że Roseworth kupił tytuł szlachecki? - Za późno ugryzłem się w język.

Mona pisnęła i zatkała usta dłonią.

- Ja tylko przekazuję, niech szef nie strzela do herolda. Kazałem mu sprawdzić, czy da się wysledzić, kto był nabywcą, bo sprzedający to łatwizna.

- Dobra robota, Sam - pochwaliłem go. - Informuj mnie.

Jeśli wcześniej miałem mętlik w głowie, to obecnego stanu nie potrafiłem nazwać. Zupełnie nie obchodziło mnie nawet to, czy ktoś podsłuchiwał rozmowę. Zapewne zaraz się nasłucham od panny Hardcastle na temat ostrożności, szyfrów i narażania na szwank dobrego imienia agencji, ale w tamtej chwili było mi to całkowicie obojętne.

- Jonathanie? - Głos Mony przedarł się w końcu do mojej świadomości. - Panie Harper, niech pan mówi, co się stało.

Spojrzałem wzrokiem wciąż zamglonym od oszołomienia, sam nie wiedząc, co właściwie powinienem jej powiedzieć. Nagle tak wiele rzeczy stało się oczywistych, że od nadmiaru emocji poczułem się słabo. Zdołałem jedynie wydusić:

- Dlaczego pani również mnie okłamała?

W tym samym momencie doskonale znane mroczki ponownie pojawiły się pod moimi powiekami i kolejny raz w ciągu jednej doby straciłem świadomość.

Kiedy znów otworzyłem oczy, zobaczyłem nieznajomą twarz pochylającą się nade mną. Kiedy się oddaliła, dostrzegłem lekarski kitel, stetoskop i długą, szczupłą dłoń ściskającą białą szmatkę.

- Jest pan ze mną, Jonathanie? - odezwał się ktoś przyjemnym głosem.

- Nie wiem, czy z panem, ale zdaje się, że jestem - wychrypiałem.

- Jak się pan czuje?

- Jeszcze nie wiem. Co się stało?

- Stracił pan przytomność. Podobno to nie pierwszy raz. Jak często się to zdarza?

- Ostatnio aż nazbyt. Chyba jestem przemęczony.

Lekarz mruknął coś pod nosem i sięgnął do kieszeni, z której wyjął maleńką latarkę. Zaświecił mi w oczy, znów coś wymamrotał, po czym odszedł od łóżka i zniknął w łazience, skąd po chwili dotarł do mnie szum odkręconej wody.

Rozejrzałem się, konstatuując, że leżę na łóżku z baldachimem w otoczeniu sterty kolorowych poduszek. Poza lekarzem w pomieszczeniu nikogo nie było.

- Spróbujemy pana posadzić - powiedziała, wróciwszy z łazienki. - Ostrożnie, pomogę panu.

Uniósł mnie delikatnie i oparł o ścianę. Czułem suchość w ustach i mrowienie w dłoniach. Powiedziałem mu o tym, a on nie wydawał się zaskoczony.

- Chciałbym obejrzeć pana w klinice - oznajmił. - Nie chcę pana straszyć, ale podejrzewam, że to może być coś poważniejszego niż zwykle przemęczenie.

Natychmiast przypomniały mi się słowa lorda Dalrymple'a.

- Pan to zapewne doktor Greystock?

Dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Był przystojny, może nie tak jak Marlon Brando czy Cary Grant, zdecydowanie bliżej mu było do Humphreya Bogarta, ale miał w sobie jakiś magnetyzm, który z całą

pewnością musiał działać na kobiety. I te oczy – duże, ciemne, niemal czarne.

Kiedy znów się nade mną nachylił, coś kapnęło mi na koszulę. Spojrzałem tam odruchowo i dostrzegłem niedużą czerwoną plamkę.

– To ja czy pan? – zapytałem.

– Och, najmocniej pana przepraszam! – Wyraźnie speszony lekarz chwycił trzymany w dłoni kompres i przycisnął do nosa. – Proszę wybaczyć, cierpię na hemofilię. Za chwilę się uspokoi.

Bez słowa przyglądałem się jego nerwowej próbie zatamowania krwotoku z nosa, powtarzając w głowie w kółko: „Ty idioto! Bezdenny, irytujący cymbale! Kretynie skończony!”.

Oparłem głowę na poduszce, zdaje się, że w kolorze turkusowym, zamknąłem oczy i przywołałem z pamięci obraz mojej żony. Mojej pięknej, bystrej, głupiutkiej Mary, która w poszukiwaniu prawdy zapędziła się w śmiertelną pułapkę. Już wiedziałem, co usłyszę od Adalind. Miałem pewność, że sieć kłamstw, na których zbudowano tę rodzinę, sięga bardzo daleko. Wciąż jednak nie miałem pojęcia, do czego może mnie to doprowadzić.

– Doktorze? Gdyby miał pan otruć człowieka, nie zostawiając śladu, czego by pan użył?

– To pytanie prywatne czy służbowe?

Greystock przysunął krzesło do łóżka i usiadł na nim okrakiem. Wciąż ścisnął nos, a materiał już całkiem zabarwił się jaskrawoczerwoną krwią.

– Pytam z ciekawości. Słyszałem bowiem, że insulina podana osobie zdrowej ma działanie podobne do anestetyku. A rozkłada się tak szybko, że jest niemalże niewykrywalna.

– Dobrze pan słyszał – przyznał medyk. – A chodzi o konkretny przypadek?

– Nie, tak mi przyszło do głowy. Claire czytała o czymś podobnym w gazecie i zacząłem się zastanawiać. Swoją drogą, to bardzo interesujący dzieciak, nie sądzi pan?

- Jest bardzo bystra.

- Wie pan, ona chce zostać kryminologiem. Ciągnie ją do rozwiązywania zagadek, pasjonuje się zbrodnią.

- Ciekawe - mruknął. - Dlaczego pan mi o tym mówi?

- Pomyślałem, że może poczuje pan dumę, że ma tak zdolne dzieci. Geniusz matematyczny i pasjonatka zagadek. Ja na pana miejscu byłbym dumny.

- Jestem - wyszeptał i odjął opatrunek od nosa. - Żałuję tylko, że ona odziedziczyła po mnie to.

- Roseworth wiedział?

- Zorientował się, gdy u Claire pojawiły się objawy hemofilii. Wie pan, on nie mógł mieć dzieci, to znaczy wtedy, gdy pojawiły się bliźniaki, już nie mógł ich mieć. Pod koniec wojny zaraził się od Ruth zapaleniem przyusznic i przeszedł je tak poważnie, że nastąpiło nieodwracalne uszkodzenie jąder. Od tamtej pory Thadeus był bezpłodny.

- A jednak uznał dzieci - zauważyłem - mimo że miał podstawy, by oskarżyć żonę o niewierność. Nie mówiąc o tym, że wciąż korzystał z pańskich usług. Ja na jego miejscu wyrzuciłbym pana na zbity pysk.

- Nie Thadeus - odparł lekarz ze smutkiem. - Wie pan, ja nawet się ucieszyłem, zawsze marzyłem o rodzinie, dzieciach, ale on nie chciał o tym słyszeć. Jego choroba i... dysfunkcja były pilnie strzeżonym sekretem, a mnie obowiązywała tajemnica lekarska. Nikt nigdy nie mógł się o tym dowiedzieć. Wolał trzymać mnie blisko i torturować, doskonale wiedząc, że nie wolno mi nigdy niczego ujawnić. A jeśli chodzi o rozwód, to był ostatnim, co lord Roseworth zrobiłby, póki biło jego serce. Nie liczyło się nic poza fasadą idealnej rodziny.

- Rzeczywiście, wzorcowa - parsknąłem. - Zaczynam się cieszyć, że nie mam z nimi nic wspólnego.

- Jak to? To nie pan jest narzeczonym Ruth?

Wahałem się, czy nie powiedzieć mu prawdy, jednak zrezygnowałem. Miałem w tej chwili ważniejsze kwestie do wyjaśnienia

niż małżeństwo na niby z arystokratką. No właśnie, tylko czy na pewno z arystokratką – a może i ona była „na niby”?

– Miałem na myśli związki krwi – zbyłem go. I nagle coś mi się przypomniało. – A pamiętniki? Myśli pan, że to dlatego lord Roseworth postanowił je spalić? Nie chciał, by ten sekret kiedykolwiek ujrzał światło dzienne?

Greystock spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Pamiętniki? Pierwsze słyszę, żeby Thadeus Roseworth prowadził pamiętniki.

– Nie widział pan u niego żadnego czarnego notesu?

– Nie przypominam sobie. Ale równie dobrze mógł je przede mną ukrywać, zwłaszcza w zaistniałej sytuacji – dodał z uprzejmym uśmiechem.

Mógł, rzecz jasna, tylko po co?

– Doktorze, chciałbym rozmówić się z moim... z nadinspektorem. Czy mógłby pan go tu poprosić? Nie czuję się jeszcze na siłach, żeby zejść na dół.

Lekarz skinął głową i pochwalił rozsądek, za który naiwnie wziął wygodę.

– I panna Hardcastle też by się przydała – rzuciłem, gdy był już w drzwiach.

Kiedy wyszedł, podniosłem się i wykonałem ponowny telefon do Sama, tym razem bez świadków, prosząc go o jeszcze jedną przysługę.

– I przyjedź tu jak najszybciej – poleciłem na koniec rozmowy. – A gdybyś miał z nim kłopoty, postrasz go moim teściem.

– Chyba ojcem – zażartował Sam.

– Wszystko jedno, ważne, żeby podziałało.

Ledwo odłożyłem słuchawkę, a drzwi do sypialni Mony otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do środka śmiertelnie przerażoną pannę Hardcastle i wzburzonego Jacka Harpera. Ojciec zatrzymał się w progu

i obrzucił spojrzeniem kolorową sypialnię. Asystentka podbiegła do łóżka, chwyciła mnie za rękę i wybuchnęła płaczem.

– Tak się martwiłam! Panie Harper, pan powinien jechać do szpitala!

– Nic mi nie jest, panno Hardcastle, wszystko już dobrze – pocieszałem ją.

– Jakie dobrze, jakie dobrze, skoro to już drugi raz dzisiaj?

– Jonathanie, co się dzieje? – zapytał ojciec ni to ze złością, ni to z troską.

– Nie ma się czym przejmować, chwilowa niedyspozycja.

– Nie ma się czym przejmować, widzieliście go! – prychnęła moja asystentka. – Ja nie zamierzam na cmentarz latać! Pan musi o siebie zadbać, przecież doktor Dalrymple powiedział...

– Wiem, co powiedział – przerwałem jej odrobinę zbyt ostro. – Wszystko w swoim czasie, panno Joyce, nie po to was tu wezwałem. Mam pewne istotne ustalenia i koniecznie muszę o nich poinformować policję.

Ojciec skinął głową, domyśliwszy się, że nie zamierzam się jeszcze z nimi żegnać, rozejrzał się za krzesłem i w końcu usiadł przy biurku. Jego barczysta sylwetka wyglądała komicznie w otoczeniu tych wszystkich kolorowych poduszek. Cała scena musiała budzić śmiech, gdyby ktokolwiek mógł nas zobaczyć: ja na przepastnym łóżku z baldachimem, po mojej lewej stronie wysuszona jak kabanos panna Hardcastle z miną, jakby zaraz miała się rozpląkać, po prawej wielki jak tur policjant wtopiony w scenerię rodem z *Dumy i uprzedzenia*.

– Sam nie wiem, od czego zacząć – przyznałem. – Początkowo założyłem, że znalazłszy motyw, łatwo wskażę sprawcę. Teraz nie jestem pewien, czy to w ogóle będzie możliwe.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś popełnił zbrodnię doskonałą? – powątpiewał ojciec.

– Właściwie tak – przyznałem po namyśle. – Powiem więcej: ów ktoś dokonał dwóch zbrodni niemal doskonałych, jednak nie wziął pod uwagę, że dobra passa nie może trwać wiecznie.

- Morderca Rosewortha zabił już wcześniej? - Panna Hardcastle znów wyglądała jak solidna asystentka.

- Nie, moja droga Joyce, to Roseworth zabił dwukrotnie. I prawdopodobnie nigdy nie był żadnym lordem.

Jakby na podkreślenie wagi tych słów znów rozległ się sygnał nadawania Morse'iem i mój ojciec sięgnął po słuchawkę.

- Halo? Tak, Harper przy telefonie. Nie, wcale mi się głos nie zmienił i dlaczego pan mówi do mnie „szefie”? Ja pana nie znam.

Szarpnąłem go za rękaw i na migi pokazałem, żeby przekazał mi słuchawkę.

- Sam, to ja - rzuciłem do telefonu.

- No i znowu brzmiysz normalnie. Mam coś od Dickinsa. Podobno już ktoś szukał tego aktu, jakaś młoda kobieta. Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

Serce znów zaczęło mi niebezpiecznie łomotać, a po plecach spłynęła strużka lodowatego potu.

- Kiedy to było?

- Trochę ponad dwa lata temu. A, szefie? - rzucił Sam, jakby sobie coś przypomniał.

- Hm?

- Cwaniak z gazety o wiele bardziej boi się twojego ojca, chyba ma coś za uszami.

- Jak oni wszyscy - mruknąłem i podałem słuchawkę nadinspektorowi.

- Spodziewamy się jeszcze jakichś telefonów? - zapytał kpiąco.

- Nie, już wszystko wiemy - odparłem, ocierając pot z czoła. - A jeśli czegoś nie wiemy, to możemy się domyślić, resztę nam wyśpiewają. Potrzebuję chwili z panną Hardcastle - stwierdziłem tonem prośby.

Ojciec się zawahał, ale ostatecznie nie zaoponował.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, podnosząc się z krzesła.

Jego wielka sylwetka zasłoniła światło wpadające przez okno i teraz wydał mi się wręcz ogromny. Zupełnie tak jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem i chciałem być taki jak on.

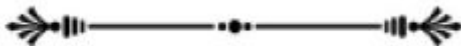
- Zbierz ich wszystkich i nie pozwól nikomu opuścić domu. Sam będzie tu w ciągu dwóch godzin, potrzebujemy jeszcze chwili, żeby to się skończyło. Nie spuszczaaj nikogo z oka, a szczególnie bliźniaków.

Choć moja prośba musiała go zaskoczyć, niczego nie dał po sobie poznać. Skinął głową i wyszedł z sypialni. Dopiero wtedy odetchnąłem głęboko i spojrzałem na swoją asystentkę.

- Panno Hardcastle, wierzy pani w sprawiedliwość? - zapytałem.

- Wierzę w dobro i zło, panie Harper. A także w to, że nie ma zła bez konsekwencji; tak czy inaczej one kiedyś nas dopadną.

- Chciałbym, żeby miała pani rację - powiedziałem niemal szeptem i zamknąłem oczy, po czym opowiedziałem jej historię, która choć miała luki, pozwalała zrozumieć, iż niekiedy konsekwencje przychodzą zbyt późno albo nawet wcale.



Rozdział 22

– Sądzi pan, że pańska żona zginęła, ponieważ poznała prawdę o przeszłości Thadeusa Rosewortha?

Joyce Hardcastle po raz kolejny udowodniła, jak bystry ma umysł. Byłby z niej znakomity detektyw.

– Tak właśnie sędzę. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że już wtedy powinienem był coś zauważyć. Odsunęła się od Ruth, rzadko o niej mówiła, stała się cicha i zamyślona, a jej podróże służbowe znacząco się wydłużały. Przez to, że zajmowałem się sprawami agencji, zupełnie nie zwróciłem na to uwagi.

– To w żadnym wypadku nie jest pana wina – zmitygowała mnie asystentka. – Niech pan nawet nie próbuje tak myśleć! Pańska żona była kobietą niezależną i robiła dokładnie to, co chciała. Nigdy z niczym się nie zdradziła?

– Niczego takiego nie potrafię sobie przypomnieć. – Pokręciłem głową ze smutkiem. – Zakładałem, że pochłania ją to, co zwykle: moda, plotki ze świata gwiazd albo nowinki literackie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zainteresują ją... Właściwie to nie wiem, co dokładnie.

– I co miałyby z tym wspólnego Arthur Conan Doyle – zauważyła całkiem słusznie panna H.

– Zwłaszcza że nie żyje od blisko trzydziestu lat... Miejmy nadzieję, że Sam pomoże nam to ustalić. A pani udało się czegoś dowiedzieć?

– Niewiele ponad to, co już było wiadome. Tamtego dnia służba była bardzo zajęta, musieli zatrudnić do pomocy dwie dziewczyny z sąsiedniej wioski, niemal żadne z nich poza Bernardem przez cały dzień nie opuszczało kuchni. Zaraz po śniadaniu pokojówki zajęły się

przygotowaniem zastawy, kucharka i jej pomoc szykowały dania według ustalonego menu. Nie zwracali uwagi na to, co robili państwo.

- Wiemy na pewno, że do otrucia Rosewortha doszło pomiędzy godziną trzynastą a dziewiętnastą. Raczej skłaniałbym się ku dolnej granicy, sądząc po tym, że nie zdążyło dojść do stężenia mięśni. Ponadto rana na głowie mocno krwawiła.

- Gladys, pokojówka lady Roseworth, twierdzi, że tuż po osiemnastej pomagała swojej pani ubrać się i przygotować do przyjęcia. Nie pamięta, ile czasu spędziła z Barbarą, ale na pewno dzwonek do drzwi zastał ją jeszcze na piętrze.

- Ruth mówiła, że zadzwonił dokładnie o dziewiętnastej, tuż po jej powrocie.

- To możliwe. Gladys powiedziała, że minęła Ruth na schodach, podobno panienka wbiegała po nich tak szybko, jakby ją kto gonił. Zrozumiała dlaczego, kiedy otworzyła drzwi i stał tam pan Talbott. Służba wie, że panna Roseworth raczej nie pała do niego sympatią. - Panna Hardcastle kiwała głową na potwierdzenie własnych słów. - A kolejnym, co zapamiętali, jest to, że Ruth wybiegła z gabinetu i zadzwoniła po policję.

- Wybiegła z gabinetu, żeby zadzwonić? - Uniosłem brwi ze zdziwienia. - Przecież tam też jest aparat.

- Gladys i Martha twierdzą, że najpierw usłyszały głośne tupanie butów o posadzkę, a gdy pobiegły sprawdzić, co się dzieje, zastały Ruth w holu wzywającą policję. Podobno krzyczała: „Ktoś zamordował papę! Proszę natychmiast przyjechać, morderstwo!”

- To... interesujące - mruknąłem. - Nie zastrzelił, tylko zamordował?

- W sumie na jedno wychodzi.

- Być może - zgodziłem się. - Być może ponosi mnie wyobraźnia. Panno Hardcastle, zechce pani zejść ze mną do gabinetu lorda Rosewortha? Coś właśnie przyszło mi do głowy, chciałbym to sprawdzić i przyda mi się pani pomoc.

- Okropnie pan zagadkowy. No ale przecież nie puszczę pana samego, bo znowu gotów pan narobić głupstw.

Upewniwszy się, że ustoję na nogach, chwyciła mnie pod ramię i asekurowała do drzwi. Była to zbędna troska, czułem się już naprawdę dobrze, po zawrotach głowy i mroczkach nie został nawet ślad.

Zeszliśmy ostrożnie po schodach, starając się nie robić hałasu. Na parterze także panowała cisza, jakby dom był pusty. Wiedziałem jednak, że Jack Harper pilnuje domowników, a kiedy zamieniał się w groźnego stróża prawa, mało kto miał na tyle odwagi, żeby testować jego cierpliwość. W holu skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy prosto do gabinetu. Jego lokalizacja - niemal na końcu domu - sprzyjała zachowaniu prywatności, pokój był doskonale odizolowany od reszty pomieszczeń, a sąsiadująca z nim klatka schodowa dawała dodatkowe zabezpieczenie przed intruzami.

Zamknąłem drzwi na klucz i nie informując panny Hardcastle o celu inspekcji, dokładnie przyjrzałem się zewnętrznym ścianom gabinetu. Szukałem szpar lub pęknięć, lecz nierówna powierzchnia stworzona z drobnych kamieni skutecznie mi to utrudniała. Weszliśmy więc do środka i powtórzyłem oględziny, wędrując wzdłuż ścian na czworakach. Nie dbałem o to, czy Joyce patrzy sceptycznie na tę gimnastykę; musiałem wiedzieć, czy intuicja mnie nie zawodzi.

- Panno Hardcastle! - zawołałem z nosem niemal przyklejonym do ściany. - Mogłaby pani do mnie dołączyć?

- Wykluczone. Nie zamierzam wypinać siedzenia w pańskiej obecności.

Zadarłem głowę i spojrzałem na nią z niesmakiem.

- Niech pani do mnie podejdzie, chcę pani coś pokazać.

Skrzyżowała ręce na piersiach i z wyraźną niechęcią zbliżyła się do mnie. Stojąc tak nade mną, wydawała się jeszcze wyższa i jeszcze bardziej przypominała kabanosa. Może to przez sukienkę w kolorze oberżyny.

- Patrę i niczego nie widzę - mruknęła.

- Niech pani przejdzie dwa kroki do przodu, stanie przy mojej głowie z prawej strony i spróbuje spojrzeć na ścianę pod kątem.

Wykonała polecenie.

- Widzi coś pani?

- Przynajmniej już nie widzę pańskiego zadka...

- Panno Hardcastle! Proszę się skupić!

Prychnęła jak rasowa klacz, ale już po chwili wiedziałem, że miałem rację.

- Czy to jakiś tajny otwór w ścianie? - spytała z niedowierzaniem. - Zupełnie go nie widać, jak to możliwe?

- Myślę, że to dlatego, iż jest rzadko używany, nie zdążył się wyrobić. Nie chce się otworzyć, gdzieś musi być zapadka.

Zadowolony z wyniku obdukcji podniosłem się z mało wygodnej pozycji i ruszyłem na poszukiwanie mechanizmu otwierającego sekretne drzwi w ścianie. Musiał być gdzieś niedaleko, najpewniej w podłodze albo...

- Nie sądzi pan, że ten włącznik światła znajduje się w dziwnym miejscu? - spytała panna Hardcastle, stukając paznokciem w plastikowy kwadracik umiejscowiony między dwoma obrazami w masywnych ramach. - Sprawdzamy? - I nie czekając na moją zgodę, przekręciła uchwyt w prawą stronę.

Nic.

Nieco rozczarowana ustawiła pokrętło w pozycji pionowej i przekręciła w lewo.

Znów nic.

Zgrzytnąłem zębami, bo byłem absolutnie pewien, że właśnie znaleźliśmy odpowiedź na najistotniejsze pytanie dotyczące tajemniczej śmierci lorda Rosewortha.

- Niech się pan jeszcze nie poddaje, panie Harper - ostudziła mnie spokojnym głosem panna Kabanos. Naprawdę w tej sukience wyglądała jak wysuszona kielbasa! - Czytałam kiedyś w jednym opowiadaniu

kryminalnym, że czasem trzeba powtórzyć kombinację, żeby otworzyć sejf. To takie zabezpieczenie, żeby nikt przypadkiem nie dostał się tam, gdzie nie powinien.

Znów pokręciła: lewo, prosto, prawo, prosto, lewo, prawo.

Klik!

– Ha! A nie mówiłam!

Spojrzałam na ścianę, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. To, co wcześniej wydawało się zaledwie cieniem rzucanym przez słońce, zmieniło się w całkiem wyraźną szczelinę. Podszedłem ostrożnie i pchnąłem fragment ściany. Stawiła opór, ale otwór się powiększał. W pewnej chwili poczułem, że dalej nie pójdzie. Szczelina miała nie więcej niż dwadzieścia centymetrów.

– No to klops – stwierdziłem z zawodem. – Chyba nic z tego nie będzie.

– Rozczarowuje mnie pan, Jonathanie – prychnęła panna Hardcastle. – Chyba nie oczekiwał pan, że zobaczy tu dziurę wielkości słonia? Proszę się odsunąć.

Podkasała sukienkę, wciągnęła brzuch, którego wcale nie musiała wciągać, i ostrożnie, pomalutku przeciskała się przez mały otwór. Kiedy całkiem zniknęła, ja wciąż stałem z szeroko otwartymi oczami.

– Halo, panie Harper! – usłyszałem z głębi ściany. – Jakby co, to jestem w holu!

– Może pani zamknąć ścianę?

Usłyszałem szuranie, stękanie i otwór zaczął się zmniejszać. Na koniec do moich uszu doleciało kliknięcie, po nim drugie – tym razem dochodzące od strony pokręta uruchamiającego mechanizm.

– A niech cię, Harper... – szepnąłem do siebie. – Kto by pomyślał, że kłamstwo może doprowadzić do prawdy?

Pukanie do drzwi rozległo się chwilę później. Odnotowałem, że nie słyszałem charakterystycznego stukotu obcasów panny Joyce, co

potwierdzało słowa Barbary, iż gabinet był dobrze wytłumiony – a także moją teorię, która przed chwilą zyskała pierwszy namacalny dowód.

Otworzyłem drzwi asystentce i w tej samej chwili usłyszałem sygnał telefonu w holu. Kilka kroków marszowego chodu Bernarda, a po nim przytłumione: „Roseworth Manor, słucham”.

– Panie Harper? – krzyknął majordomus. – Telefon do pana. Gdzie łączyć!

– Do gabinetu! – odkrzyknąłem. – Niech pani zamknie drzwi, panno Joyce – szepnąłem do asystentki.

Po kilku sekundach aparat telefoniczny na biurku zaterkotał. Odczekałem trzy sygnały i podniosłem słuchawkę.

– Tu Harper.

Panna Hardcastle przysunęła się do mnie, najwidoczniej uznając nasz mały eksperyment za przekroczenie Rubikonu i przejście na wyższy poziom współpracy. Bądź co bądź paradowałem przed nią na czworakach. Wzruszyłem ramionami i odsunąłem słuchawkę od ucha, umożliwiając „wspólnicze” uczestniczenie w rozmowie.

– Szefie, mamy problem! – krzyczał Sam. W tle słyhać było gwar, jakby znajdował się w samym środku Covent Garden. – Opona mi strzeliła, dalej nie pojedę!

– Opona?! Miałeś jechać pociągiem!

– Uznałem, że fordowi przyda się przejażdżka – odparł zakłopotany. – Jednak całkiem dobrze się złożyło, bo kiedy zaparkowałem, zwróciłem uwagę na austina sportsa, stoi tam bidulek na przebitych oponach. Kierowca musiał wjechać na rozsypane dookoła fragmenty drutu, wszędzie tu się walają. Ten pismak, od którego brałem papiery, powiedział, że to ta twoja paniusia go tu zostawiła i że lada chwila go odholują.

Nie zrozumiałem, kogo miał na myśli, jednak panna Hardcastle czuwała.

– Chodzi o samochód panny Roseworth? – zapytała, patrząc na mnie z naganą.

- Tak, ruda ślicznotka zebrała całkiem sporo mandatów - rzucił i zarechotał. - Zgadnij, od kiedy tu stoi.

Nie musiałem zgadywać; wszystko nagle zaczynało układać się w logiczną całość.

- Chyba się domyślam. Gdzie dokładnie jesteś?

- Kawalek za Thetford, ale dalej nie pojedę.

- Jest tam jakiś pub w pobliżu?

- Black Horse, mijałem go przed chwilą.

- Poczekaj tam, zaraz po ciebie przyjadę - rzuciłem i się rozłączyłem. - Panno Hardcastle, proszę dopilnować, żeby nikt, absolutnie nikt nie opuszczał domu pod moją nieobecność.

Asystentka spojrzała na mnie groźnie.

- Nigdzie pana nie puszczę samego!

- Tylko nie to... - jęknąłem. - Naprawdę wszystko ze mną w porządku. Widziała pani, że nawet gimnastyka nie zrobiła na mnie wrażenia.

- Mowy nie ma. Albo jadę z panem, albo pan zostaje. Pana ojciec doskonale poradzi sobie sam.

Cóż mogłem zrobić? Moja intuicja podpowiadała mi, że muszę działać szybko, i bynajmniej się nie myliła.

Raźnym krokiem przeszliśmy do salonu, w którym panowała grobowa cisza. Napięcie zdawało wręcz przytłaczać, a jedyną osobą, po której nie było widać zdenerwowania, był mój ojciec.

- Gdzie jest Ruth? - zapytałem, zorientowawszy się, że nie ma jej z pozostałymi.

- Wyszła do toalety - odparła lady Barbara.

- Pan MacFarlane też jeszcze stamtąd nie wrócił - wtrąciła Claire i puściła do mnie oko.

W tej samej chwili z zewnątrz dotarł do nas dźwięk uruchamianego silnika samochodu. Podbiegłem do okna i zobaczyłem ruszającego z piskiem opon bentleya.

- Lady Radcliffe, muszę pożyczyć pani wóz! - krzyknąłem.

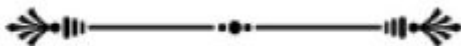
Mój ojciec zerwał się z fotela i w mgnieniu oka znalazł się obok mnie.

- Dokąd oni pojechali?

- Sądzę, że Ruth podsłuchiła moją rozmowę z Samem i chce dopaść go pierwsza.

Nadinspektor spojrzał na mnie z mieszaniną wściekłości i zdumienia.

- Jedziesz ze mną, opowiesz mi wszystko po drodze! - warknął i już był w holu. - Panno Hardcastle, proszę zadzwonić po sierżanta Southenby'ego. I niech nikt nawet nie próbuje się stąd ruszyć!



Rozdział 23

HRABSTWO NORFOLK

- Czyli uważasz, że to Ruth Roseworth strzeliła do swojego ojca, wiedząc, że ten już nie żyje? - Jack Harper wydawał się rozwścieczony do granic możliwości, a powodem tego były głównie nadzwyczajne umiejętności uciekającej przed pościgiem dziewczyny. - Dlaczego miałyby to zrobić?

- Żeby upozorować egzekucję i odsunąć podejrzenie od rodziny! - odkrzyknąłem. Silnik samochodu, którym pędziliśmy, wył tak głośno, że z trudem słyszałem własne myśli. - Strzeliła do niego, otworzyła okno i wyszła tajnym przejściem w ścianie. Dźwięk dzwonka do drzwi zagłuszył wystrzał.

- Musiała być pewna, że dzwonek zadzwoni.

- I była. Umówiła się z Talbottem dokładnie na dziewiętnastą, a chłopak, który ma nadzieję zostać przedstawiony przyszej rodzinie, nie spóźni się ani o sekundę.

- Czyli naprawdę Roseworth zamierzał wydać ją za niego?

- Tak sądzę. Claire podsłuchiwała rozmowę, jak zresztą wiele innych, korzystając z tajnego otworu. Nie widać go zupełnie zza biurka, za którym siedział Roseworth. Jestem niemal pewien, że zmiana testamentu została uwarunkowana ustatkowaniem się Ruth, a Talbott to doskonała partia. Jest krewnym Archibalda Wavella, byłego wicekróla Indii.

- Fiu, fiu... To zdecydowanie lepsza partia niż prywatny detektyw. Co ona próbuje zrobić? - syknął, kiedy przed nami bentley prowadzony przez Ruth niemal wypadł z zakrętu.

- Jeśli miałbym zgadywać, to stawiam na to, że chce odebrać od Sama dokumenty, które zostały po Mary.

- Co takiego?

- Myślę, że była przekonana, iż wydawca dawno je zniszczył. Nawet mojemu teściowi nie udało się ich odzyskać, ale miałem przeczucie, że Mary zadbała o to, by owoce jej pracy były bezpieczne. Kiedyś opowiedziała mi o tym, że przyjaźni się z archiwistą, dzięki czemu może swobodnie poruszać się po magazynie i przeglądać dokumenty. Przyszło mi do głowy, że równie dobrze mogła ukryć tam swoje, zamiast trzymać je na widoku.

- Ale co w nich jest takiego, do diabła, że dziewczyna nadstawia za to głowę?

- Pamiętasz sprawę Oscara Slatera? - rzuciłem, po raz pierwszy wypowiadając podejrzenia na głos.

- Trudno o tym zapomnieć, synu - burknął. - Ale co to ma do rzeczy?

- Podejrzewam, że Mary podjęła się rozwiązania zagadki, którą usiłował rozwikłać Arthur Conan Doyle, i to ona doprowadziła ją do Rosewortha.

Na chwilę zapanowało milczenie, słychać było jedynie ryk silnika i szum opon na drodze. Masywne szczęki ojca zacisnęły się, nadając jego twarzy wygląd wściekłego pitbulla.

- Jeśli - odezwał się w końcu - podkreślam: jeśli uda się to udowodnić, ta rodzina będzie skończona.

- Czy nie warto nadstawiać głowy, by nie dopuścić do zniszczenia rodziny? - zapytałem, nie oczekując odpowiedzi.

- Cholera jasna, dlaczego ta maszyna nie może jechać szybciej?! Nie dogonimy ich! - wściekał się Jack.

Zacisnąłem zęby, żeby nie przekląć. Podzielałem obawy ojca, nie mieliśmy szans z o wiele szybszym samochodem Ruth. Modliłem się jedynie o to, żeby dziewczyna nie zrobiła niczego głupiego. A przynajmniej niczego głupszego niż do tej pory.

Światła bentleya zniknęły w oddali, ale byliśmy już blisko celu. Jeszcze chwila, kilka mil, może zdążymy.

Nie zdążyliśmy.

Kiedy zaparkowaliśmy obok pubu The Black Horse, po bentleyu, a tym samym po Ruth nie było śladu. W pubie, przy zatłoczonym barze, znaleźliśmy Sama.

- Gdzie Ruth? - zapytałem, dopadając stołu.

- Odjechała - odparł zdumiony Archer, patrząc nierozumiejącym wzrokiem to na mnie, to na mojego ojca. - Mówiła, że zaraz przyjedziesz, bo ona nie miała miejsca w samochodzie. Zabrała tylko papiery.

- Jasna cholera!!! - ryknął nadinspektor.

Sam wzdygnął się, wystraszony, i spojrzał na mnie wielkimi oczami.

- Szeffie? Co...? Coś złego zrobiłem? Myślałem, że to ty ją wysłałeś.

Opadłem na wolny hoker i chwyciłem się za głowę. Poczulem mdłości, na szczęście mroczki przed oczami się nie pojawiły.

- To koniec, Sam - wychrypiałem. - Straciliśmy jedyny dowód. Teraz niczego jej nie udowodnimy.

- Nic nie rozumiem - powiedział, kręcąc głową. - Nie wiem, co mielibyśmy jej udowodnić, ale jeżeli chodzi ci o to, że Roseworth był oszustem, to możesz być spokojny. Dickinson znalazł kogoś, kto znał kogoś, kto znał nazwisko nabywcy tytułu. Facet nazywał się Alistair Cheswick, pochodził z Glasgow. - Słowa spływały z ust Sama, a ja otwierałem oczy ze zdumienia. - Dickinson mówi, że to znane nazwisko, bogaci ludzie, choć trochę szemrani. Kupowali policjantów, prowadzili lewe interesy, haracze, bukmacherka, a pokątnie mówiło się o grubszej robocie. Nic na nich nie było, bo wszystko natychmiast uciszano, ale najmłodszy zdążył coś już narozrabiać, skoro stary wsadził go na Lusitanię i wysłał do Nowego Jorku. A tam ślad po nim zaginał. Wyjechał i rozpląnął się w powietrzu.

- Kiedy to było? - zapytałem, niemal zachłystując się wciągniętym gwałtownie powietrzem.

- Przed Wielką Wojną, ale nie potrafił wskazać roku. Wie jedynie, że od tamtej pory wszelkie szemrane interesy ucichły, a Cheswickowie zajęli się porządną robotą. Jeden został lekarzem, drugi prawnikiem, o trzecim nic nie wiadomo, pewnie zaszył się na jakiejś farmie.

- Albo wrócił do kraju - wtrąciłem. - Pod nowym nazwiskiem, z tytułem szlacheckim i majątkiem, który umożliwił mu nowy start.

- Może tak być - potwierdził Sam.

- Skąd miałby wziąć pieniądze? - dociekał ojciec, nie mniej oszołomiony ode mnie.

Oparłem łokcie na blacie i ścisnąłem dłońmi skronie. Głowa bolała mnie coraz dotkliwiej, niemal słyszałem zgrzytanie kół zębatych obracających się pod czaszką. Łzy napłynęły mi do oczu i zamgliły obraz. Zaciskałem powieki tak mocno, że one też zaczęły mnie boleć.

- Harper, dobrze się czujesz? - Sam nachylił się w moją stronę, aż jego oddech owiał mój policzek.

- Na tyle, na ile dobrze może czuć się ktoś, kto właśnie zrozumiał, dlaczego stracił żonę.

Zwalista sylwetka ojca przesunęła się obok mnie i po chwili Jack usiadł na sąsiednim krześle.

- Jonathanie, to niczego nie zmienia - powiedział łagodnie. - Nie wolno ci znów pograżać się w żałobie.

- Wcale nie pograżam się w żałobie! - wybuchnąłem. - Jestem wściekły! Chciałbym móc dorwać Rosewortha, czy jak on się tam nazywał, i wyrwać mu serce. Gdyby nie on, moja żona by żyła. Żyłaby, rozumiesz?! Ona powinna żyć!

- Masz rację, powinna. - Znów ten łagodny głos. - I masz prawo być wściekły. Ale sprawiedliwości już stało się zadość.

- Nie! Świat powinien się dowiedzieć, kim naprawdę był uwielbiany lord Roseworth: moralną gnidą i najzwyklejszym zbrodniarzem, który

dwukrotnie uniknął kary.

- Spokojnie, szefie, coś wymyślimy – pocieszał mnie Archer. – Dickinson skontaktuje mnie z tym gościem...

- Nie rozumiesz, Sam? Wszystko przepadło! Jeśli istniały jakiegokolwiek dowody, zniknęły wraz z Ruth.

- Musimy wracać – powiedział ojciec. – Ludzie dziwnie na nas patrzą, a nie potrzeba nam rozgłosu. Muszę zamknąć sprawę, John.

Od dwudziestu lat nie zwrócił się do mnie tym zdrobnieniem, przez co zabrzmiało dla mnie zupełnie obco. W tamtej chwili zamknięcie sprawy zabójstwa Rosewortha było ostatnią rzeczą, jaką chciałem zrobić. Wściekła bezsilność powodowała, że nie potrafiłem myśleć o niczym innym niż o tym, że nie uchroniłem Mary przed potworem.

- Jedźmy – powtórzył ojciec.

- Jedźmy – odparłem głucho, po czym całkowicie bezwolnie ruszyłem ku wyjściu.

*

W drodze powrotnej zapadłem w niespokojny sen. Wybudzałem się co chwilę, jednak nie potrafiłem zbyt długo utrzymać świadomości. W głowie szumiało mi coraz bardziej, wspomnienia zlewały się w ciągi obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie. Siedząc z tyłu, nie słyszałem, o czym rozmawiali Sam z ojcem, ich głosy zagłuszał jednostajny ryk silnika.

Było już zupełnie ciemno, kiedy zaparkowaliśmy na podjeździe Roseworth Manor, a pierwszym, co mnie zdziwiło, był stojący obok bentley. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nie przypuszczałem, że Ruth wystarczy tupetu, żeby wrócić do domu. Ale właściwie co takiego zrobiła? Natychmiast, kiedy tylko zadałem sobie to pytanie w myślach, wyobraziłem sobie jej odpowiedź. „Wybrałam się na przejażdżkę, nie mogłam znieść tego stresu, przecież nie jestem aresztowana”. To prawda, nie była. I coraz więcej wskazywało na to, że nie będzie.

Bernard otworzył nam drzwi, a jego kamienna twarz jak zwykle nie wyrażała żadnej emocji. Ten człowiek powinien grać zawodowo w pokera, pomyślałem kąśliwie. Odwiesiłem kapelusz na wieszak, ojciec i Archer zrobili to samo, po czym dołączyliśmy do Roseworthów, którzy w najlepsze spożywali kolację.

W jadalni panował ciepły półmrok rozświetlany gęsto rozwieszonymi kinkietami. Na środku stołu paliła się świeca. Nikt nie wydawał się poruszony naszym wejściem, a Ruth nawet nie podniosła głowy znad talerza.

- Wszystko w porządku? - Na pannę Hardcastle oczywiście można było liczyć.

Obiecałem sobie, że już nigdy nie nazwę jej w myślach kabanosem.

- W najlepszym - odparłem i uśmiechnąłem się ciepło. - Ruth, można wiedzieć, gdzie byłaś?

- Wybrałam się z panem MacFarlaine'em na przejażdżkę. Wyraził chęć odkupienia ode mnie bentleya, więc chciałam mu pokazać, co potrafi to cacko.

Zęby zgrzytnęły mi tak głośno, że wszyscy z pewnością to usłyszeli.

- Usiądź z nami, Jonathanie - zachęciła lady Agatha. - Panowie też. Pana nie znam zupełnie! - zwróciła się do Sama.

- Samuel Archer, milady. - Ukłonił się w pas i wyszczerzył. - Prywatny detektyw, aktualnie głodny jak wilk.

Cały Sam... Choć muszę przyznać, że ta jego bezpośredniość bywała urocza i na pewno pomagała w pracy.

Bernard natychmiast dostawił dwa krzesła, które zajęli moi towarzysze, ja jednak nie zamierzałem siadać. Byłem zbyt wzburzony, pobudzony i wściekły. Ruth unikała mojego wzroku, z pewnością obawiając się tego, co może z niego wyczytać.

- Kiedy państwo delektują się wspaniałym posiłkiem, ja postaram się umilić go wam opowieścią. Mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko - powiedziałem tonem zarezerwowanym dla ludzi, którym życzyłem wszystkiego najgorszego.

- Jonathanie... - zaproponowała Agatha, lecz tym razem nie miała szans.

- Nie, nie, nie, lady Radcliffe, to nie była propozycja, którą mogą państwo odrzucić. Wysłuchacie mojej opowieści, czy tego chcecie, czy nie. A później sami zdecydujecie, jakie nadać jej zakończenie. - Splotłem ręce za plecami i ruszyłem wokół stołu, krążąc jak sęp nad rannym zwierzęciem. - Któregoś dnia pewna dziewczyna, nazwijmy ją Ruth, wpadła na plan pozbycia się ojca, którego szczerze nienawidziła - zacząłem spokojnie. - Zrządzeniem losu tego samego dnia usłyszała historię morderstwa niemal doskonałego, polegającego na wstrzyknięciu ofierze insuliny, substancji rozkładającej się i niepozostawiającej śladów w organizmie. Zastosowanie tej procedury umożliwiłoby Ruth wykonanie powziętego planu: wystarczyło wprowadzić ofiarę w stan śpiączki i upozorować samobójstwo poprzez strzał w głowę. Owym planem podzieliła się z zaufanym lekarzem, kochankiem matki, ponieważ ten był jej potrzebny do wdrożenia procedury medycznej. Wszystko zostało obmyślane, ustalone, Ruth nie przewidziała tylko jednej rzeczy: nie ona jedyna miała chrapkę na odebranie życia kochanemu tatusiowi. - Zatrzymałem się tuż za krzesłem Adalind Almond i powiodłem wzrokiem po twarzach jedzących. - Na chwilę musimy wrócić do przeszłości, nie ma pani nic przeciwko, panno Simmons?

Kobieta potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do mnie. Tym razem nie był to ładny uśmiech.

- Panna Adalind Almond, aktorka, przez wiele lat pracowała jako dziennikarka śledcza, zajmując się głośnymi sprawami kryminalnymi. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, tuż po opublikowaniu przez Petera Hunta rozprawy na temat słynnego procesu niejakiego Oscara Slatera, zainteresowała się teorią zapoczątkowaną przez Arthura Conana Doyle'a, głoszącą, że w zabójstwie Marion Gilchrist w grudniu tysiąc dziewięćset ósmego roku maczał palce krewny ofiary, pochodzący ze znamienitej rodziny

mieszczkańskiej znanej w Glasgow. Panna Almond, a właściwie Simmons, sama będąc rodowitą Szkotką, tym chętniej zajęła się odszukiwaniem tropów i dowodów, które mogłyby pomóc wyjaśnić tę zagadkę. Dzięki wiedzy zdobytej przez moją matkę, mającą znakomite znajomości w środowisku artystycznym, upewniłem się, że romantyczny związek pomiędzy Moną i Adalind rozpoczął się zaledwie trzy lata temu, a więc pięć lat po opublikowaniu przez dziennikarkę artykułu odnoszącego się do książki Hunta. To prowadzi do konkluzji, że panna Simmons ustaliła istotne fakty w interesującej ją sprawie i dotarła tak blisko jej sedna, jak to było możliwe. I tu państwo pozwolą, że będę improwizował, ponieważ bohaterka naszej historii, Ruth, pozbawiła mnie możliwości zweryfikowania mojej teorii.

Widziałem, jak wielkie wrażenie moja narracja wywarła na słuchaczach. Siedzieli cicho jak trusie, a jedzenie rosło im w ustach. Jedynie Sam wyglądał, jakby od miesiąca żywił się tylko trawą i bez pardonu pochłaniał kolejne porcje wszystkiego, do czego mógł dosięgnąć.

- Wyobrażam to sobie zatem tak: panna Simmons publikuje artykuł za artykułem - podjąłem. - Bada materiały dowodowe, szuka, kopie, w ten sposób dociera do Mony, w której ostatecznie się zakochuje. Pewnego dnia kontaktuje się z nią młodziutka dziennikarka z Londynu i oświadcza, że ona także zajmuje się tą sprawą. Od słowa do słowa okazuje się, że mordercą Oscara Slatera może być, uwaga, człowiek, którego obydwie znają! Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby profesjonalna dziennikarka przyjęła to rozwiązanie bez konkretnych dowodów, dlatego łączy siły z koleżanką z Londynu, niejaką Mary Harper. Czy na razie brzmi wiarygodnie, panno Almond? - Teraz stałem po przeciwnej stronie stołu i mogłem patrzeć jej w oczy. Widziałem w nich smutek, szczerzy i bolesny smutek. - Znakomicie, więc konfabuluję dalej. Ciężka praca obu dziennikarek przynosiła efekty i wydawało się, że są już blisko celu, kiedy coś poszło nie tak. Podejrzany dowiedział się, że jego tajemnica jest zagrożona, i pozbył się

młodej dziennikarki. Nie wiedział jednak, że miała współniczkę. Panna Simmons od razu się zorientowała, że śmierć Mary Harper wyglądała aż nazbyt podejrzanie, i przy pierwszej okazji, a ta nadarzyła się właśnie teraz, postanowiła wydobyć prawdę bezpośrednio od podejrzanego. Lady Roseworth, czy myślę się, twierdząc, że któryś pani lek zawiera skopolaminę?

Barbara Roseworth spojrzała na mnie odrobinę nieprzytomnie, jakby właśnie prezentowała działanie tego specyfiku. Skinęła głową i przeniosła wzrok na Adalind. Nie było w nim jednak złości ani zdziwienia, raczej współczucie.

- Nie znając się na farmaceutykach - kontynuowałem - panna Simmons wybrała niewłaściwy lek i zamiast „oddechem diabła” poczęstowała lorda atropiną. Musiała się zorientować w owej pomyłce i w panice zrobiła to, co wydawało się wówczas jedynym rozwiązaniem: pobiegła po pomoc do osoby z przygotowaniem medycznym. Lady Barbara jako znakomita lekarka wiedziała, że eseryna przeciwdziała skutkom atropiny, próbowała uratować męża. Niestety, zbyt duże stężenie toksyn spowodowało u lorda zapaść. Wezwanie pogotowia było niemożliwe, ponieważ groziło natychmiastowym zaalarmowaniem policji, więc zaalarmowano doktora Greystocka. Ten starał się uratować otrutego zastrzykiem adrenaliny, jednak było już za późno. I tu na scenie pojawia się nasza bohaterka.

Zatrzymałem się za krzesłem Ruth i położyłem dłonie na jej ramionach. Wzdrygnęła się pod moim dotykiem, a mnie znów zaalała fala złości. Opanowałem się szybko, miałem do dokończenia opowieść.

- Ruth pojechała do Londynu samochodem, jednak wcale nie zamierzała spędzić dnia w redakcji, gdyż miała do zrealizowania plan. Wróciła pierwszym pociągami, weszła do domu, a ponieważ służba tego dnia była bardzo zajęta, dziewczyna nie obawiała się, że ktokolwiek ją zauważy i zniszczy jej alibi. Ruszyła prosto do gabinetu, gdzie zastała nieprzytomnego ojca w towarzystwie lekarza, matki i Adalind. Nie spanikowała, jej plan zaczął realizować się sam. Pozostawało jedynie

poczekać na umówioną godzinę, kiedy nikt nie usłyszy strzału z pistoletu, upozorować postrzelenie, uciec tajnym przejściem w ścianie i wrócić o właściwej porze, żeby „odkryć morderstwo”. Zastanawia mnie tylko, skąd wzięła się insulina w ciele lorda.

- Chciałam sprawdzić, czy naprawdę skóra po niej słodko pachnie – odezwała się Claire. – Skoro tatuś już nie żył, to przecież nic nie mogło mu zaszkodzić, prawda?

- Claire! – Lady Barbara pobladła nagle, jakby ujrzała co najmniej ducha zmarłego męża.

- Sama mi opowiadałaś, że na studiach badałaś różne rzeczy na trupach, przecież to nic złego.

- Skąd wzięłaś insulinę? – odezwał się po raz pierwszy mój ojciec i brzmiał wyjątkowo łagodnie.

- Podkrađłam doktorowi z torby, on ma dużo takich buteleczek. – Dziewczynka wzruszyła ramionami i wróciła do przeżuwania sałatki.

Zapadła cisza. Nagle poczułem, jak opuszczają mnie siły, a napięcie gromadzone od kilku dni zelżało. MacFarlaine, siedzący obok Ruth i wyglądający jak ucieleśnienie spokoju, odłożył sztucce, wytarł usta serwetką, po czym oświadczył:

- Wszystko to pięknie brzmi, panie Harper, ale obawiam się, że nie da się tego obronić w sądzie. Być może gdyby miał pan jakiegokolwiek dowody, dokumenty, zeznania świadków... – Rozłożył ręce w wyrazie bezradności i powiódł wzrokiem po twarzach wpatrzonych w niego ludzi. – Czy ktokolwiek z państwa jest w stanie potwierdzić cokolwiek z tego, co pan Harper przed chwilą powiedział? O ile mi wiadomo, panna Roseworth nie mogła strzelić, ponieważ nie było jej w domu. Poza tym: jaki mogła mieć motyw? Przecież jej sytuacja finansowa jest znakomita, a lord Roseworth kochał ją nad życie. Mylę się, Ruth?

- Bynajmniej, Henry, masz absolutną rację – odezwała się dziewczyna i obdarzyła prawnika olśniewającym uśmiechem. – Od początku mówię, że winnego należy szukać poza rodziną.

Mój ojciec słuchał w milczeniu, po czym wypił wodę ze stojącej przed nim szklanki, wyjął paczkę bensonów & hedgesów z kieszeni marynarki i podniósł się z niewielkim trudem z krzesła. Ruszył wprost do drzwi, nie obdarzając nikogo spojrzeniem. W progu przystanął, obrócił się i spojrzał na piękną twarz dziewczyny.

– Gdyby miała pani okazję, co powiedziałaaby swojemu ojcu, zanim umarł? – zapytał, zapalając papierosa.

– Powiedziałabym, że... karma wraca, a na miłość trzeba zasłużyć – odparła nieśpiesznie, po czym ona także zapaliła papierosa i sięgnęła po butelkę z winem.

*

W drodze do Londynu zastanawiałem się nad tym, jak bardzo można się pomylić. Jak niewiele wiemy o ludziach, jak łatwo im ufamy i ulegamy ich manipulacjom. Czy jesteśmy naiwni, mierząc innych swoją miarą, przypisując im dobre intencje, wierząc, że przedstawiana nam historia jest prawdziwa? I czy powinniśmy to zmienić?

Sprawa lorda Rosewortha położyła się cieniem na nazwisku Harperów – choć udało się ją rozwiązać, z powodu braku dowodów trzy tygodnie później oficjalnie zamknięto ją jako nierozstrzygniętą, a mój ojciec odszedł ze służby. Twierdził, że i tak nadeszła jego pora, ale ja wiedziałem, jak mocno ucierpiała jego ambicja. A moja? Zdecydowanie mniej, w końcu mogłem przestać się zastanawiać, co się stało z Mary. I byłem z niej dumny.

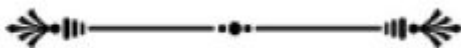
Sam Archer dokończył sprawę Dickinsa, ja zająłem się poszukiwaniem córki pewnego biznesmena, która – jak od początku podejrzewałem – uciekła z kochankiem, pozorując porwanie dla okupu. Życie płynęło swoim torem i jak zawsze zaskakiwało.

– Guz jest niewielki, więc rokowania na wyleczenie znakomite – oznajmił doktor Dalrymple, pokazując mi wyniki prześwietlenia głowy. – Gruczolaki przysadki są zmianami łagodnymi, ale uciążliwymi dla chorych. Ciesz się, że zdecydowałeś się na badanie.

Uśmiechnąłem się na myśl, że gdyby to ode mnie zależało, z pewnością jeszcze długo bym się nie zdecydował. Na szczęście – bądź nieszczęście – Joyce Hardcastle, której już nigdy nie nazwałem w myślach kabanosem, zagroziła mi odejściem, jeśli nie zajmę się zdrowiem. Są argumenty, z którymi zwyczajnie nie da się dyskutować.

*

Mniej więcej miesiąc po zakończeniu „sprawy lorda” zaniósłem marynarkę do krawca, odkrywając, że jeden ze szwów w kieszeni całkiem się rozpruł. Przez kilka dni głowiłem się nad tym, co działo się z miętówkami, które nieustannie do niej wkładałem, a one znikwały. Krawiec włożył dłoń przez przepastną dziurę i wyjął spod podszewki garść cukierków oraz klucz. Początkowo go nie poznałem, ale później przypomniało mi się, że zabrałem go z gabinetu Rosewortha. Wróciwszy do domu, przyjrzałem mu się z uwagą. Na pierścieniu klucza znajdowały się niewielkie ryski, które dopiero przy użyciu szkła powiększającego zamieniły się w inicjały „A.C.”. A przynajmniej tak zinterpretowała je moja wyobraźnia.



Epilog

21 grudnia 1908 roku, godzina 21.40, komunikat wewnętrzny policji z Glasgow

Starsza pani została zamordowana w swoim domu przy Queens Terrace 15, dzisiaj między 19.00 a 19.10 przez mężczyznę w wieku od 25 do 30 lat, prawdopodobnie gładko ogolonego. Miał na sobie długi szary płaszcz i ciemny kapelusz.

Motywy morderstwa mógł być rabunek, ponieważ w sypialni na podłodze znaleziono kilka otwartych pudeł: zniknęła sporych rozmiarów złota broszka w kształcie półksiężyca, wysadzana diamentami. Znajdują się na środku, zmniejszają się w stronę wierzchołków. Może znajdować się w posiadaniu mordercy. Diamenty mają srebrną oprawę. Nie znaleziono żadnych śladów mordercy. Konstable proszeni są o powiadomienie sprzedawców biletów na stacjach kolejowych, morderca może mieć ślady krwi na ubraniu. Po otwarciu powiadomić lombardy w sprawie broszki i mieć na nie oko⁴.

*

25 grudnia 1908 roku, komunikat komisarza Orda

Policja miasta Glasgow

MORDERSTWO

Okolo 19.00 w poniedziałek 21 grudnia b.r. starsza kobieta, Marion Gilchrist, została brutalnie zamordowana w domu przy West Princes Street 15, gdzie mieszkała jedynie z jedną służącą, która

mniej więcej o wzmiankowanej godzinie wyszła z domu, by kupić wieczorną gazetę. Wróciła po niecałym kwadransie i przekonała się, że jej pani została brutalnie zamordowana w tym samym pokoju, w którym ją zostawiła.

Wróciwszy z gazetą, ujrzała mężczyznę wychodzącego z domu (opis pierwszy), mniej więcej w tym samym czasie inny mężczyzna (drugi opis) był widziany w czasie ucieczki z tego samego domu.

Opisy

(Pierwszy) Mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, około metra siedemdziesięciu wzrostu, prawdopodobnie gładko ogolony, miał na sobie długi szary płaszcz i ciemną czapkę.

(Drugi) Mężczyzna w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu lat, wysoki i szczupły, gładko ogolony, z nosem przekrzywionym na bok (prawdopodobnie w prawo); miał na sobie płowy płaszcz (przypuszczalnie wodoodporny), ciemne spodnie, tweedowy kapelusz nowego typu, prawdopodobnie ciemny, brązowe buty...⁵

*

Zeznania Roweny Adams Lidell, sąsiadki zamordowanej panny Gilchrist,

proces Oscara Slatera, 4 maja 1909 r.

Zanim dotarłam do drzwi wejściowych, ujrzałam jakiś ciemny kształt opierający się o balustradę, tuż pod oknami jadalni mojej matki [...]. Spojrzałam na niego otwarcie – niemal niegrzecznie – i dokładnie przyjrzałam się jego twarzy. Nie widziałam tylko oczu. Miał długi nos z charakterystycznym spadkiem o tutaj [wskazała grzbiet nosa]. Rzadko się taki spadek widuje. Miał bardzo jasną cerę; nie ziemistą ani bladą, tylko raczej w kolorze kości słoniowej. Był bardzo ciemny, gładko ogolony, bardzo szeroki tutaj [wskazała na

kości policzkowe albo skronie]. Kołnierz miał opuszczony. Miał bardzo zwyczajną czapkę, chyba z brązowego tweedu. Wyglądał bardzo przyzwoicie [...]⁶.

*

Fragment artykułu Kowal zawinił, Cygana powiesili

**Adalind Simmons dla „New York Timesa”, grudzień
1951 r.**

Peter Hunt, autor głośnej w ostatnich miesiącach książki Oscar Slater. Wielki podejrzany, wstrząsnął opinią publiczną i zawstydził brytyjski wymiar sprawiedliwości, wykazując słabości i fuszerkę, jakiej dopuszczono się w sprawie jednego z najgłośniejszych procesów sądowych w Szkocji i w całym Zjednoczonym Królestwie. Śledztwo w sprawie zabójstwa Marion Gilchrist, 83-letniej mieszkanki Glasgow, którego dokonano tuż przed Bożym Narodzeniem 1908 r., zostało już na początku skazane na niepowodzenie, odkąd policja zagięła parol na Oscara Slatera, drobnego hazardzistę, którego jedynymi przewinami były żydowskie pochodzenie i naiwna wiara w sprawiedliwość. Oskarżony, osądzony i skazany na śmierć imigrant stał się tak sławny, że przez wiele lat w slangu Glasgow funkcjonowało powiedzenie „See you later, Oscar Slater”. Jak jednak po wielu latach udowadnia Peter Hunt, najważniejszym podsumowaniem tego kuriozalnego buba prawnego były słowa Arthura Conana Doyle’a, który stwierdził: „Była to odraźniająca zмова, w której główne role odgrywały głupota i nieuczciwość”⁷.

Przypomnijmy: po zaledwie godzinnej naradzie ławników Oscar Slater został uznany za winnego i skazany na śmierć. Czterdzieści osiem godzin przed tym, jak miał wkroczyć na szafot, pod naciskiem opinii publicznej wyrok zamieniono na dożywocie w wyjątkowo koszmarnym więzieniu Jego Królewskiej Mości w Peterhead.

Zwolniono go po 18 latach [choć zwykle stosuje się zwolnienie po 20 latach dobrego sprawowania] i wyrok skasowano. A wszystko za sprawą przesznużowanej z więzienia wiadomości, którą Slater, za pośrednictwem zwolnionego współwięźnia, skierował do Arthura Conana Doyle'a, uznanego już wówczas autora i człowieka, który przyczynił się do uniewinnienia George'a Edaliego, niesłusznie oskarżonego o okaleczanie zwierząt hodowlanych.

Conan Doyle, choć wielokrotnie potępiał styl życia skazanego [poza hazardem zajmował się także sutenerstwem – red.], jeszcze zanim zwrócił się do niego Slater, z przenikliwością godną swego najstynniejszego bohatera zbadał zbrodnię, dochodzenie i proces, co zaowocowało zjadliwą publikacją zatytułowaną Sprawa Oscara Slatera wydaną w 1912 r. Zaangażował się w tę sprawę jak mało kto, udowadniając niekonsekwencje, absurdy, przeinaczenia i zaniedbania. Po wielu latach publikowania artykułów, wskazywania błędów i nieściśłości w materiale dowodowym odniósł sukces. Jednak było to pyrrusowe zwycięstwo, gdyż prawdziwy morderca do dziś nie został ukarany.

*

List Mary Harper do Adalind Simmons

Londyn, 4 kwietnia 1957 r.

Droga Panno Simmons!

Z pewnością nie ma Pani pojęcia, kim jestem, ja natomiast jestem Pani ogromną wielbicieleką i podziwiam Pani pracę, odkąd nauczyłam się czytać! Nazywam się Mary Harper, jestem dziennikarką pracującą dla „Daily Mail”, prowadzę rubrykę kulturalną i od czasu do czasu relacjonuję głośne sprawy kryminalne – o ile szef nie uzna, że sprawa nie jest zbyt „niedelikatna”, jeśli wie Pani, co mam na myśli. Pewnie Pani także nieraz przewracała oczami na to męskie spojrzenie.

Z ogromną uwagą przeczytałam Pani artykuł Kowal zawińł, Cygana powiesili i musiałam, po prostu musiałam do Pani napisać! Całkiem niedawno za sprawą mojego męża zainteresowałam się książką Petera Hunta (mój mąż jest detektywem i fascynują go wszystkie sprawy kryminalne, a szczególnie te, na których – jak mówi – może się uczyć unikania błędów). Z jakim oburzeniem poznałam losy biednego Oscara Slatera! Z jaką niezgodą przyjąłm niesprawiedliwość, którą w imię prawa (sic!) zafundował wymiar sprawiedliwości. Najbardziej jednak oburzające jest to, że przez tyle lat nikt nie poczuł się w obowiązku, by naprawić krzywdy i ukarać winnych tej potwornej zbrodni.

Dzięki osobistym (rodzinnym) koneksjom udało mi się skontaktować z Williamem Parkiem, dziennikarzem, który w 1927 r. wraz z sir Conanem Doyle'em sprawę dogłębnie przeanalizował, a wyniki analizy opublikował, w obszernej książce. Pan Park umożliwił mi przejrzenie kopii dokumentów, w tym także policyjnych raportów, z których jasno wynika, że już w czasie zbierania materiału przeciwko Slaterowi znana była tożsamość prawdopodobnego sprawcy zabójstwa. Gdyby była Pani zainteresowana, proszę pisać na adres redakcji.

Pozostają pełna podziwu i sympatii.

Mary Harper

*

List Adalind Simmons do Mary Harper

Nowy Jork, 30 kwietnia 1957 r.

Najmilsza Pani Harper!

Ogromnie mnie ucieszył list od Pani, a jeszcze bardziej informacja, jaką Pani w nim zawarła. Jeżeli to, czego dowiedziała się Pani od W. Parka, okazałoby się prawdą, stałaby się Pani bohaterką na miarę Arthura Conana Doyle'a, a kto, wie, może i prześcignęłaby go Pani

sławą! Podaję Pani numer telefonu, jeżeli chciałaby Pani omówić pewne kwestie, z pewnością tak będzie szybciej. Gdyby jednak nie zdecydowała się Pani zadzwonić, proszę pisać, będę czekać z niecierpliwością.

Oddana,
A.S.

*

List Mary Harper do Adalind Simmons

18 lipca 1957 r., Londyn

Kochana Adalind!

Wzięłam do serca Twoją radę i udało mi się zdobyć materiał, o którym rozmawiałyśmy. Nie mogę teraz do Ciebie telefonować, ponieważ Jonathan boryka się z problemami w agencji i muszę być nieco oszczędniejsza, żeby nie przysparzać mu zmartwień. Oczywiście on złego słowa mi nie powie, jednak nie chciałabym, żeby zainteresował się ogromnym rachunkiem telefonicznym, bo zaraz zacznie węszyć, jak to detektyw!

Skontaktowałam się z rodziną policjanta, który zajmował się sprawą O.S., i udało mi się „pożyczyć” kopie dokumentów policyjnych, które porucznik Trench potajemnie skopiował, już wtedy dostrzegając nieprawidłowości w dochodzeniu. Pośród nich znalazły się również takie, które z niewiadomych powodów zatajono w procesie. Dasz wiarę, Adalind?! Gdy na szali było ludzkie życie, policja ukrywała dowody mogące podważyć ich linię śledztwa! Jeden z synów porucznika Trencha pozwolił mi „zapomnieć odłożyć na miejsce” zeznanie niejakiej panny Birrell, siostrzenicy panny Gilchrist, które mogło, ach! Co też ja piszę? Powinno! Pogrzyżyć właściwą osobę, a jednak zostało zatajone przed prokuratorem, sądem i ławnikami. Uprzedzam Cię jednak, Adalind, że mając tę wiedzę, nie ugnę się przed znalezieniem tego człowieka.

Ściskam Cię z całą mocą.
Twoja Mary

*

**Raport porucznika Johna Thomsona Trencha
z przesłuchania Margaret Birrell, przyjaciółki Helen
Lambie (służącej ofiary)**

23 grudnia 1908 r.

[raport utajniony, wyłączony z akt sprawy Oscara Slatera]

Jestem siostrzenicą świętej pamięci Marion Gilchrist, która mieszkała przy Queen's Terrace 15, West Princes Street. Moja matka była siostrą zmarłej. Panna Gilchrist nie miała dobrych stosunków z krewnymi. [...]

Nigdy nie zapomnę nocy morderstwa. Służąca panny Gilchrist, Nellie Lambie, przyszła do mnie około 19.15. Była podekscytowana. Gwałtownie szarpała za dzwonek. Kiedy otworzyłam, wpadła do środka i oznajmiła: „Och, panno Birrell, panno Birrell, pannę Gilchrist zamordowano, leży martwa w jadalni, panno Birrell, widziałam człowieka, który to zrobił”.

Odpowiedziałam: „Mój Boże, Nellie, to okropne. Kto to był, znasz go?”.

Nellie odparła: „Och, panno Birrell, myślę, że to był [A.B.]. Jestem pewna, że to był [A.B.]”. Powiedziałam do niej: „Bóg Boże, Nellie, nie mów tak, morderstwo w rodzinie to rzecz wystarczająco straszna, ale morderca w rodzinie to coś tysiąc razy gorszego. Jeśli nie jesteś pewna, Nellie, nie mów tego”. Ponownie powiedziała mi, że jest pewna, iż był to [A.B.]⁸.

*

List Adalind Simmons do Mary Harper

Nowy Jork, 15 lipca 1957 r.

Najmilsza Mary!

Wygląda na to, że dopięłaś swego, a Twoje starania i zaangażowanie wreszcie znajdą szczęśliwy finał. Dokumenty, które odszukał mój znajomy pracujący w stacji dla imigrantów na Ellis Island, potwierdzają, że niejaki Alistair Cheswick 26 grudnia 1908 r. zameldował się na parowcu Lusitania płynącym z Liverpoolu do Nowego Jorku. Zbiegiem okoliczności był to ten sam statek, którym przyплыła Oscar Slater, już wtedy poszukiwany za morderstwo. W dokumentach aplikacyjnych Cheswick jako miejsce pobytu w Stanach wskazał adres niejakiej Molly Lennox. Panna Lennox miała pracować jako tancerka kabaretowa, a następnie wyjść za mąż za Thadeusa Rosewortha, szkockiego arystokratę. W 1910 r. urodziła im się córka, Mona, a po zakończeniu Wielkiej Wojny Thadeus opuścił Amerykę już jako rozwodnik. Nie udało się odnaleźć żadnych dokumentów mogących potwierdzić, czy i kiedy Roseworth przybył do Stanów.

Bądź ostrożna, moja kochana Mary.

Twoja Adalind

*

List Mary Harper do Adalind Simmons

Londyn, 4 sierpnia 1957 r.

[list nigdy nie dotarł do adresatki]

Najdroższa Adalind!

Boję się. Lord Roseworth musiał się zreflektować, że ktoś trafił na trop jego tajemnicy, mam wrażenie, że jestem śledzona. Kilka dni temu pojechałam do Mundesley i kilka razy rzuciłam drobną aluzję: a to wspomniałam o książce Hunta, a to zacytowałam jakies

powiedzonko Sherlocka Holmesa – i mam wrażenie, że lord Roseworth już wie. Piszę ten list na wszelki wypadek, żebyś w razie czego mogła doprowadzić do jego skazania. List od A.C.D., o którym niedawno Ci wspominałam, trzyma w biurku, zamknięty na klucz, razem ze wszystkimi artykułami na temat sprawy Slatera. Przykleja je w takich notatkach w czarnych okładkach, które mają udawać jego pamiętniki. Nie zdołałam ukraść koperty z listem, ponieważ jest mocno przyklejona, ale jestem pewna, że to od niego! Widziałam listy, jakie kierował do dziennikarzy i policjantów, to ten sam charakter pisma.

Ściskam Cię, moja współpracowniczko i najmilsza przyjaciółko.

Twoja Mary

*

„Daily Mail”, 23 sierpnia 1957 r.

Tragiczna śmierć młodej arystokratki i wielka strata dla londyńskiego dziennikarstwa [Ruth Roseworth]

Dzisiejszego popołudnia w wyniku tragicznego wypadku niedaleko Regent Street nieznaną pojazd śmiertelnie potrafił Mary Harper, naszą wieloletnią współpracownicę, która podbiła serca czytelników znakomitymi felietonami, wnikliwymi rozmowami z gwiazdami [m.in. z Peterem Sellersem, Paulem Anką, Julie Andrews – red.] oraz relacjami z najgłośniejszych spraw sądowych. Sprawca wypadku nie został ujęty, czynności są w toku. Scotland Yard zapewnia, że sprawa ustalenia winnego zyskała najwyższy priorytet i jest raportowana bezpośrednio do naczelnika policji metropolitalnej.

Redakcja składa najszczerze kondolencje rodzinie zmarłej: mężowi Jonathanowi Harperowi oraz rodzicom lady i lordowi

Dalrymple’om.

Śpij spokojnie, kochana. [R.R.]

KONIEC

Od autorki

Sprawa lorda – jak wiele moich książek – powstała dzięki bujnej wyobraźni zapłodnionej inspirującą prawdziwą historią. Choć jest to opowieść od początku do końca fikcyjna, zawiera całkiem sporo elementów zaczerpniętych z historii i w tym miejscu winna jestem Państwu ich wskazanie, żebyście się nie pogubili.

Kiedy kilka lat temu trafiłam na książkę Margalit Fox poświęconą sprawie Oscara Slatera i walki Arthura Conana Doyle'a o oczyszczenie go z zarzutów oraz uwolnienie z więzienia, tym, co najbardziej mnie zainteresowało, było pytanie postawione przez autorkę wspomnianej publikacji. Kto to zrobił, skoro nie Slater? A może lepiej byłoby zapytać: dlaczego nie ukarano winnego, tylko popisowo spartaczono proces, a śledczy narazili się na śmieszność i zapisanie w historii kryminalistyki jako najwięksi nieudacznicy? Sądzę, że odpowiedź na te pytania znali zarówno Conan Doyle, jak i prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Marion Gilchrist porucznik Trench: prawdziwy zbrodniarz był osobą tak wpływową, że stał się nietykalny. Czy przypadkiem kilkadziesiąt lat później w polskich Miłoszyczach nie doszło do podobnego procederu? Zdaje się, że podobieństw znajdziemy aż nadto.

Ponieważ z natury jestem naiwną romantyczką wierzącą w karmę i wyznającą zasadę, że dobro zawsze wraca, pomyślałam, że opowiem tę historię w taki sposób, żeby zrehabilitować Slatera i wskazać winowajcę w sposób klarowny. Oczywiście niewiele to zmienia, bo ten prawdziwy – nazywający się Francis Charteris (co wiadomo z ujawnionych dokumentów skopiowanych przez Trenchę, gdzie pod „[A.B.]” stoi to właśnie nazwisko) już dawno nie żyje i z tego, co mi wiadomo, nie ma

żyjących krewnych. Celowo też zmieniłam jego personalia w książce, bo jako odrażający zbrodzień nie zasługuje na pamięć.

Oddzielmy więc fikcję od faktów. Żaden z bohaterów książki nie istnieje, nie ma (o ile mi wiadomo) Roseworth Manor, Jonathan Harper swoje imię i nazwisko pożyczył od bardzo słynnego bohatera bardzo słynnej powieści gotyckiej, ale to już sobie Państwo odszukają. Prawdziwe są wszystkie osoby, miejsca, okoliczności śmierci i cytowane dokumenty dotyczące sprawy Oscara Slatera, prawdziwa była zbrodnia w Glasgow i prawdziwy w niej udział Conana Doyle'a. Czy już sam ten fakt nie nadaje sprawie fascynującego oblicza? Ojciec Sherlocka Holmesa doprowadził do uniewinnienia człowieka! Mnie to fascynuje nieustannie! Dalej: bohaterowie wspominają o gwiazdach estrady, muzyki, ludziach związanych z brytyjską armią – to wszystko możecie sprawdzić, włącznie z Królem Indii w charakterze krewnego Christophera Talbotta. Te wszystkie historyczne smaczki (Paul Anka rzeczywiście miał trasę koncertową po Zjednoczonym Królestwie w 1959 roku!) miały za zadanie wprowadzić Państwa w klimat Anglii odbudowującej się po drugiej wojnie światowej, dekolonizowanej, mierzącej się z kryzysami wewnętrznymi i usiłującej wciąż ugrać coś w Azji i Afryce. Faktycznie zabrakło im ropy z Persji, mogli nie napadać na Egipt!

A teraz, potwornie zmęczona, gdyż ta książka kosztowała mnie ogromnie dużo pracy, ostatkiem sił chcę podziękować ludziom, bez których byłabym teraz piękna, wyspana, promieniejąca i pewnie trochę grubsza, bo nie musiałabym zapominać o jedzeniu.

Zespołowi wydawnictwa Labreto winna jestem dozgonne dzięki za zaufanie, wiarę (no, Monia może trochę mniej wierzy, ale zobaczymy, co powie teraz), niańczenie mnie i dopingowanie. Kasiu, Dominiko, Moniu, Asiu, Pati, Madziu, Arturze, Mateuszu – jesteście spełnieniem marzeń autorki. Kocham Was nawet niewyspana i głodna.

Patinko – moja najmilsza, najukochańsza, najcierpliwsza, naj, naj, naj – czy ja kiedykolwiek zdołam Ci się odwdziżyć za to, ile czasu

straciłaś na czytaniu moich wycopin?

Basiu, redaktorski aniele, Ty wiesz, że ja bez Ciebie to już nie ja. Cóż ja bym zrobiła, gdybyś Ty nie miała dla mnie tyle serca i cierpliwości do poprawiania kwadratowych myśli?

I jak zawsze, wisienka na torcie, Wam – moim najcudowniejszym Czytelnikom, dziękuję za sprawienie, że praca wciąż jest pasją, w dodatku dzieloną z tysiącami serc.



Małgorzata
Jaworska

Przypisy

1 Szkocka sprawa Dreyfusa – tak o skazaniu Oscara Slatera za zamordowanie Marion Gilchrist w grudniu 1908 roku mówiła brytyjska opinia publiczna. Nawiązywało to do innej sprawy o niezwykle podobnym charakterze, w jaką pod koniec XIX wieku zaangażował się we Francji Emil Zola. Wszystkie przypisy pochodzą od autorki

2 Ada Pace – włoska kierowczyni wyścigowa znana jako Sayonara.

3 *Medice, cura te ipsum* (łac.) – Lekarzu, ulecz się sam. Cytat pochodzi z Ewangelii wg Świętego Łukasza [4,23].

4 Margalit Fox, *Arthur Conan Doyle i sprawa morderstwa*, przekład Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019, s. 42.

5 Tamże, s. 44.

6 Tamże, s. 36.

7 Tamże, s. 10.

8 Tamże, s. 253.